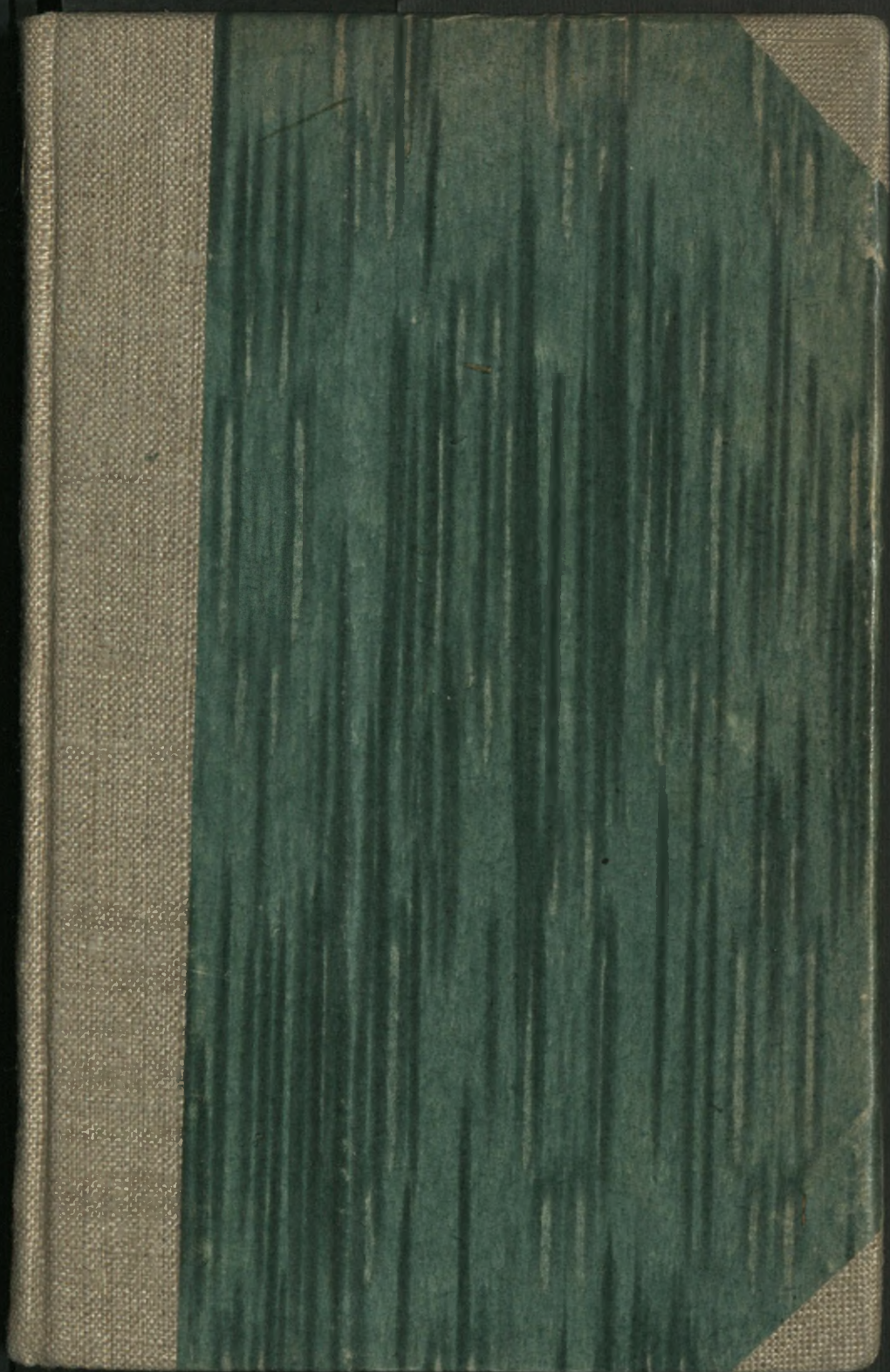
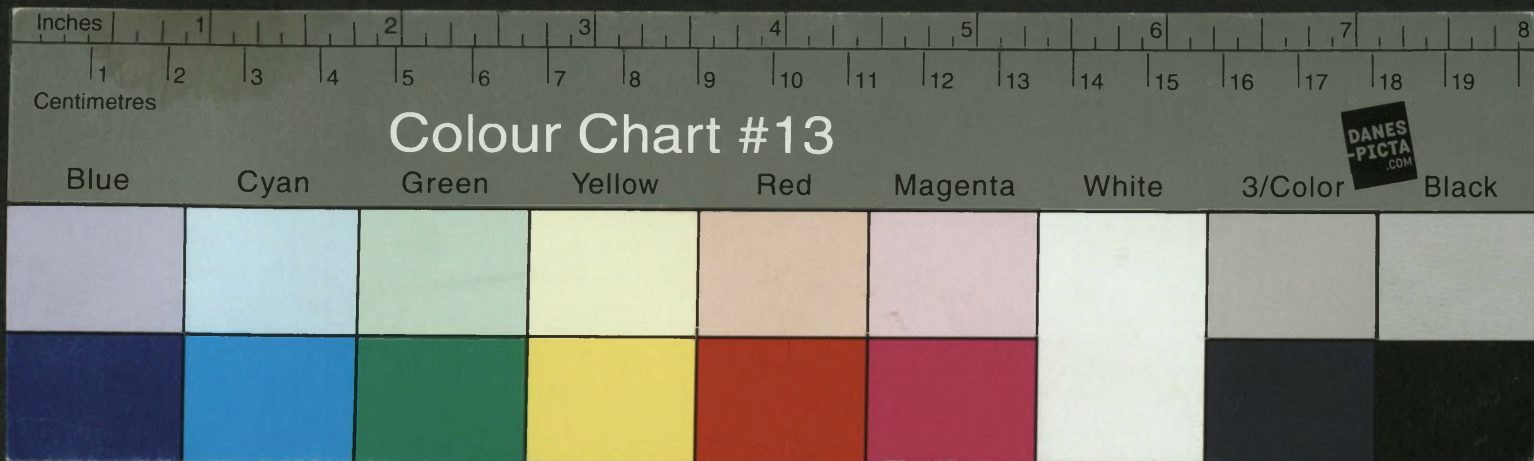






POLSKA, KTÓRA IDZIE

Najmilszej towarzysze pracy —

1929

WARSZAWA — F. HOESICK

501.118.570.

dzp/

WOJCIECH STPICZYŃSKI

POLSKA KTÓRA IDZIE

Najmilszej towarzysze pracy —

1929

WARSZAWA — F. HOESICK



10179/2

POLSKA

KTÓRA IDZIE

Odbito czcionkami

„Drukarni Krajowej”

w Warszawie

Chłodna 44

1929

57

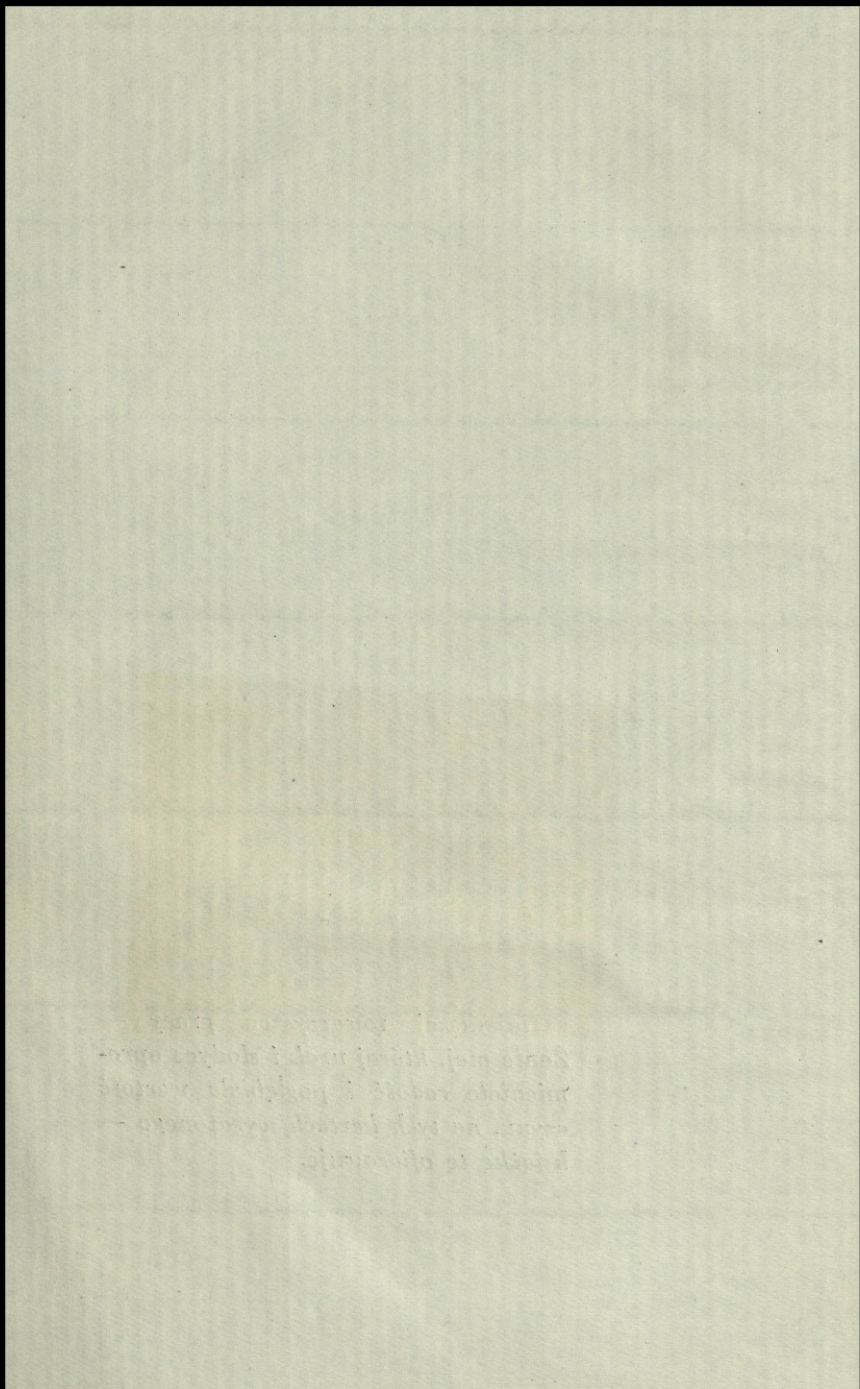


WYDANO Z DUBLETÓW

Biblioteki Narodowej

1057 0331 100

*Najmilszej towarzyszce pracy —
 Żonie mej, której urok i słodycz opro-
 mieniała radość i pogłębiała wartość
 czynu, na tych kartach wyrażonego —
 książkę tę ofiarowuję.*



T R E Ś Ć.

	Str.
PARĘ POUFNYCH WYJAŚNIEŃ	IX
I. JAK POLSKA SZŁA.	
Szalone, zawrotne tempo	3
W orbicie walki sił postępowych i wstecznych	7
Na ludu trzeba ją było oprzeć opość	13
Rewolucyjne skutki wojny u podstaw organizacji Odrodzonej	17
Jakiego Państwa Polskiego?	23
Realne i urojone podstawy działania sił wstecznych	29
Na drodze kosztownego absurdu	35
Od roli historycznej do kompromitacji	38
Pozostał tylko On	49
II. ZAGADNIENIE WŁADZY W BARWACH DRAMATYCZNYCH.	
Spekulacja i lenistwo myślowe sejmów	55
Walka twórcy i wychowawcy ze spekulacją	67
Nasza mniejszość contra spekulacyjnej większości	76
III. PIŁSUDCZYCY NA DAŁSZYCH ETAPACH DROGI PIŁSUDSKIEGO.	
Konieczność przewartościowania klęskowego patriotyzmu stronnictw politycznych	83
Od szarlatanerii do rzeczywistości	90
Droga Piłsudskiego i istota przewrotu majowego	93
Piłsudczycy na dalszych etapach drogi Piłsudskiego	102
IV. PARTJOKRATYCZNO - BIUROKRATYCZNY OGRÓD UDREĆZEŃ OBYWATELA.	
Konflikt między biurokracją a społeczeństwem	121
Współpraca partyj i rządów nad wynaturzeniem biurokracji	126

V.	OLIGARCHJA MOŻNOWŁADCÓW W WALCE Z IDEA DEMOKRATYCZNĄ.	
	Od suwerenności Narodu do rządów grupy uprzywile- jowanej	133
	Pomazańcy ludu przeciw prawom ludu	137
	Trzeba zerwać z teorią o niedojrzałości społeczeństwa	140
	Narastająca aktywność masy narodowej	145
	W społeczeństwie drzemią siły rozwojowe Państwa	149
VI.	OD CENTRALIZMU I BIUROKRACJI DO DECENTRA- LIZACJI I SPOŁECZEŃSTWA.	
	Sztuka rządzenia społeczeństwem nowoczesnem	157
	Przerost, absurdy i fiasco centralizmu w Polsce	160
	Odrębności charakteru ziem Rzeczypospolitej nie mogą być lekceważone	167
	Nowe rozwiązanie problemu organizacji naszego Państwa	172
VII.	RZECZYWISTE WYMIARY SPRAWY NARODOWO- ŚCIOWEJ.	
	W atmosferze przesady, nieporozumień i fałszywej gry	183
	Na dystansie zacofania kulturalnego społeczeństwa ży- dowskiego	187
	Mniejszości słowiańskie i sytuacja ziem kresowych	191
	Od groźby bata do szerokich przywilejów	195
	Polska musi zacząć grać swoją dziejową rolę	200
VIII.	NASZE PROBLEMY WEWNĘTRZNE ORAZ WARUNKI I ZADANIA ZEWNĘTRZNE.	
	Narastająca fala pangermanizmu u brzegu polskiego	205
	Na terenach wulkanicznych wulkaniczne żyją procesy	210
	Nasze zadanie w odwiecznej pustce ideologicznej	218
IX.	W SFERZE PROBLEMÓW GOSPODARCZYCH I SO- CJALNYCH.	
	Dialektyczne spory i nowe objawienia rzeczywistości	225
	Konflikty socjalne	229
	Straszak „etatyizmu“ i nowe formy ustrojowe gospodar- stwa narodowego	234

PARĘ POUFNYCH WYJAŚNIEŃ.

Zanim Czytelnik podejmie trud zapoznania się z tą pracą, autor pragnie udzielić mu paru poufnych wyjaśnień wstępnych, które — być może — ułatwią słuszną ocenę książki. Czynię to w poczuciu obowiązku szczerości ze strony autora względem Czytelnika, który, biorąc do ręki jego pracę, daje tem samem dowód, iż pragnie z nim wejść w bliższy kontakt intelektualny, poświęcając na ten cel pewną ilość swego czasu i uwagi. Ułatwiając zatem pierwsze zbliżenie, autor spełnia tylko obowiązek towarzyski, czego proszę nie brać mu za złe, nawet gdyby to uczynił niedostatecznie zrecznie.

Przedewszystkiem pragnąłbym wyjaśnić genezę narodzin tej książki, albowiem — o ile znam moich rodaków — będzie ona najmilszym przedmiotem najbardziej fantastycznych dociekań.

Nic w tem zresztą dziwnego.

W społeczeństwie, gdzie tak rzadko — zwłaszcza, jeśli chodzi o światek polityczny — podejmuje się jakąś pracę dla samej potrzeby i radości czynu, rozstrzyganie kwestji: dla czego ktoś się trudzi, gdy mógłby próżnować i plotkować, — przenoszone bywa łatwo w dziedzinę supozycyj spekulacyjnych, niskich, egoistycznych.

Ponieważ zaś autor ma ten grzech na sumieniu, że napisał tę pracę w miesiącach wyznaczonych mu przez le-

X

karzy i przyjaciół na próżnowanie, ma on niejaki podstawy do obaw, by mu nie ofiarowano za ten grzech pokuty, pod postacią obowiązku wysłuchania rejestru najdziwniejszych motywów, które go miały skłonić do gwałtu na świętości lenistwa.

Tedy spieszno mi wyjaśnić, iż myśl o tej pracy i jej koncepcja urodziły się przed trzema laty, w atmosferze przewrotu majowego, w obliczu otwartych przezeń wielkich możliwości naprawiania błędów lat ubiegłych i pchnięcia Polski na trwałe, proste i mocne tory rozwojowe. Wówczas to zwierzałem się najbliższym przyjaciołom z koncepcji w pracy tej skreślonych i zamiaru opracowania ich w książce.

Dlaczego tego wówczas nie uczynilem?

Przyczyny są najzupełniej prozaiczne. Wir codziennej pracy redaktorskiej i publicystycznej rozbił moją energję i czas na tak drobne fragmentaryczne wysiłki, że nie udało się zebrać zapasu: ani energji ani czasu, wystarczającego na realizację większego zamierzenia. Jak to często bywa w życiu proletariuszy, okazja ku temu zjawiała się dopiero w momencie, gdy stan zdrowia stanął w opozycji do codziennej pracy. Kwestja czasu została rozwiązana. Jeżeli zaś chodzi o energję, — sąd o tem, czy i o ile podolała ona trudnościom zadania, należy całkowicie do Czytelnika i jemu go też pozostawiam.

Oto przyczyny, dla których praca ta ukazuje się dopiero dzisiaj.

Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień pragnę również wyjaśnić, iż nie kto inny, jak autor sam jest odpowiedzialny za poglądy i koncepcje, zawarte w tej książce.

Słów tych nie dyktuje mi zarozumiałość. Nie. Myślenia politycznego nie nauczyłem się sam. Uczyłem się go od

moich przyjaciół ideowych, a przedewszystkiem od tego, którego czczę najwięcej z pośród ludzi, od Marszałka Piłsudskiego, na jego pracy, którą — muszę się przyznać do brzydkiego postępu — podpatrywałem i podpatruję z całą wnikliwością, na jaką mnie stać. Wiele obserwacji, zawartych w tej pracy, stanowią wspólny kapitał doświadczeń i przemyśleń naszego przyjacielskiego grona, kapitał, z którego czerpałem swobodną ręką, jako jeden z jego skromnych współtwórców, a zatem i uprawnionych eksploatorów.

Jeśli więc podkreślam moją osobistą odpowiedzialność za wyrażone na tych stronicach koncepcje i poglądy, czynię to tylko z obawy, by nagle z ich powodu nie ucierpiał któryś z moich przyjaciół, z tego czy innego względu aktualnie komuś niewygodny. Przy dziwactwie naszych obyczajów może się bowiem łatwo zdarzyć, iż jakieś zdanie z mojej książki, stanie się podstawą ataku którejś z partyj na któregoś z ministrów, czy działaczy politycznych. Otóż tym kawałom i figlom pospieszam przeciwstawić moją indywidualną odpowiedzialność.

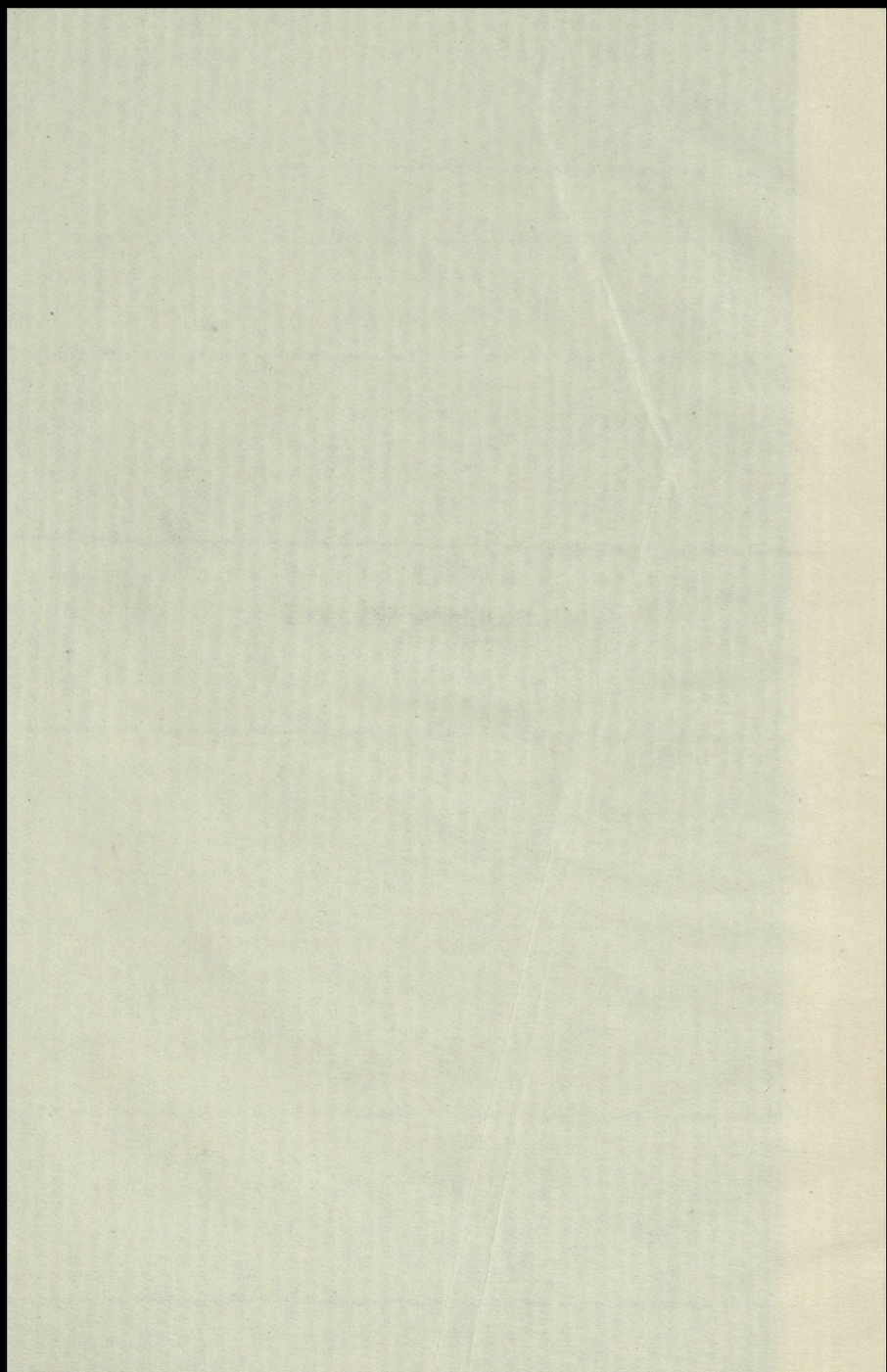
Jeśli praca ta zdoła kogoś przekonać lub zyskać aprobatę, proszę chwalić tych, co kształcili mój umysł i moją myśl polityczną. Lecz bić proszę uprzejmie mnie samego.

Ja się obronię.

W. Stpiczyński.

I.

JAK POLSKA SZŁA.



SZALONE, ZAWROTNE TEMPO.

Ten film eksponowany jest zbyt szybko.

Zanim uwaga milionów spectatorów zdoła przyswoić swej świadomości pewną sytuację, zżyć się z nią i zrozumieć — już miejsce jej zajmuje sytuacja zgoła odmienna, a tę znowu inna wrywa naszym oczom.

Szalone, zawrotne tempo!

Oto na scenie stłoczone grają problemy socjalne i słyszeć wołania człowieczych potrzeb szarych mas proletariackich, a za chwilę płoszy je i przeraża śmiertelna cisza zatrzymanych przez kryzys gospodarczy warsztatów pracy. Zgiełk strajku robotniczych rąk, broniących swego i swych rodzin prawa do egzystencji, płoszy drżąca wyniosłość lokautu przemysłowca, który mówi: nie mogę, a najczęściej nie umie móc. Podnoszącą dumną głowę Wielkość Ojczyzny, płoszy pośpiesznie rozgwar partykularnych, stanowych i partyjnych egoizmów, — gdzie lśniła biel wzniosłości, pluska drażniąco maź błota. Maszerującym triumfalnie, rzekomo ku Wolności, sejmującym partjom, zastępuje nagle drogę Duch Dziejów, wołając przerażonym głosem: na sztandarach waszych nie Wolność, a Liberum Veto czytam, miast triumfu zgubę przed wami widzę i Ojczyzny zgubę, — i silnego ku pomocy przywołuje ramienia.

Reprezentacja polityczna włościństwa nagle, w na-

szych oczach, zmienia siermięgi na kontusze szlacheckie XVIII w., przejmując z nimi najgorsze szlachty przywary i zatracając cechy dodatnie włościństwa. „Narodowcy“ mordują Prezydenta Rzeczypospolitej, rzekomo w imię obrony honoru narodowego, dotychczas zabójstwem Głowy Państwa nigdy nieskalanego. Doktrynalny marxista szuka kamienia filozoficznego, któryby wywabił płamę miłości ojczyzny z jego socjalistycznej duszy, lub przeobraził Polskę na oazę marxizmu, względnie przerobił Marxa na Polaka, by wreszcie on, nieszczęsny tego mistrza wasał, mógł znaleźć dla siebie jakieś miejsce w polskiej rzeczywistości. A spowita w kir matka poległego na polu chwały obrońcy Ojczyzny, zawodzi, szlochając: biedna, biedna Polska i ręce ku niebu błagalnym wznosi gestem.

Szalone, zawrotne tempo!

Entuzjazm szczęścia z Wolności, oplata węzowemi ruchami zjadliwa zgryźliwość, z chorej płynąca żółci—i dusi, i dusi... Wierze w Naród, w jego zacność, pracowitość i wytrwania siłę, zaprzecza obrażonych ambicij pustka wielce pyszna, — złością wiarę zabija, w przewrotności topi. Ufności trwoga drogę zabiega, na rzetelność wszelka niecnota z nożem zdrady czyha, szlachetną naiwność wyzysk ujarzmić się sili.

Szalone, zawrotne tempo!

Nad wezbranemi rzekami i potokami życia unosi się co i raz jakiś straszny, nieznany ptak — nowy termin, nowa formułka i rozpętuje wokół siebie burze piorunowe, by zginąć w nurcie, który chciał cofnąć, czy zatrzymać, czy naprzód w szalonym, nadnaturalnym, pchnąć rozpędzie. On zginął, lecz zamęt pozostał. I oto obywatel zaczyna wątpić wreszcie, czy nurt życia naprawdę płynie, czy aby płynie wedle słusznej teorji, czy nie za szybko

lub za wolno, czy niezbyt kręto lub zbyt prosto, — czy to aby tak powinno być? Naturalne prawa życia jakgdyby istnieć nagle przestały. Niecierpliwa wynalazczość w dziedzinie złudnych doktryn i imaginacyjnych teoryj ani się spostrzega w przesadzie wysokiego o sobie mniemania, w stwarzaniu samej sobie iluzji, jakoby wszystkie podstawowe problemy życia ludzkości, narodu, państwa, wisiały w sferze eteru i były poruszane, kształtowane, ożywiane i uśmiercane falami dyskusji różnokolorowych teoretyków, — najczęściej niemądrych, rzadko uczciwych, nigdy odważnych i konsekwentnych w myśleniu i wnioskowaniu.

Gwałtowna szybkość ekspozycji filmu polskiej rzeczywistości z jednej strony stwarza, a z drugiej ułatwia zamęt wrażeń, odczuć i pojęć, wzbudza nerwowość spectatorów, czyni ich wrażliwymi na każdy fałszywy alarm, sprzyja wytwarzaniu się zbiorowych psychoz, opartych na fikcji.

— „Narutowicz nie jest Polakiem!“ — Ten nikczemny fałsz kosztował Polskę krew i życie Pierwszego Prezydenta Odrodzonej i straszny, głęboki, omal nie katastrofalny, wstrząs psychiczny całego Narodu.

— „Naczelne Dowództwo prowadzi konszachty z nieprzyjacielem!“ — Tylko jaskrawej przesadzie, zawartej w tej podłości, ukutej przez przedstawicieli Narodowej Demokracji, zawdzięczamy, iż nie złała ona *morale* walczącej armji i nie dała, co dać pragnęła: klęski Rzeczypospolitej na rzecz Rosji sowieckiej.

— „Cała lewica polityczna to wrogowie Boga i Kościoła!“ — Ta typowa sztinkbomba wykopała głęboką przepaść w łonie Narodu, rozdarła go na dwoje i wykluczyła na długie lata tak konieczne poczucie łączności i solidarności Polaków wobec spraw Ojczyzny. To ona

rozdzielała nam nawet wojsko w czasie wojny, nad przepaść zguby nas spychając.

Fikcje! — wy najpotężniejsze władczynie polskiej wyobraźni w pierwszych latach wolności.

Fikcje! — z bez serc i sumień poczęte rodziców, — ile pochłonęłyście dóbr materialnych i duchowych Narodu, ile przyczyniłyście krzywd srogich Ojczyźnie, ile i jak boleśnie zaciążyłyście na historii pierwszego dziesięciolecia Polski Odrodzonej żywota.

Szalone, zawrotne tempo ekspozycji filmu polskiej rzeczywistości, stwarzało i pozostawia dzisiaj jeszcze pole dla waszej egzystencji.

A tempa zwolnić nie można.

Bo jakże? Toż tu, z odmętów półtorawiekowej niewoli, straszliwego pojęć i rzeczy zacofania, musi się z dnia na dzień stawać nowoczesne państwo, nowoczesny naród, nowoczesne społeczeństwo, prężne, by siłą odporową ciśnieniu mocarnych podolać sąsiadów, by się siłą ducha i siłą materialną z innemi zrównać narodami, które przez 150 lat naszej niewoli szły nieprzerwanie naprzód, a niektóre i naszym przeciw szły kosztem. Gdzież tu bieg życia i jego przejawów zwolnić, gdy wszystko woła o pośpiech, gdy rączy czas tak często odwraca w księdze dziejów karty upływających lat, na których wszystkie narody ryją w gorączce, rylcem czynów, drogi swego postępu.

W ORBICIE WALKI SIŁ POSTĘPOWYCH I WSTECZNYCH.

Lecz gdybyśmy spróbowali film naszego pierwszego dziesięciolecia przepuścić przed naszą wyobraźnią w tempie bardzo zwolnionem, rozciągając go znacznie w czasie i uwypuklając przez to plastykę zdarzeń, wydobywając na jaw szczegóły ich narodzin, musiałby niewątpliwie zwrócić naszą uwagę fakt, wyjaśniający wiele, a mianowicie, że Polska Odrodzona znalazła się pod jednoczesnem działaniem dwóch, pozostających ciągle w omal idealnej równowadze, sił: postępowej i wstecznej.

Pospieszam podkreślić, iż terminy te nie mają w danym wypadku treści politycznej, czy społecznej, czy ekonomicznej, chociaż dotyczą zdarzeń, ten charakter wyraźnie posiadających. W danym wypadku używam ich jako pojęć technicznych, określających kierunek ruchu, a nie jego gatunek.

Oczywiście, cała historia ludzkości składa się z ruchów tych dwóch kierunków. Chodzi jednak o to, iż w ubiegłym dziesięcioleciu naszej historii narodowej byliśmy świadkami niezmiernego zgęszczenia i wyolbrzymienia tych ruchów, nadających chwilami wręcz gigantyczny charakter ich ścieraniu się. Że zarówno konieczność ruchów postępowych, jak i podstawy dla ruchów wstecznych, przerastały swemi rozmiarami wszystko, co demonstrowała nam dotychczas w tej dziedzinie historia. A nad-

to, że często ruchy te dokonywały się bez świadomości ich obrońców i zwolenników, a również często były — świadomie czy nieświadomie, to nie ma znaczenia — wynaturzane, dla celów, nic wspólnego z interesami kraju nie mających. Że wreszcie refleksje, budzące się tu i owdzie na tle przejawów tych ruchów, miały zazwyczaj charakter bojowo-spekulacyjny, formę wypowiedzania ich często tendencyjnie fałszywą i pod tą postacią były przyjmowane przez różne odłamy społeczeństwa na wiarę, sięjąc nieustanny zamęt pojęć i utrwalając w szeregowym obywatelu pogląd, iż sprawy jego Ojczyzny stanowią jakąś dziwną kabalę, którą jakoś tam rozumie tylko ten, co ma mandat poselski, albo możliwość drukowania swoich poglądów.

Niepodobna nie drzeć o losy Państwa, którego sprawy najistotniejsze są wykładane społeczeństwu przez jego różnobarwnych pod względem partyjno-politycznym kierowników w sposób tendencyjnie fałszywy i zawily, po to, by na jego dezorientacji opierać rachuby swojego prosperowania.

Obywatel, zdezorjentowany ciąglem karmieniem go fikcją i zwykłym fałszem w sprawach podstawowych życia i rozwoju Państwa, nie stanowi dla tego Państwa żadnego oprawcy, — jest ciężarem, balastem, lecz nie współtwórcą swej i swojego kraju doli. Partja polityczna, która pracuje nad dezorientacją obywatela, jest skandalem, nie mieszczącym się w ramach pojęć politycznych, — jest zbrodniarzem, o którym, dziwnym zbiegiem okoliczności, zapomniały wszystkie kodeksy karne.

Niema wolności bez odpowiedzialności.

Albowiem wolność — w ujęciu realnem — nie oznacza nic innego, jak udzielenie przez społeczność pełnego zau-

fania temu, kto z niej pragnie korzystać: a więc jednostce, grupie, organizacji, związkowi czy partji. Im więcej zaufania, tem większe obowiązki. Przeto bez obawy tworzenia paradoksu można powiedzieć, że im ktoś więcej otrzymuje wolności, tem mniej posiada wolności.

Najbardziej bowiem wolnym jest niewolnik. Ulegając gwałtowi i przemocy, nie jest on niczem wobec nich zobowiązany. Jest on bezkompromisowo wolny w wyborze metod walki z panującym nad nim gwałtem.

Lecz nie posiada tej wolności ten, kto jest wolny, komu społeczność powiada: wierzę ci, iż chcesz i będziesz pracować dla mego pożytku.

Jeżeli w dziedzinie spraw finansowych nadużycie zaufania na jedną złotówkę powoduje dyffamację jednostki i złamanie moralnych i materialnych podstaw jej egzystencji w społeczeństwie, czemuż bezkarnem pozostaje nadużycie zaufania przez organizację, partję polityczną, nadużycie, które tak łatwo waży na szali losów narodu i często stwarza fakty historyczne?

Posługiwanie się fałszem przez partje polityczne, było stałym zjawiskiem naszego życia. Nazywało się to „grą polityczną“, czy „pociągnięciami taktycznymi“, czy jeszcze inaczej, a chytrze bardzo i przewrotnie. Lecz czyż o nazwy tu chodzi? Czy nazwa odejmuje ostrość i szkodliwość samemu zjawisku?

Unikając wszelkich przejawów należy jednak stwierdzić, że t. zw. gra polityczna, a mówiąc poprostu—walka partyj o egzystencję polityczną jej przewodców, nie znajdując dostatecznych podstaw w gatunku i rzetelności ich pracy społecznej, przeniesiona została na płaszczyznę prestidigitatorskiej demagogji i toczyła się często omal w całkowitem oderwaniu od wielkiego splotu mo-

ralno-polityczno-ekonomicznych interesów Rzeczypospolitej, spychając je na dalekie plany pobożnych życzeń, pozostawionych dobrotliwej opiece Boskiej. W momentach trwogi, wywołanej skutkami anomalji takiego układu sytuacji, sejmujące partje, tytułem ekspiacji, składały swoje obowiązki ustawodawcze w ręce rządów, pozostawiając sobie jedynie wszystkie prawa podjazdowych z rządem wojen o własne korzyści partykularne, bez żadnej odpowiedzialności za Państwo, przerzuconej na rząd.

W tych warunkach głosy trzeźwiejszej i wolnej od tendencyj spekulacyjnych oceny walorów i czynników, wpływających w sposób decydujący na kształtowanie się naszego życia, były nader łatwo zagłuszane, z nierównie większą szkodą dla normalności naszych linii rozwojowych, niż ciężarem smutku dla tych, którzy je podnosili. Utrwaliła się, jako system, metoda iluzorycznych walk i zwycięstw, polegająca na chrzczeniu nieprzyjemnego dla jakiejś grupy stanowej zjawiska, modnem i intrygującem mianem, — metoda wypowiedziania śmiertelnych walk abstrakcyjom, jakimi są: imię, nazwa, słowo, dźwięk. Fakt wyjścia z mody niemiłego dźwięku, uważany był za walne zwycięstwo jego przeciwników, odstępowane w następstwie uprzejmie wyborcom i różnorodnym mandatarjuszom rzekomo zwycięskiej ekipy, za dalsze łaski i cenne poparcie. W rzeczywistości, losy modnej nazwy toczyły się w zupełnem oderwaniu od zjawiska, które miała określać, zjawiska, którego przyczyny leżą z reguły głęboko w nurcie życia i nie mogą być usunięte lub odmieniane w drodze omlotu potężnych snopów pustych frazesów.

Czy będzie chodziło o fragmenty i całokształt ustroju socjalnego, lub też o formy, w jakie wlewa się życie gospodarcze Narodu, względnie o podstawy ustroju poli-

tycznego, — w każdej z tych dziedzin twórczość polega na działaniu w ramach dopuszczalnej elastyczności podstawowych elementów konstrukcji. Zaprzeczanie faktowi istnienia granic tej elastyczności i unoszenie się w dziedzinę t. zw. wolnej twórczości, czyli bujanie w obłokach i wykreślanie form życia w przestrzeni, może dostarczać okazji do komponowania pięknych ornamentów oratorskich, lecz pozbawione jest praktycznej wartości. Jeden Bóg stworzył świat według swego upodobania. Od tej chwili my, ludzcy kontynuatorzy tego dzieła, jesteśmy wiecześnie ograniczeni w swej twórczości charakterem, rozmiarami i gatunkiem terenu i materiału, wyznaczonych dla naszej pracy. Łańcuch przyczyn i skutków, skutki jest nierozzerwalnie ogniwo logiki, wyrastającej z gatunku tworzywa, wyznaczonego nam przez Boga.

Być może, byłoby bardzo pięknie nie szpeci natury wstrętami drapaczami niebios, potwornością miast, zadem benzynowych i węglowych dymów, morderczo działających na organizm człowieka. Lecz niepodobna usunąć logiki rozmnażania się ludzkości, znajdującej wyraz w zaostrzeniu się form walki o byt, wymagającej coraz szybszych środków lokomocji, coraz większej oszczędności miejsca i coraz ściślejszej, bezwzględniejszej organizacji pracy zbiorowej, — prowadzącej powoli do całkowitej omal niewoli jednostki, z którą, zdawałoby się, skończyliśmy już bezpowrotnie w wiekach ubiegłych. Idziemy ku erze demokratycznej, powszechnej niewoli, która tylko dlatego, że dąży do idealnej powszechności, może być z powodzeniem nazywana erą coraz pełniejszej wolności. Tak lub inaczej, ten kierunek marszu ludzkości — ku zacieśnianiu się węzłów jej wewnętrznej organizacji i wzajemnego uzależnienia, jest znamieniem naszych cza-

sów, epoki powojennej, — jest treścią t. zw. nowoczesności.

Nie wolno zapominać, iż Polska upadła i Naród nasz przestał żyć życiem samoistnem w epoce zgoła odmiennej. Że ostatnią, — poza późniejszymi orężnemi, — próbą ratunku, była konstytucja 3 maja, w obliczu rzeczywistości dzisiejszej naiwnie zacofana, a przecież w drodze zamachu, wbrew pojęciowości znacznej części ówczesnej szlachty, w czyn wcielona. Że po r. 1812 i 1831 myśl czynna o podjęciu walki z przemocą najazdu poczęła słabnąć, żarzając się tylko w sercach nielicznych, którym już w roku 1863 szerszej masy Narodu do walki poderwać się nie udało. Że wreszcie po r. 1863 poczęła powstawać rezygnacyjna filozofja pogodzenia się z Rosją pod sztandarem pansłowiańskim, rozwijana przez N. Demokrację z tak dalece niszczycielskim dla prężności duchowej Narodu skutkiem, iż zaledwie parę tysięcy serc oderwało się w r. 1914 na legionowe hasło: walki o Wolność, o Wolną i Niepodległą Polskę.

NA LUDU TRZEBA JĄ BYŁO OPRZEĆ OPOCE.

Oczywiście, w okresie niewoli pojęciowość Polaka ulegała różnym przeobrażeniom, modernizowała się. Narastały powoli i problemy socjalne. Lecz z natury rzeczy miały one podkład lub przynajmniej zabarwienie patryjotyczne, patryjotyzm za sobą i inne pojmowanie patryjotyzmu przeciw sobie, i za sobą lub przeciw sobie — w zależności od charakteru — potęgi panujących nad nami gwałtem mocarstw zaborczych.

W dziedzinie kultury materialnej Naród przyswajał sobie owoce postępu, dopuszczane doń przez zaborców, lecz jego elita mieszczańska, która nadawała wyraz obliczu narodowemu, żyła w sentymentalnem uwielbieniu konstytucji 3 maja, dla której to elity, jeszcze w pierwszym 10-leciu XX w. była ta konstytucja szczytem rewolucyjnego postępu, nieomal mojęszowemi tablicami z dziesięciorgiem przykazań.

Pod tą skorupą obskurantyzmu i zacofania, w końcu ubiegłego wieku wyrastać poczęła nowa siła społeczna, wytworzona przez uprzemysławianie się gospodarstwa narodowego, — młoda, prężna, ambitna, wolna od obciążeń tradycyjnych, wrażliwa na ideały, zwiastujące jej lepszą przyszłość przez możliwość uzyskania praw człowieczych, zahartowana w ciężkiej pracy i przeto zdolna do walki, — klasa robotnicza. Ta właściwie klasa podchwy-



ciła sztandar walki o Wolność, przez którą ku realizacji swych aspiracji dojść pragnęła.

Przez rewolucję, pracę polityczną i udział w Legionach, wspólnie z radykalnym społecznym odłamem włościanstwa i inteligencji, przyszyła ona do Wolności, jak do owocu swej walki, — z miłością i entuzjazmem. Na niej też i na włościanstwie wypadło oprzeć się Odrodzonej Polsce, zaatakowanej z zewnątrz u samego początku wielkiego procesu odradzania się z niewoli i przeto wymagającej od Narodu krwi i ofiar z życia, zanim zjawiała się możliwość korzystania ze szczęścia i jego dobrodziejstw.

Oprzeć się?

Decyzja ta przypomina, pod względem brzmienia i treści, inną, również krótką, decyzję: wygrać bitwę. A przecież potylekroć decyzjom podobnym wypadało doznać klęski. Tylekroć najwięksi nawet wodzowie doznawali porażki, mimo, iż mieli niewątpliwie decyzję: zwyciężyć. Upadającą Polskę twórcy Konstytucji 3 maja usiłovali wesprzeć potężnym filarem ludu wiejskiego i decyzja ta zawiodła. Polska upadła, filar nie został stworzony. Nie wystarcza bowiem sama decyzja tego typu. Jest ona tylko zaledwie podstawą do działania. Trudność zadania leży w wykonaniu, zarówno pod względem czasu, jak i treści.

W życiu jednostek, jak i w życiu ustrojów i Państw, zagadnienie oparcia się kogoś o kogoś, jest kwestją wymiany walorów. Nie wystarcza powiedzieć, że będę się opierał w pracy czy życiu całem na kimś, by fakt takiego oparcia zaistniał w rzeczywistości. Potrzebna jest niezbędnie analogiczna decyzja strony drugiej, znajdującej w daniu poparcia stronie żądającej, — stosowne do skali ofiar, jakie mają być przez nią poniesione — zadośćuczynienie, ekwiwalent.

Taki lub inny ustrój Państwa nie znajduje się pod tym względem w odmiennej sytuacji, niż jednostka czy grupa ludzi. Nic tu nie działają same jeno zakłęcia patryjotyczne. Patrjotyzm bowiem wiąże obywatela z samą tylko istotą Wolności i, jako jej symbolem, Państwem własnem. Stosunek zaś obywatela do danego ustroju państwa kształtuje się niezależnie od napięcia uczuć patryjotycznych. Jeśli pierwszy ustrój zaspakaja aspiracje i interesy pewnej grupy obywateli, eskamotując na rzecz tych swoich wybrańców radość i szczęście i dobrobyt innych grup,—nic nie pomogą apele patryjotyczne zadowolonych do pokrzywdzonych. Będą się oni buntować i szukać dla siebie sprawiedliwości na każdej drodze, nie wahając się chociażby siłą obalić zły ustrój, przyczem, jeśli będą tu w grę wchodziły warstwy w narodzie najliczniejsze, mogą one z całą słuszością powołać się w tem dziele i na uczucia patryjotyczne. O siłę bowiem państwa nie decyduje ustrój. Decyduje fakt przywiązania obywateli do swego państwa, a ustrój jest tylko środkiem, prowadzącym do tego celu, — mówiąc ściślej, winien realizację tego celu zapewniać. W przeciwnym razie jest zły.

Tedy oprzeć się na kimś, to znaczy pozyskać go dla siebie przez zaspokojenie jego aspiracyj we właściwym czasie.

Trzeba tu szczególnie podkreślić wagę czynnika czasu. Tajemnica zdobywania dusz ludzkich, to jedna z najbardziej czarodziejskich sztuk życia, subtelna i nieuchwytna dla wszelkich teoryj, — to sztuka intuicji wyższych wartości człowieczych. Niema ceny za duszę ludzką. Dziś można ją zdobyć jednym wyciągnięciem przyjaznej dłoni, jutro już niczem, żadnemi świata skarbami. Jutro, zraniona brakiem przyjaznej pomocy, zamknie się przed na-

mi, jak kielich kwiatu przed groźną tajemnicą nocy i chłodu, i może ogrzeje ją już tylko płomień buntu, płomień nienawiści.

Naród rosyjski byłby się zadowolili przed wojną i zapewne jeszcze w czasie wojny konstytucją, niewielkimi stosunkowo ze strony caratu koncesjami na rzecz jego aspiracyj politycznych. Lecz, gdy, zraniony dumną caratu dla potrzeb swoich wzgardą, zapalił żągiew buntu, nie zatrzymał się, aż u krańca marzeń swego gniewu, tratując po drodze nie tylko instytucję caratu, lecz i samego cara, i wszystko, co pozostawało z nim w jakimkolwiek związku, aż do warstwy inteligenckiej włącznie, którą — nie bez słuszności — uważał za współwinną swego dotychczasowego poniżenia.

Wszystkie zresztą bunty i rewolucje tego świata miały przyczynę w ślepotie tych, przeciw którym się zwracały, — ślepotie, wyrażającej się w lekkomyślnem omijaniu potrzeby pozyskiwania dusz ludzkich i w zastępowaniu jej systemem dusz gwałcenia. Nie mają tu żadnego znaczenia dłuższe czy krótsze okresy powodzeń systemów, opartych na gwałcie. Można bardzo długie lata katować i dręczyć — zdałoby się z powodzeniem — dziecko. Lecz z chwilą, gdy dziecko wyrośnie w dojrzałego człowieka i uzyska samodzielność, ten, który je męczył poniesie straszliwą karę, otrzymując od własnego dziecka wzgardę, gdy właśnie u schyłku lat swoich pożąda najbardziej jego miłości. Narody i warstwy społeczne dojrzewają również powoli i w tym czasie są łatwym obiektem tyranji. Lecz biada tyranom, gdy dojrzeją.

REWOLUCYJNE SKUTKI WOJNY U PODSTAW ORGANIZACJI ODRODZONEJ.

Jeżeli więc stwierdziliśmy na poprzednich stronicach, że odradzająca się Polska musiała, w pierwszych dniach stawania się, oprzeć się o masę Narodu, przedewszystkiem te, które związane były wszystkimi swymi aspiracjami z Wolnością i złożyły wielkie ofiary dla jej zdobycia, — a więc masy robotnicze i za nimi włościańskie, należy przypomnieć sobie warunki, w jakich decyzję tę wypadło realizować, zwłaszcza, że dzisiaj tak chętnie i tak często mówi się w pewnych sferach o rozrzutności, z jaką rzekomo stwarzano prawa pracy i człowieka pracy w Rzeczypospolitej.

Zamknijmy przez chwilę oczy na zewnętrzną, że tak powiem, mechaniczną, dekoracyjną stronę wojny, na jej okropności, — zgłiszcza sadyb ludzkich, krwi potoki, mógł miliony, kalek armje całe, matek, i żon, i siostr, i dzieci serca rozdarte. Odsuńmy od siebie ten obraz okropności i spojrzyjmy na wojnę od strony zmian, które dokonała ona w duszy szarego, małego człowieka, w jego umysłowości. Cóż za wspaniała rewolucja, co za rozkwit człowieczeństwa! Jeśli kapitał światowy szedł ku wojnie, zahyponotyzowany wizją gigantycznych obrotów i zarobków, powrócił on z wojny niezmiernie okaleczony, wzięty nagle pod kuratelę przez tych, z pracy których powstał i za-

lękniiony głęboko, albowiem spojrzal w oczy śmierci. Niezależnie zaś od zwycięstwa lub klęski, odniesionych na polu bitwy, szary człowiek pracy, złożywşy hekatombę ofiar, powracał do życia normalnego—zwycięskim. Wygrał on kartę swoich praw, poczuł swoją siłę, zrzucił z siebie przemoc, sięgnął po władzę — z nizin, po przez pola bitew, wysunął się na szczyt politycznej piramidy stanowego uwarstwienia ludzkości.

Była to jakby druga rewolucja francuska, tylko w szerokiej skali światowej i głębsza w skutkach.

Padły najsilniejsze, zdałoby się, trony, — zwycięskie zastępy demokracji brały sobie satysfakcję polityczną.

Wysunięta została wielka karta praw pracy i człowieka pracy, podchwycona szybko przez powstającą właśnie Ligę Narodów i otoczona natychmiast opieką jej międzynarodowego autorytetu. W ten sposób rewolucja socjalna, dokonana przez wojnę, uzyskała sankcję parlamentu świata, w którym zasiadali przecież przedstawiciele potęg kapitalistycznych. Lecz nie mieli oni najmniejszej wątpliwości, iż jedynym sposobem zatrzymania dalszych postępów procesu rewolucyjnego, podniecanego nader silnie wówczas przez III-ą Międzynarodówkę, jest uznanie jego haseł sztandarowych i zdobyczy dotychczasowych. Że powstający z burzy wojennej parlament świata musi szukać oparcia moralnego w potężnej, zwycięskiej armji ludzi pracy, armji, która powróciła z pól bitewnych do warsztatów w szyku zwartym, zorganizowana, świadoma swej wartości, jako zjawisko historycznie trwałe, jako wyraz nowego porządku społecznego i politycznego.

Niemiecka demokracja wzięła sobie satysfakcję polityczną w obaleniu monarchji i zatknięciu na frontonie gmachu Rzeszy sztandaru republikańskiego. Monarchje:

austrjacka i rosyjska rozpadły się wzdłuż szwów narodowościowych. Na nowej mapie politycznej zjawiała się ponownie Polska, a obok niej Czechosłowacja, Litwa, Estonia, Łotwa, Gruzja i Ukraina, — te dwa ostatnie państwa raz jeszcze zduszone przez czerwony imperjalizm Moskwy, lecz przecież nie na zawsze, nie śmiertelnie.

Ideje demokratyczne, wsparte o filar zwycięskiego świata pracy, rozkwitły po ulewie krwi, w wysokości temperaturze wojny, szybko i szeroko.

Odradzającej się Polsce, polski świat pracy, polski robotnik i inteligent, — którzy o Wolność, jako drogę wiodącą do zaspokojenia ich aspiracji społeczno-politycznych, walczyli, — przedstawili do honorowania kartę swoich żądań, tych samych, dla realizacji i obrony których w łonie Ligi Narodów powstało Międzynarodowe Biuro Pracy, żądań rozbrzmiewających równocześnie w Warszawie, Berlinie, Paryżu, Londynie, Washingtonie, i rzekomo realizowanych — w najbardziej krańcowej postaci polityczno-socjalnej — przez III-ą Międzynarodówkę, na olbrzymim organizmie rosyjskim.

Czas szybko zaciera obrazy rzeczywistości minionej, lecz przecież nie tak dalece, by trzeba było szczegółowo przypominać atrakcyjną siłę przykładu rewolucji sowieckiej dla proletariatu europejskiego w latach 1918—1919 i nawet dalszych. Jeśli na skutek powolnego uspakajania się rozchwytanego przez wojnę gospodarstwa europejskiego i stopniowego ujawniania się ujemnych skutków czerwonej „dyktatury proletariatu“ w Rosji, atrakcyjność tego przykładu powoli malała i naogół dzisiaj całkowicie omal istnieć przestała, — nie wynika z tego faktu, by w latach 1918 i 1919 proletariatu europejski oddawał się przewidywaniom takiej przyszłości. Przeciwnie, miał on

w oczach jaskrawy i przemawiający do wyobraźni przykład rozwiązania przez proletarjat rosyjski jego sporu z kapitałem i reakcją polityczną, które czynił odpowiedzialnymi za cały splot wielkich kłopotów gospodarczych, gnębiących po wojnie wszystkie państwa europejskie, kłopotów, które spadały ogromną częścią swego ciężaru na barki właśnie proletarjatu, świata pracy.

Atrakcyjność przykładu rosyjskiego była również silna w sferach proletarjatu polskiego. Bezpośrednia bliskość teatru działań III-ej Międzynarodówki, istnienie w okresie olbrzymiego zamętu, wywołanego rozwalaniem się okupantów: niemieckiego i austriackiego, w najwyższym stopniu nie popularnej i nie posiadającej wyczucia momentu dziejowego, kreowanej przez tychże okupantów, Rady Regencyjnej; pozorna łatwość zaspokojenia w drodze „dyktatury proletarjatu“ podniosłych jego uczuć i aspiracyj, —to wszystko, z przydatkiem pracy agitacyjnej moskiewskich emisariuszy, wytwarzało atmosferę, w której łatwo mógł wybuchnąć pożar rewolucji w stylu bolszewickim. Nie znaczy to, by brakło w sercach proletarjatu polskiego miłości ojczyzny. Nie było w nich skłonności do rezygnowania z dążeń do Wolności. Lecz było to poszukiwanie dla siebie sprawiedliwości w Polsce, która już wylaniać się poczęła z burzy dziejowej. A przykład rosyjski był pod tym względem — jak to już stwierdziliśmy wyżej — bardzo pociągający.

Zadanie Piłsudskiego, w chwili, gdy powrócił z Magdeburga, miało w swem zawrotnem bogactwie trudności, jako jeden z najpoważniejszych ich warjantów, konieczność znalezienia skutecznego sposobu rozładowania w masach prokomunistycznych nastrojów i zdobycia dla odradzającej się Rzeczypospolitej proletarjatu, nie tylko w zna-

czeniu biernem, w granicach sympatji i oczekiwania: co dalej?, lecz w sensie czynnym. Proletariat musiał się stać jednym z głównych bastjonów Polski przeciw właśnie III-iej Międzynarodówce i jej „czerwonej armji“, — musiał on chcieć ginąć w obronie Rzeczypospolitej przed tymi, którzy szli w wojennym pochodzie z hasłem dyktatury proletariatu.

Jeżeli byt Polski został uratowany dzięki wykonaniu tego karkołomnego zadania, — nie może ulegać żadnej wątpliwości, iż stało się to możliwe dzięki dwu równorzędnym czynnikom: faktowi, iż na czele odradzającej się stał nie kto inny, jak Piłsudski, i że karta praw pracy i człowieka pracy została wzięta za jedną z części składowych fundamentu, na którym miał się oprzeć ustrój Państwa.

Można dzisiaj, gdy minęły grozy i burze lat 1918—1920, wiele rozprawiać na temat: czy ośmiodzinny dzień pracy, płatne urlopy robotnicze, lub prawo strajku, są dobre lub nie dla życia gospodarczego, czy są luksusami lub koniecznościami. Wówczas istniało tylko zagadnienie być albo nie być Polski i owe, w pojęciu wielu naszych kapitalistów, „luksusy“ przeważały szalę na stronę być. Gdyby nie one, nie byłoby dzisiaj podobnego rodzaju dyskusji, a panowie kapitałiści tułaliby się może na emigracji lub poprostu zażywali spokoju wiecznego po śmierci gwałtownej.

Można się dzisiaj oburzać na reformę rolną, wytykać złe strony stanowiącej ją ustawy głównej. Jakież to dzisiaj łatwe i bezpieczne. Lecz czyż może ktoś odważyć się twierdzić, iż chłop ginąłby tak brawurowo i z takim bohaterstwem w imię obrony nietykalności wielkiej własności rolnej i wiecznego trwania jego nędzy na karłowatych lub pokawałkowanych gospodarstwach?

Zaiste, jakże niewielkiemi wydają się być ofiary, poniesione przez kapitalizm polski na rzecz mas robotniczych, włościańskich i inteligenckich — jeśli się zważy, że mógł on stracić wszystko, mógł przestać istnieć, nie mówiąc, że gdyby odradzająca się Polska wzięła sobie za fundamentalny obowiązek upartą i ślepą obronę jego egoistycznych interesów, przeciw aspiracjom i interesom olbrzymiej większości swego Narodu, samej by jej do istnienia podstawy zabrakło.

Oto potężne siły postępowe, dążące do wyciągnięcia Polski z odmetów wszelkiego zaniedbania i zarożowania, narzuconego przez warunki niewoli, odrazu, jednym uniesieniem entuzjazmu i górnych oczekiwań, na szczyty nowoczesności pod względem ustroju polityczno-socjalnego, — uczynienia z odradzającej się Rzeczypospolitej doskonałego wcielenia w praktykę życia pięknych dążeń Demokracji do równości politycznej i sprawiedliwości społecznej.

Któż mógł, któż śmiałby się przeciwstawić tym siłom, gdy wyrosły one nagle ze świadomości milionów, wczoraj jeszcze krzywdzonych i wyzyskiwanych, dziś zwycięskich i dojrzałych mas Narodu; gdy z tej ich dojrzałości wyrosły podstawy samoistnego bytu Polski; gdy była ona nieodzownym warunkiem jej istnienia duchowego i materialnego, warunkiem przetrwania burz, towarzyszących jej powrotowi na arenę dziejów i skuteczności wysiłków ustalenia granic Rzeczypospolitej w przybliżeniu do tego, co stanowi historyczną sprawiedliwość i polityczną konieczność, — w jedną w naszych warunkach geograficzno-politycznych splecione rację stanu.

JAKIEGO PAŃSTWA POLSKIEGO?

Wielką jest wymowa historii i ważkim bywa jej głos. Lecz niepodobna posunąć się do przypuszczenia, iż na Kongresie Wersalskim i późniejszych, w latach 1919 i następnych, argument, iż Polska posiadała w 1772 r. takie to ziemie i takie to granice, wpływał decydująco na rozstrzygnięcia terytorjalne w odniesieniu do Polski odrodzonej.

Tak! Wynikiem wojny musiało być „odrodzenie Państwa Polskiego, wolnego i niepodległego“, jak musiało być uznanie karty praw pracy i człowieka pracy.

Lecz decyzja tak wyrażona, nie rozstrzygała bynajmniej najistotniejszej dla nas kwestji: jakiego Państwa Polskiego? Jeżeli poszukać na to pytanie odpowiedzi w Traktacie Wersalskim, który winien być często czytany przez różnych naszych miłośników i entuzjastów obcych protekcyj, cóż tam znajdziemy? Państwo bez granic od Wschodu, z pozostawieniem otwartej, w obliczu międzynarodowego prawa, możliwości zlikwidowania go nieprzyjaciółom od tej strony ku granicy zachodniej, zawieszanej w powietrzu; na Zachodzie, znak zapytania nad Śląskiem Górnym, fatalnie zagmatwany stosunek prawno-państwowy Polskij do Gdańska, znak zapytania nad Warmją i Mazurami; na Południu, takiż pytańnik nad Śląskiem Cieszyńskim.

Jakiego zatem Państwa Polskiego?

Przez otwartą, tysiąckilometrową bramę wschodnią, wlewa się na ziemię polskie potężna fala czerwonego imperjalizmu rosyjskiego, a sąsiedzi: południowy i zachodni wyrywają nam tymczasem olbrzymi szmat ziemi cieszyńskiej, odwiecznie polskiej i do Polski tęskniącej, oraz Warmję i Mazury.

Lord Curzon zaś ogłasza swoją niezapomnianą linię graniczną Polski na Wschodzie, linię Bugu, jako, w jego pojęciu, zadośćczyniącą potrzebie „odbudowania Państwa Polskiego, wolnego i niepodległego”.

Jakiegoż więc Państwa Polskiego?

Bez ziem: Nowogródzkiej, Wileńskiej, Polesia, Wołynia i Małopolski Wschodniej, bez tego, co jest płucami naszego organizmu państwowego, — bez podstaw trwałości odbudowanego Państwa Polskiego. Karła, ściśniętego za gardło przez Rosję i Niemcy, skazanego na powolne lecz nieuniknione umieranie.

Argument historii był zatem tylko podstawą, niejako inspiracją naszego odrodzenia. Lecz o tem, jaką ma być Polska Odrodzona, musiał zdecydować czynnik inny, silniejszy, żywotniejszy i bojowy, a mianowicie: prężność ducha narodowego. Duch, w oręż uzbrojony, musiał przeciwstawiać się sile wrogiej i barykadą ciał i morzem krwi bronić polskiej racji stanu, przed małodusznością czy lekomyślnością międzynarodowych pomysłów. To on, — szafarz życia naszego — siedł naprzód i brał we władanie Orła Białego to, co jego było.

Czy miałby może ktoś, z dzisiejszych reakcjonistów, odwagę ducha tego zabijać zaprzeczaniem, w imieniu Polski, prawa do równości politycznej i sprawiedliwości społecznej — tak jak była ona odczuwana i rozumiana przez tych, którzy do niej dążyli — szerokim masom Narodu?

Wygnań ich z domu Wolności i wypchnięcia na fale buntu, które wówczas do jednego, wrogiego, płynęły portu?

Reakcyjniści, reprezentowani politycznie przez Narodową Demokrację, mieli wiele smutnej odwagi: odwagi przeszkadzania, więzienia armji Hallera we Francji, gdy Lwów jęczał obleżony, broniony przez dzieci, kobiety i starców, gdy armja czerwona szarpała ziemie polskie i odwagi frondy politycznej i wojskowej, gdy wróg po stolicę ręce już wyciągał, — lecz odwagi dokonania jawnego zamachu na odradzającą się Polskę, przez zamach na równość polityczną i sprawiedliwość społeczną, u podstaw ustroju Rzeczypospolitej położone, — nie mieli. By przeciwstawić się tym wielkim siłom postępowym, odwagi i siły nie znaleźli.

Wojna zwycięska bynajmniej tych sił nie osłabiła. Przeciwnie: do zasługi walki czynnej o Wolność, okraszającej aureolą wysokiego idealizmu proletarjat miejski, przybyła zasługa skutecznej orężnej obrony Polski przed najazdem czerwonym, spadająca w znacznej części na lud wiejski, na włościanstwo. Po insurekcji Kościuszkowskiej, rok 1920 był bodaj drugim w historii egzaminem z obywatelstwa chłopu polskiego, oczywiście roku 1920 w skali potężnej, przekonywującej, nie pozostawiającej żadnych marginesów na wątpliwości.

Zdawszy egzamin z obywatelstwa na polu bitwy, złożwszy Ojczyźnie daninę krwi i życia — włościanstwo zdobyło nieodparty tytuł żądania realizacji przez Polskę jego zadawnionych i długo tłumionych aspiracyj gospodarczo-społecznych.

Zanim umilkły ostatnie strzały wojenne, kwestja rolna rozgorzała już w całej pełni. Powracającym z wojny do domu włościanom Rzeczpospolita wręczyła uchwaloną

przez Sejm ustawę o reformie rolnej, która zapowiadała usunięcie największych ich bolączek, — sprawiedliwe zadośćuczynienie za Ojczyźnie złożone usługi.

Rzeczpospolita musiała uregulować długi honorowe wobec najliczniejszych mas swych dzieci, — siły postępowe, rozwalające stary, dowojenny ład gospodarczo-socjalny, wzrastały.

Jeśli spojrzeć na ten proces oczyma tych, którzy byli nim przerażeni, czy zgorszeni, czy oburzeni, czy nawet z jego powodu do płaczu nad Polską doprowadzeni; oczyma tych, co w następstwie, nie bez słuszności, powoływali się na przykłady innych państw europejskich, które nie zrealizowały tyle z karty praw pracy i świata pracy, co Polska, już bez słuszności dowodząc, iż Polska niepotrzebnie i ponad swoje siły zapędziła się w tym kierunku, — cóż można im odpowiedzieć na te żale i argumenty?

Więc to przede wszystkim, że, niestety, niepodobna przeprowadzić żadnej analogji między Polską i innemi państwami europejskimi w pierwszych miesiącach i latach po ukończeniu Wielkiej Wojny. Albowiem wszystkie te państwa reprezentowały wypróbowane organizmy, podczas gdy Polska takim organizmem nie była. Że wówczas, gdy żołnierz francuski, niemiecki czy angielski powracał do życia pokojowego, polski szedł na nową, morderczą wojnę. Że podczas, gdy nowa regulacja układu życia w państwach starych odbywała się już w warunkach wolnych od niebezpieczeństwa zewnętrznego i tego fantastycznego wysiłku, jakim jest wysiłek wojenny, a nadto była to nowa regulacja czegoś, co miało tradycyjną, nieprzerwaną ciągłość, — u nas wypadało budować na nowo i w warunkach zgoła odmiennych, właśnie w atmosferze wojny.

Krótko mówiąc, u nas chodziło o być albo nie być Polski. Nie było tu miejsca, ani czasu, na targi, a — nawiasem mówiąc — żadnych do nich nie posiadaliśmy realnych podstaw, żadnych sprawdzianów i mierników zdolności naszego życia gospodarczego.

Zadanie było proste: szerokie masy Narodu muszą wiedzieć, że Odradzająca się Polska jest ich Polską, i że po tę ich Polskę wyciągają się ręce obce po to, by ich być przestała, — że zatem muszą jej bronić: mieniem, krwią, życiem, — bronić do upadłego. Bronić, bo ich jest. Na targi miejsca nie było, albowiem niema nic, coby było droższe od Polski wolności i niepodległości.

W tym systemie myślenia, który mam zaszczyt reprezentować, gdy naród wolność traci, wszystko co posiada, traci wartość.

Wolność zaś naszego Narodu, wbrew aspiracjom duchowym, politycznym i socjalnym jego najliczniejszych warstw, nie mogła być całkowicie zdobyta i obroniona przeciw tym siłom, które zbrojnie i dyplomatycznie przypuściły na nią atak. Tego faktu nie wolno ani przez chwilę usuwać w cień niepamięci, zwłaszcza, gdy się przystępuje do formułowania zarzutów, iż ciężar zdobyczy socjalnych przygniótł nasze życie gospodarcze i odebrał mu część zdolności rozwojowych i konkurencyjnych, lub że reforma agrarna jest wrogiem wydajności i kultury narodowego gospodarstwa rolnego.

Siły postępowe wyrosły zatem — jak to stwierdziliśmy — z samej natury rzeczy, z faktu dojrzewania tych mas i warstw narodu, które w społeczno-politycznym dowojennym układzie sił nie odgrywały jeszcze znaczniejszej roli, przynajmniej samodzielnej, a przez wir wojny zostały wysunięte do roli decydującej, — warstw, które

w Polsce, zwłaszcza w b. Królestwie i b. Galicji, dojrzewały pod sztandarem walki o Wolność i Niepodległość, nadając mu treść polityczną, sformułowaną w pojęciu Rzeczypospolitej Ludowej, Demokratycznej. O inną Polskę nikt nie walczył. Ci, którzy pragnęli ją widzieć monarchiczną, czy kapitalistyczną, według pojęć przedwojennych, czy jakąkolwiek inną, — do dzieła walki o Wolność ramienia nie przykładali, lub czynili to tak niepewnie i ostrożnie, iż sami nie czuli odwagi i siły do wysunięcia własnego sztandaru, wyrażającego ich treść wewnętrzną Polski, stać się mającej.

REALNE I UROJONE PODSTAWY DZIAŁANIA SIŁ WSTECZNYCH.

Jeśli jednak poddamy analizie siły wsteczne, które zabiegały drogę siłom postępowym, w miarę jak rozwijały one swoją działalność praktyczną, usiłując je często nie tylko zatrzymać w miejscu, lecz nawet zawrócić lub unicestwić przejawy ich istnienia, — niepodobna całej, olbrzymiej, dziesięciolecie obejmującej, panoramy walki tych dwóch sił, walki czasami potężnej, a chwilami i krwawej, złożyć wyłącznie na karb czynników emocjonalnych, sztucznych, podstaw realnych pozbawionych.

Ten sposób upraszczania zjawisk nie doprowadziłby nas do zrozumienia tego, co pozwałam sobie uważać za największe nieporozumienie, za najcięższy błąd, w pewnym stopniu wszystkich, lecz przede wszystkim prawych partyjno-społecznych członów reprezentacji politycznej Narodu, w okresie kilkolecia jej absolutnej i niepodzielnej nad Polską władzy.

Oczywiście organizm, a więc to wszystko, co stanowi materialną stronę egzystencji Narodu, związany jest silnie wewnętrzną wzajemną zależnością poszczególnych jego części. Zdrowie całości jest funkcją zdrowia członów, choroba członów powoduje chorobę całości. Brzmi to już dzisiaj, jak truizm, lecz trzeba powtarzać nawet truizmy.

póki nie staną się one wyrazem przekonania powszechnego.

Formy życia narodów nieustannym podlegają przemianom, dyktowanym przez rozwój aspiracyj i potrzeb duchowych człowieka, grup i warstw społecznych, oraz przez wzrastające stale od wieków trudności walki o byt materialny, w konsekwencji i polityczny.

Równowaga zaś i zdrowie organizmu narodowego są ściśle uzależnione od harmonji między duchem i materją, w dokonywujących się przemianach form życia narodu. Jeśli aspiracje duchowe pominają zagadnienie wytrzymałości materji, która ma wymaganiom tych aspiracyj zadość uczynić, grozi im klęska, zdolna zabić, lub przynajmniej zranić na długo, organizm narodowy. Gdy zaś rozwój materji próbuje posuwać się przeciw aspiracjom mas narodu, musi się on spotkać z oporem, który albo go złamie, albo skieruje według swej woli.

Gdyby nie ta prozaiczna zależność ducha od materji i odwrotnie, realizacja marzeń o rajy na ziemi nie przedstawiałaby żadnej trudności. Nie brak przecież ludzkości marzycieli i natchnionych wizjonerów, nie brak również ochoty do żywota pełnego beztroski i piękna, i szczęścia, i zachwycenia nieustannego. Lub może żylibyśmy w stanie nieustannej rzezi wzajemnej narodów i ras, pokąd nie pozostałoby zaledwie tylu ludzi na ziemi, że zniknęłyby wszelkie kwestje państwowości, granic, mocarstwowości, panowania na wodach, konkurencji gospodarczej i t. p.: pokąd łona kobiet nie utraciłyby zdolności tkliwego piastowania, aż do dojrzałości, owocu człowieczego, by wydaniem go na świat wzbogacić ludzkość i zaostrzyć walkę o byt.

A przecież nie żyjemy ani w rajy, ani w wojnie nieu-

stannej, albowiem beznamiętna i władcza materja dyktuje nam prawa wojny i prawa pokoju, i prawa dostatku, i prawa głodu a klęski.

Gdy harmonji między aspiracjami ducha i wytrzymałością materji poczyną brakować, trzeba natychmiast ulepszyć materję lub powstrzymać rozwój aspiracyj, w zależności od tego, która z tych dwóch dróg dążenia do ratowania sytuacji jest otwarta, albowiem wolność wyboru nigdy tu omal nie ma miejsca.

Jeśli z tego punktu widzenia spojrzymy na walkę sił postępowych i wstecznych w naszej Ojczyźnie, wypadnie stwierdzić fakt niezbity, że karta praw pracy i człowieka pracy, a więc t. zw. zdobycze socjalne proletariatu, znalazły znacznie u nas słabszą materję, w której musiały być realizowane, niż to miało miejsce w państwach zachodnio-europejskich. Rozwój gospodarstwa przemysłowego, które musiało się przystosować do nowych praw swej głównej siły roboczej — siły ludzkiej, jego sprawność, jego wydajność, a zatem jego rentowność, — były nierównie u nas słabsze, niż w Niemczech, Francji, Belgji.

Przeciwnicy reformy agrarnej byli mocno uzbrojeni argumentem niewątpliwej słuszności, iż kultura rolna b. Królestwa, b. Galicji i Ziemi Wschodnich jest nierównie niższa, niż na Zachodzie, niż w innych państwach o ustroju drobno-rolnym, jak np. Danji i że szybkie rozdrobnienie gospodarstw wielkorolnych może w tych warunkach spowodować spadek i tak fatalnie niskiej produkcji rolnej.

Siły wsteczne, jak widzimy, znajdowały realne podstawy powstawania i narastania, miały one swoje bazy w atakach na siły postępowe i ich reprezentacje polityczne, miały nadto sprzymierzeńca w fatalnej ciemności, w zakresie

spraw politycznych i społecznych, szerokich mas narodu, zwłaszcza mieszczaństwa i włościaństwa, oszalamianego imieniem Boga i Ojczyzny i dezorjentowanego przez polityczną reprezentantkę sił wstecznych, Narodową Demokrację i jej satelitów.

Wydaje się jednak pewnem, iż nasze grupy kapita-listyczno-przemysłowo-wielkorolne, które w kuźni swych przemysłów kuli broje dla sił wstecznych i ich obrońców wobec Narodu, nigdy nie zdały sobie konsekwentnie sprawy z kruchości i fatalnego charakteru podstaw, na których się w swej walce opierały.

Argument zacofania metod produkcji, w porównaniu z innemi, konkurującemi ze sobą, członami Europy, niższej wydajności warsztatu, gorszej sprawności, mniejszej rentowności, — to nie są argumenty, któreby mogły kogokolwiek przekonać o czem innem, nad to, że taki stan rzeczy jest zły, jest fatalny i musi być usunięty. To nie są argumenty, któreby świadczyły przeciw prawu robotnika do ochrony jego zdrowia, zabezpieczenia na wypadek choroby lub starości i kulturalnej egzystencji, lub prawu małorolnego chłopca do koniecznego uzupełnienia jego kartłowatego i przeto nieprodukcyjnego gospodarstwa. I to już nie jest zagadnienie socjalne, a kwestja bilansu produkcji narodowej, zagadnienie zdolności konkurencyjnej Państwa, jego stanowiska światowego, jego siły wewnętrznej i zewnętrznej.

Siły wsteczne posiadały niewątpliwe oparcie w złym stanie gospodarstwa przemysłowego i rolnego. Lecz wypadło przecież, przed decyzją co do taktyki, rozstrzygnąć kwestję: czy to oparcie ma w przyszłości wzrastać czy zanikać, t. j. czy ma ono szanse tężenia lub będzie pod-

dane działaniom rozkładającego je postępu, aż do całkowitego zaniku?

Dopiero z rozstrzygnięcia tego zagadnienia mogły wypłynąć wskazania: skupienia wszystkiej uwagi i wszystkich środków na wzmaganie sił wstecznych i ich walki z siłami postępowemi, lub też wytężenia całej prężności energii dla modernizacji gospodarstwa przemysłowego i rolnego, uczynienia go sprawnym, zdolnym do konkurencji i przystosowanym do podźwignięcia praw pracy oraz pomyślnego prosperowania w ramach nowego ustroju, jeśli chodzi o gospodarstwo rolne.

W rezultacie proces o to, czy godzin pracy ma być 8 lub 9 i t. p., wygra zawsze robotnik, a nie przemysłowiec, albowiem ten ostatni posiadać może zawsze tylko jeden argument na obronę swego żądania, a mianowicie, iż jest on gorszym organizatorem pracy od swego sąsiada. W rzeczywistości bowiem wcale nie o to chodzi, ile kto pracuje godzin, tylko ile wykonuje pracy. W ciągu 8-iu godzin można zdziałać więcej, niż w ciągu 9-iu. Jest to kwestja systemu, metody, organizacji. Ford twierdzi, że najlepiej jest dla niego, gdy robotnik pracuje tylko godzin 6. Nie tylko dlatego, że w ciągu krótszego czasu uwaga i mięśnie robotnika działają sprawniej, lecz również i z tej przyczyny, że pracując tylko 6 g. na dobę, robotnik ma 18 g. na odpoczynek, a zatem dość czasu, by potrzebować rozrywki, m. in. i automobilu, produkowanego przez Forda. Również nie jest oparte na żadnych realnych podstawach twierdzenie, jakoby produkcja rolna kraju wzrastała w miarę tego, im na wyższych jednostkach gospodarczych oparty jest jego ustrój rolny, i malała w miarę rozdrabniania się tych jednostek. Zupełne złudzenie. Chodzi tu nie o to, jakie są jednostki gospo-

darcze, byle nie spadały poniżej naukowo ustalonego minimum. Zagadnienie wydajności, to kwestja jakości, wartości, sprawności gospodarki. Jeśli zaś chodzi o sprawę hodowlaną, tak ważną dla naszego bilansu handlowego, nie ulega już dzisiaj żadnej wątpliwości, iż przemawia ona na rzecz ustroju drobnorolnego.

NA DRODZE KOSZTOWNEGO ABSURDU.

A zatem kowale pancerzy dla sił wstecznych winni byli zauważyć już u progu rozpoczynającej się walki, iż próba zniszczenia sił postępowych lub zatrzymania ad infinitum ich prężności, argumentem niesprawności i zacofania gospodarstwa przemysłowego i rolnego, nie może przynieść im żadnych pozytywnych rezultatów. Że pozostaje im zatem skierować wszystkie siły w kierunku modernizacji tego gospodarstwa i zyskania tem samem mocnej moralnej podstawy do ewentualnych układów z obozem przeciwnym, w sprawie takich lub innych modyfikacyj jego żądań, rozłożenia ich realizacji w czasie i t. p. sprawach, które wówczas straciłyby koloryt egoistycznych interesów kapitału i reakcji, a nabrały zabarwienia zagadnień ogólnie - narodowych i państwowych.

Gdyby z tej strony obrona była ta metoda postępowania, Państwu oszczędzoneby zostały olbrzymie kryzysy finansowo-ekonomiczne i jałowe a szkodliwe, nadmierne rozognienie antagonizmów socjalnych, na tle których, w znacznej mierze, doszło do rozwydrzenia partyjniactwa i pustego doktrynerstwa, a także mniejszych lub większych sukcesów komunistycznych w centrach przemysłowych.

Niestety, te wszystkie dodatkowe bóle nie zostały oszczędzone, znękaney przez niewolę i wojnę, Polsce.

Siły wsteczne uparły się w walce z nieuniknionem i niechęci do koniecznej a pilnej pracy twórczej. Jadąc na zdezorientowanym tłumie, zaganianym do urn wyborczych przez Narodową Demokrację, na jej posłach i ministrach, t. zw. sfery gospodarcze uprawiały metodę pokrywania strat zarobków, wynikających z przestarzałych metod produkcji, z dwóch źródeł: kasy państwowej i obcinania zarobków robotniczych. Wysokie, dewaluujące się lub poprostu nie zwracane kredyty państwowe i ciągła spekulacja na niskie płace za pracę, kurczące rynek wewnętrzny i hamujące rozwój kultury, — to była odpowiedź motorniczych sił wstecznych na konieczności, wynikające z ducha czasu i faktu odrodzenia Polski, odpowiedź, okraszana ustawicznymi pomstowaniami na zdo-bycze socjalne, do próby cofnięcia których nie zdołali przecież nakłonić N. Demokracji. Zresztą pamiętne krwawe wypadki krakowskie, musiały pozbawić tę ostatnią wszelkich złudzeń, co do widoków powodzenia takiej próby.

Tem bardziej więc dziwnem było kontynuowanie przez tę stronę irracjonalnej metody walki, która wywoływała irracjonalne, bo zamykane w doktryny abstrakcyjne, również demagogiczne i hałaśliwe odparcie ze strony przeciwnej, aż wreszcie znakomicie rozszerzyła kryzys ekonomiczny i wywołała zupełny zamęt, w życiu politycznem kraju.

W następstwie, t. zw. sfery gospodarcze podniosą wielkie larum z powodu uprawiania przez Państwo rzekomo etatystycznej polityki gospodarczej, zapominając, że gdy inicjatywa modernizacji, racjonalnej organizacji i rozszerzenia produkcji w zastosowaniu do potrzeb Polski, została zaniechana przez te właśnie „sfery gospodarcze“, mu-

siał się znaleźć ktoś, kto by ją podjął i że tym kimś mógł być i musiał być tylko rząd, a zatem Państwo. Że nadto konsekwencją niezwróconych przez gospodarzy poszczególnych warsztatów przemysłowych, pobranych z kasy publicznej, kredytów, było przejście tych warsztatów na własność lub pod nadzór wierzyciela, — co jest wynikiem niemoralnego stosunku tego lub innego przemysłowca do kredytu państwowego, lecz bynajmniej nie może być uważane za rezultat etatystycznej polityki gospodarczej rządu.

Lecz proces o etatyzm porusza zagadnienie ustroju gospodarczego i przeto zajmujemy się nim bliżej, przy okazji rozpatrywania tego ważnego zagadnienia.

OD ROLI HISTORYCZNEJ DO KOMPROMITACJI.

Będzie dla nas równie ważnym rzut oka na linje, po których reprezentacja polityczna warstw społecznych, nadających rozmach siłom postępowym, a więc partje reprezentujące obóz demokratyczny, czyli t. zw. lewica sejmowa, rozwijała w praktyce życia zasady demokratyczne, stanowiące fundament ustroju Rzeczypospolitej.

Gdybyśmy powiedzieli, iż partje te nie rozumiały dotychczas swego zadania, a zatem spełnić go nie mogły, że przeciwnie, oddały one najgorszą usługę wypisanym na ich sztandarach ideom, osłabiając ich żywotność w opinji kraju i ułatwiając mobilizację ich przeciwnikom z prawej i lewej strony, — powiedzielibyśmy niewątpliwą prawdę, której możnaby jedno tylko zarzucić, a mianowicie: iż została zamknięta w zbyt krótkiej formule.

Lewica sejmowa składała się aż do końca r. 1927 z dwóch członów: socjalistycznego i radykalno-ludowego, skutych w jedną całość wspólnotą odpowiedzialności i zadań politycznych, a do współdziałania zupełnie niezdolnych.

Partja, czy później partje radykalno-chłopskie, po dzień dzisiejszy nie wyszły, niestety, z okresu poszukiwania dla siebie drogi i metod działania. Nieustanny ruch rozłamowy w ich łonie, ciągle rozchodzenie się pojęciowe różnych ich grup, tarcia wewnętrzne na tle stosunku do różnych zagadnień państwowych i społecznych, ciągły ferment

młodzieńczości politycznej, to, oczywiście, nie są cechy, znamionujące zdolność ich do trwałego z kimkolwiek współdziałania. W rezultacie, główny wysiłek tego członu lewicy sejmowej kierowany był z jednej strony ku pokonywaniu ciągłych kryzysów wewnętrznych, przeważnie bez pozytywnych rezultatów, oraz ku walce o wydzieranie sobie przez jego grupy wpływów w masach ludowych, objętych wysiłkiem agitacyjnym Piasta i N. Demokracji, jeśli chodzi o włościaństwo zamożniejsze, a zatem konserwatywne, oraz organizacji wiejskiej P. P. S. w środowisku służby folwarcznej i małorolnych. Znaczna ilość szlacheckich jednostek, reprezentujących w Sejmie ten obóz, nie zdołała nigdy przeciwstawić się skutecznie splotowi trapiących go sprzeczności, oraz przerostowi demagogii w metodach jego działania na terenie kraju, wywołanemu brakiem jasno określonej koncepcji ruchu radykalno-ludowego w Odrodzonej Polsce, oraz chęcią przelicytowania współkonkurentów do zaufania obywateli - wyborców, w drodze wyjaskrawiania hasel agitacyjnych.

Drugi, socjalistyczny człon lewicy sejmowej, z chwilą, gdy założone przez Piłsudskiego i Moraczewskiego fundamenty ustrojowe Rzeczypospolitej oraz zwycięsko zakończona wojna z armją III-ej Międzynarodówki, odsunęły odeń niebezpieczeństwo ostrej walki z komunizmem, — popadł w silny kryzys wewnętrzny, wspólny wówczas całemu socjalizmowi europejskiemu z pod sztandaru II-ej Międzynarodówki i aż do chwili obecnej z kryzysu tego nie wyszedł. Wypada stwierdzić, iż obok dwóch głównych przyczyn kryzysu koncepcji socjalizmu europejskiego, a mianowicie: pojawienia się nowego interpretatora marxizmu, w postaci III-ej Międzynarodówki, panującej nad Rosją, oraz powojennego ciężkiego kryzysu eko-

nomicznego, zniechęcającego do próby realizowania ustroju socjalistycznego, — socjalizm polski miał jeszcze swoje bolączki, pogłębiające jego kryzys, w porównaniu z konbatantami w innych krajach, a mianowicie: daleko idące różnice psychiczno-pojęciowe przedstawicieli dwóch odłamów, w jedną złączonych organizacyjną całość: Frakcji Rewolucyjnej oraz t. zw. Lewicy P. P. S., do której dołączyć należy grupę byłych Socjal-Demokratów.

Tarcia między temi grupami w poglądach na rolę i zadania socjalizmu w Rzeczypospolitej, na drogi jego rozwoju i tereny ekspansji, na treść Demokracji i hierarchję interesów: Polski i socjalizmu — tarcia na tem tle nigdy nie przygasały. Przeciwnie, wzrastały, wybuchając od czasu do czasu i doprowadzając do otwartych kryzysów, gróźb rozłamów, łagodzonych przez autorytety partyjne, póki jeszcze pozostawały one przy warsztacie pracy partyjnej i dających jako rezultat ucieczkę wybitnych działaczy i rozłamy, gdy praca autorytetów — jak Daszyński i Moraczewski — ustała.

Socjaliści ze szkoły Lewicy i S. D., którzy poczęli stopniowo brać górę nad weteranami Frakcji, t. j. ci socjaliści, którzy nigdy nie traktowali spraw Polski inaczej, niż z punktu widzenia doktryny socjalistycznej, a socjalizm sam zamykali dla siebie w ramach teoryj jego twórców-teoretyków, — nie wykazali ani przez chwilę zrozumienia rzeczywistości polskiej i zdolności praktycznego działania politycznego.

Stało się z nimi to, co dzieje się ze złym adwokatem dobrej sprawy. Mimo, iż adwokat bronił jej fatalnie, sprawa wygrała walorem swych obiektywnych atutów. Zły adwokat partycypuje, oczywiście, w zyskach z wygranej i szuka w zwycięstwie swojej zasługi.

Sprawiedliwość społeczna, w granicach żądanych przez proletarijat polski, została mu wymierzona przez odradzającą się Rzeczpospolitą, nie dla innych przyczyn, jak dla niewątpliwej słuszności samej sprawy. I jeżeli szukać w tem zasługi socjalizmu i partji socjalistycznej, należy się cofnąć do aktów walki roku 1905 i późniejszych, stworzonych przez Frakcję, wbrew Lewicy i S. D. Obrona poszczególnych części tego wymiaru sprawiedliwości, czyli t. zw. zdobyczy socjalnych proletariatu, przed naciskiem sił wstecznych, nie może być uważana za twórczą pracę socjalizmu i jego oficjalnych reprezentantów, zwłaszcza, że broniąc tych zdobyczy, swoją wadliwą polityką niszczyli oni warunki skuteczności tej obrony.

Zarzut niszczenia warunków skutecznej obrony sprawiedliwości społecznej i równości politycznej jest, być może, ciężki, lecz, niestety, słuszny. A gdy jest słuszny, nie może być pominięty w naszym rozumowaniu, jeśli ma ono doprowadzić nas do niejakiego uwypuklenia błędów popełnionych w przeszłości, ze skutkami, których katastrofalny układ rozciął dopiero miecz, — błędów, które, powtórzone w przyszłości, mogłyby dać nader podobne rezultaty.

Uznawszy, iż zwycięska wojna zlikwidowała raz na zawsze podstawy prosperowania w Polsce komunizmu, — szefowie socjalistyczni postanowili ruszyć po nowe podboje na teren wiejski i mieszczański. Podczas, gdy zgłaszające się do oddziałów partyjnych grupki inteligencje daremnie oczekiwały powołania ich do jakiegokolwiek pracy społeczno-politycznej, P. P. S. podjęła najostrzejszą walkę ze wszelkimi poczynaniami w kierunku samodzielnego organizowania się inteligencji demokratycznej i radykalnej, wzywając ją do swoich szeregów, lub całkowitej

bierności. Idąc na wieś z wezwaniem wstępowania do jej szeregów radykalnego włościństwa, stawiała w konflikcie z radykalnymi stronnictwami ludowymi, niszcząc podstawy współdziałania z nimi na terenie Sejmu.

Ani w jednym, ani w drugim wypadku P. P. S. nie osiągnęła rezultatów, któreby usprawiedliwiły dziecinną tezę jej nowych teoretyków, że w Polsce istnieją tylko dwie siły polityczne: P. P. S. i N. Demokracja. Dojście do anglosaskiego systemu: dwóch partyj, nie udało się kierownikom socjalistycznego omnibusu.

W czasie trwania zaś tych prób, na terenie robotniczym poczęły odradzać się wpływy komunizmu, przeciwstawiającego błędzeniu po wszechstanowych wertepach przez P. P. S. twardą wierność interesom klasy robotniczej i socjalizmowi, ubraną, oczywiście, w formę najbardziej demagogiczną, lecz przeto często dla siebie skuteczną.

Zaszachowana z tej strony, P. P. S. zmuszona była rzucić się na odsiecz zagrożonym swoim fortecom, a konieczność szukania zwycięstwa w tej walce na broń demagogiczną, narzuciła partji taktykę retorsji, taktykę odruchów nieskoordynowanych, obliczonych tylko na restytucję swoich wpływów za wszelką cenę, taktykę, przekreślającą wszelką możliwość brania przez nią udziału w jakimkolwiek systemie polityki państwowej. Nadto, na tle zagadnienia t. zw. ustosunkowania się do frontu komunistycznego, w łonie partji poczęła wyrastać, w niektórych wpływowych umysłach ze szkoły S. D., filozofja nie zamykania sobie drogi porozumienia z tym kombatantem socjalistycznym, a zatem pozbywania się z partji elementów antikomunistycznych i zdecydowanie patryjotyczno-państwowych, ze szkoły dawnej Frakcji Rewolucyjnej, stawiających twardo hasło walki z komunizmem. Przedstawiciele tej filozofji

opanowali w rezultacie swych wysiłków ster partyjny. Usunięcie się całego szeregu wybitnych działaczy, pochodzących z b. Frakcji, wykluczenie Moraczewskiego z partji i zmuszenie do usamodzielnienia się organizacyjnego całej obecnej Frakcji, przy jednoczesnem zastąpieniu tego ubytku grupą Drobnera, wyznającą wyraźnie doktrynę komunistyczną w taktyce i programie, a zatem grupę, która przez teoretyków i wodzów aktualnych P. P. S. może być tylko uważana za ewentualny pomost porozumienia z dowódcami frontu komunistycznego,—do czego zresztą jawnie zachęcał na łamach „Pobudki“ jej wpływowy w partji poseł - redaktor, — oto przystań, do której wreszcie dożeglowała P. P. S. po kilku latach chybotania się na wodach niejasności, zawijania do portu koalicji z N. D. i hamletyzowania wobec tonącego statku Rzeczypospolitej.

Nie trzeba dowodzić, iż taki stan wewnętrzny dwóch członów reprezentacji politycznej sił społecznych postępowych, warstw narodu politycznie młodych, niewątpliwie patriotycznych, ofiarnych, a przez Rzeczpospolitą, niezwłocznie po jej zmartwychpowstaniu, nobilitowanych, że stan ten nie odpowiadał w żadnym razie postawionemu tej reprezentacji przez historję zadaniu wzięcia znacznej części odpowiedzialności nie za siebie i swoje losy, a za Państwo, przede wszystkim przez wprowadzenie w życie pokojowem, organicznem, reprezentowanych przez nią warstw w orbitę polskiej racji stanu, z twardym musiem karnego podporządkowania się jej wymogom.

Nie pragnę twierdzić, by reprezentacja ta nie dawała dowodów patriotyzmu. Muszę jednak zanotować fakt, że objawy tego patriotyzmu były zazwyczaj — po wojnie — wyrazem ustosunkowywania się jej do momentów w życiu

Państwa krytycznych. Nie mogę również pójść po linji, dość często u nas uprawnianej, metody zastępowania działalności organiczno - politycznej przez patryotyzm i takie lub inne jego przejawy doraźne, albowiem samo to uczucie jest zaledwie inspiracją działania, lecz nie działaniem samem.

Na szczęście posiadamy na świecie i to tym, na którym tak wiele się u nas wzoruje jednostek i grup politycznych, bo w Europie zachodniej, przykłady rozwiązywania przez socjalizm jego trudności ideologicznych i przez całą reprezentację polityczną warstw społecznie radykalnych, jej zadania wobec państwa. Nie jesteśmy więc zmuszeni błdzić w dziedzinie teoryj, zawsze dostępnych krytyce, zawsze pozostawiających pole dla wątpliwości.

We Francji i Niemczech, gdzie partje socjalistyczne odgrywają znaczną rolę i gdzie podobnie jak u nas, kryształizacja opinji politycznej kraju jest dopiero w marszu, dając wyraz temu procesowi znacznem rozbiem reprezentacji parlamentarnej narodu na kluby i partje, — socjalizm, nie czując siły, ani warunków do rewolucji, począł przedewszystkiem unikać bezpośredniego starcia ze swoim wrogiem politycznym i społecznym, — obrońcą sił wstecznych, czyli t. zw. reakcją. Nie miał on nic przeciw istnieniu silnego między sobą i przeciwnikiem buforu, w postaci stronnictw reprezentujących ideje demokratyczne i program ewolucji socjalno - ekonomicznej, a nawet przeciwnie, wchodzi z temi stronnictwami w koalicję dla wspólnego podźwignięcia odpowiedzialności za państwo i obrony fundamentalnych zasad demokratycznego ustroju.

Boć oczywiście, jeśli ktoś stawia sobie zadania obrony takiej lub innej części owego fundamentu, zdobyczy po-

litycznych tej lub innej warstwy społecznej, nie może podołać skutecznie temu zadaniu, nie rozszerzywszy go do obrony całości demokratycznego porządku rzeczy, przez współpracę ze wszystkimi, do tego samego celu zmierzającymi,—obrony nie przez co innego, jak wykazanie jego sprawności i pożytku dla Państwa i Narodu, a zatem przez dążenie do władzy i odpowiedzialności dla wykonania tak zrozumianego zadania.

Tylko takie postawienie sprawy, tylko takie nastawienie psychiczne, czyni reprezentację polityczną takiej lub innej warstwy Narodu, żywym organem politycznie działającym, żyjącym w sferze rzeczywistości, a nie marzeń, ubranych w formułki doktryn.

Tymczasem od r. 1921, t. j. z chwilą zakończenia wojny i uchwalenia nader teoretycznej i niejasnej w wielu punktach konstytucji marcowej, lewica sejmowa wyznaczyła sobie dość wyraźnie rolę ściśle defensywną, pozostawiając tem samem wyłączne prawo do ofensywy i władzy swemu przeciwnikowi, N. Demokracji, z czego też ta ostatnia systematycznie korzystała.

W łonie tej lewicy, a zwłaszcza partji socjalistycznej, brakło jakiegokolwiek zrozumienia dla potrzeby współdziałania i ochoty do ponoszenia odpowiedzialności za Państwo, brania na swe barki ciężarów władzy. Za tem poszedł oczywiście brak — niezbędnej zdaloby się dla stronnictwa — pracy nad koncepcją urządzania życia Narodu i Państwa, która musiałaby postawić znak zapytania nad aktualnością wielu, świętych dla tych stronnictw, lecz zupełnie nie pasujących do polskiej rzeczywistości, doktryn. Praca ta nie była nigdy wykonana. Rozdarte wewnętrznie, zatrzymane w rozwoju nieznośną siecią jałowych tarć personalnych, stronnictwa te znajdowały jedyny dla

siebie ratunek w trwaniu na posterunku zasadniczej opozycji, co oczywiście musiało wywrzeć głęboki wpływ demoralizujący na ich psychikę i działalność.

Filozofja rezygnacyjna, nie jest filozofją rozwojową. Jeśli stronnictwo czy partja polityczna powiada sobie, iż nie jest zdolna do ponoszenia odpowiedzialności za państwo, znaczy to, iż nie jest zdolna do normalnego życia politycznego. I w tym nastroju ich działalność nie może być pożyteczną, ani dla kraju, ani dla idei, które reprezentują.

Polityk zna chleb władzy i chleb opozycji. Lecz jeśli będąc w opozycji zdąży do władzy, opozycja jego jest twórczą, albowiem przygotowuje się w niej do praktycznego działania, albowiem to, co czyni i mówi w opozycji, jest korygowane i ograniczane przez świadomość, iż wszystko to wypadnie mu jutro realizować, że to wszystko, co dzisiaj jest treścią jego opozycji, jutro będzie programem jego odpowiedzialnego działania, zadaniem jego władzy.

Nasze stronnictwa lewicowe uznały się za będące w opozycji trwałej. Teoretycy P. P. S. filozofowali, że jeszcze nie nadszedł czas na ich rządy. Wyzwolenie zaś poddało się dość biernie swojej bezradności w odosobnieniu.

Pozwalam sobie wyrazić mniemanie, iż organizacja polityczna: partja czy stronnictwo, posiadająca wpływy w pewnych sferach społeczeństwa i reprezentację parlamentarną, zdobyte na podstawie zaufania obywateli, że reprezentuje ona lepsze—w ich pojęciu—od innych pojmowanie polskiej rzeczywistości i uzdolnienia kierowania losami państwa, — iż partja taka, z chwilą wywieszenia sztandaru zasadniczej i trwałej opozycji, jako zasady dla swego działania, winna być natychmiast rozwiązywana

przez kompetentny trybunał, powołany do czuwania nad uczciwością życia publicznego.

Nasze doświadczenia w ubiegłym dziesięcioleciu dają aż nazbyt mocną takiej przesłance podstawę.

Opozycja bowiem trwała szuka dla siebie usprawiedliwienia w dwóch środkach działania: ucieczki od rzeczywistości w kierunku doktryn, jaknajbardziej od niej oddalonych, oraz w wykrzywianiu tej rzeczywistości w ten sposób, by naturalny między nią a jej doktrynami dystans jeszcze bardziej powiększać. By wykopać między nimi przepaść, widoczną dla mas zwolenników - opozycjonistów i by tym nieszczęsnym obywatelom, oszołomionym doktrynami, nie zawierającymi żadnej treści praktycznej, powiedzieć z dramatycznym gestem: — oto patrzcie jakże odległe jest nasze państwo od naszego ideału, jakżesz ono jest okropnie złe i dla was niegodziwe.

Nie trzeba przecież zapominać, że mimo wszystko, opozycja tego rodzaju ma zupełnie praktyczne cele, a mianowicie: zapewnienia sobie możliwie silnych wpływów na rządy, pozostawienia sobie otwartych dróg wywierania na nie nacisków, w celu osiągnięcia różnych ustępstw, koncesyj i korzyści.

Jeśli się zważy, że Narodowa Demokracja dążyła przy układaniu Konstytucji do tego samego celu, w obawie, iż rządy pozostawać będą nie w jej lecz Pilsudskiego ręku, — staje się jasnem u nas źródło t. zw. kryzysu parlamentarnego, a ściślej — jak mówi Marszałek — „złych zwyczajów i obyczajów parlamentarnych“, których ten mąż stanu nie wahał się nazwać gorszem dla państwa nieszczęściem, od najgorszej polityki.

Reprezentacja polityczna warstw politycznie młodych, zainteresowanych silnie w utrwaleniu demokratycznego po-

rzędu ustrojowego, przez wykazanie jego sprawności i pomyślności dla Państwa, tylko dlatego mogła dopuścić do zupełnego zatarcia granic między władzą wykonawczą i ustawodawczą, do uczynienia z Głowy Państwa marionetki, do wydania aparatu administracyjnego na pastwę posłom i partjom, oraz do uczynienia z ministrów przekupniów, handlujących po kuluarach sejmowych i gabinetach restauracyjnych, sprawami państwa z klubami sejmowymi, — ponieważ nigdy nie liczyła się z możliwością rządzenia w tych strasznych warunkach, a będąc w opozycji miała władzę nad tymi, którzy za władzę odpowiadali. Bo w ten sposób otwarte zostały wszystkie drogi nieodpowiedzialnej penetracji po wszystkich korytarzach i tajnikach władzy, od policjanta zaczawszy, na Głowie Państwa skończywszy.

Psychologia stałej opozycji doprowadziła do tego, że politycy tych stronnictw, które wbrew czarnym przewidywaniom reprezentantów sił wstecznych, miały udowodnić siłę i sprawność ustroju demokratycznego, opartego na równości politycznej i sprawiedliwości społecznej, same przyłożyły ręki do skompromitowania tego ustroju, i co najgorsza, — z głębokiem przekonaniem, że doskonale na tem wychodzą i świetnie spełniają swą rolę historyczną.

POZOSTAŁ TYLKO ON.

Jeśli tedy zważymy, że obydwie strony, a więc zarówno ta, która miała rzekomo bronić interesów ustroju kapitalistycznego, interesów gospodarstwa narodowego i jego konserwatywnych podstaw ustrojowych oraz druga, powołana do obrony słuszności zasad równości politycznej i sprawiedliwości społecznej—w konstytucji marcowej, ustawodawstwie socjalnem i reformie rolnej wyrażonych — że obydwaj ci potężni kontrahenci nie wykonywali bynajmniej swych zadań co do treści, ograniczając się do bezwartościowej działalności zewnętrzno - formalistycznej, dezorjentującej obywateli i wywołującej zamęt w Państwie, aż do zupełnego omal zahamowania sprawności całego jego organizmu, — staje się jasnem, iż skutki zepchnięcia całego życia politycznego kraju w sferę próżni, a ekonomicznego na fale przypadku, nie mogły być inne, niż były w okresie bezpośrednio poprzedzającym majową interwencję Piłsudskiego. Nie mogły być inne, mimo, iż naogół partje sejmowe były z siebie dość zadowolone, że rozmiarów katastrofy nie dostrzegały. Mogły być tylko gorsze, lecz do tych gorszych nie dopuścił już maj 1926, a z drugiej strony, jakaś godna podziwu i najgłębszego uznania cierpliwość naszego społeczeństwa, jego zdolność do znoszenia cierpień i dolegliwości, zbytecznych skutków niepotrzebnych błędów jego sejmowej reprezentacji po-

litycznej, odgradzonej przed niebezpieczeństwem kontroli społecznej przez konstytucję i ordynację wyborczą, a przeto łatwo tracącej kontakt z opinią publiczną, z aspiracjami i dolegliwościami społeczeństwa, co też i miało miejsce w szczególnie rażących rozmiarach.

Wszakże mogłoby się okazać niezbyt bezpieczne liczenie na podobną społeczeństwa cierpliwość w przyszłości i oto właśnie zjawia się zadanie: działać w ten sposób, by próby takie więcej się nie powtarzały.

Charakter doktrynersko - demagogiczny życia publicznego, wyrastający na tle uprzednio zobrazowanych przyczyn, dawał — jako jeden z najcięższych skutków — selekcję, jeśli tak można powiedzieć, korpusu aktywnych polityków, a więc posłów, ministrów i t. p. — in minus. Tam gdzie rządzi demagogja, tam wartość ma gardło i pięść, a nie rozum. Tam motorem działania staje się spekulacja, chociażby ta najszlachetniejsza z nieszlachetnych — na pozory zwycięstwa demagogicznego hasła lub gorsza znacznie spekulacja, na osobiste zyski: bądź polityczne, bądź materialne. Tam zanika siła ideologiczna pracy, przyciągająca do niej jednostki o wyższych wartościach duchowych i umysłowych, znajdujących zazwyczaj satysfakcję w działaniu twórczym, a nie w t. zw. „grze politycznej“, która, z chwilą, gdy zaczyna być uprawiana dla niskich celów, staje się istną obrzydliwością, demoralizującą sumienia, niszczącą charaktery, mącą umysły.

Życie polityczne poszło u nas w odwrotnym, niż np. we Francji kierunku. Stało się domeną ludzi przeważnie surowych, do traktowania i rozumienia spraw publicznych nieprzygotowanych. Jakkolwiek nie wielu posiadała odradzająca się Polska polityków dla siebie dojrzałych, fak-

tem jest, iż, w znacznej większości znaleźli się oni poza sejmami i sztabami partyjnemi, kierującymi wiatrami na scenie politycznej.

Gdy zatem z jednej strony wynaturzenie sensu życia politycznego zmniejszało w niem udział pierwiastka intelektualnego i ideologicznego, z drugiej zanik tego pierwiastka pogłębiał proces wynaturzeń.

Myśl polityczna została zepchnięta z widowni życia. Publicystyka stanęła na usługach demagogij partyjnych i stała się sztuką pisania manifestów, zmierzających do stereotypowej konkluzji: u nas wszystko idzie wspaniale, u sąsiada zaraza, wróg nie jest wcale taki straszny jak go sąsiad maluje, lub też do wykazania, że wszystko co robi rząd jest złe, bo nie robi tego, co my, chyba, że rząd składał się z przyjaciół piszącego manifest. Czytelnik tych manifestów uczył się negatywnego stosunku do władzy państwowej i ostrej niechęci do sąsiadów politycznych, często swoich ideologicznych sprzymierzeńców.

Szkola była fatalna. Metoda myślenia w kategorjach sobkowych, patrzenia nie dalej krańca swego nosa, obracania się w dziedzinie haseł i doktryn, bez zagłębiania się w treść zjawisk, — coś w rodzaju lektury tytułów książek, bez zaglądania do ich wnętrza.

Prawdą jest, iż wykształcenie społeczeństwa w sprawach publicznych było naogół bardzo niewielkie, a często żadne. Lecz nie jest prawdą by nie wzrastało ono w miarę upływu lat bytu niepodległego Narodu i sejm, w całokształcie swego układu partyjnego, stanowczo przeliczył się w rachunku na dezorientację społeczeństwa w okresie, gdy nie doceniał rozmiarów klęski poniesionej w opinii kraju, a ujawnionej przez przewrót majowy.

W społeczeństwie, we wszystkich jego warstwach, doj-

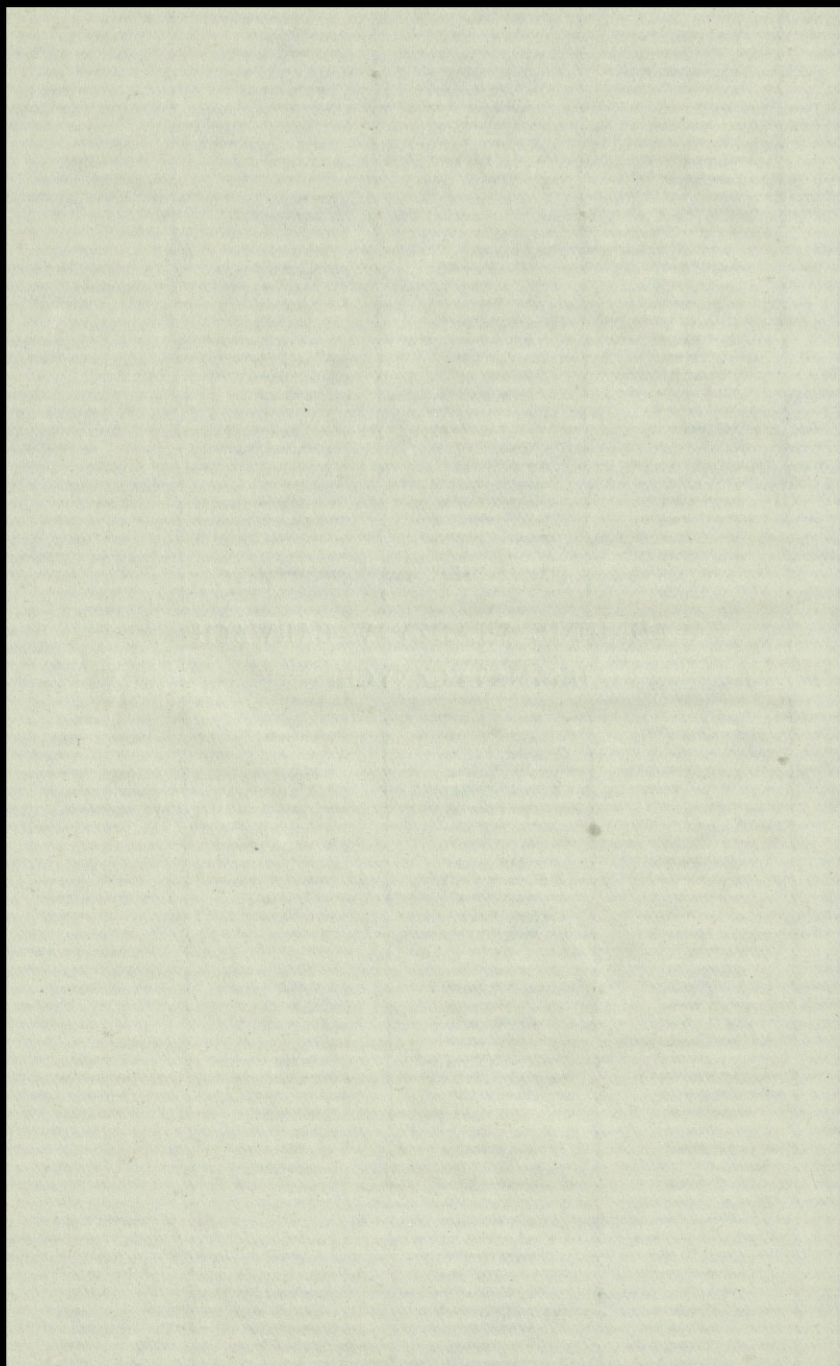
rzało, — pod wpływem klęsk i trwogi, spowodowanych przez zupełne zwichnięcie linii rozwojowych życia Narodu, i zatonięcia w chaosie sejmowym poczucia rzeczywistości.--- zrozumienie potrzeby ładu i spokoju wewnętrznego, oraz rozbudowy gospodarstwa narodowego.

Tego, niestety, nikt dać nie mógł, nie potrafił. Reprezentacja szerokich mas demokratycznych zgubiła swój złoty róg w odmętach trudności wewnętrznych i haszczach doktryn, w których się była na zabój zakochała. Reprezentacja strony drugiej, odsunęła swe zadania konstrukcyjno - gospodarcze i stanęła do wzniecania demagogii politycznej, na sztańcach szowinizmu nacjonalistycznego, monopolu na Kościół i nieudolnie formułowanych doktryn wstecznych.

To mógł dać jeden tylko człowiek - mocarz, jednostka-potęga, — Józef Piłsudski.

II.

ZAGADNIENIE WŁADZY W BARWACH
DRAMATYCZNYCH.



SPEKULACJA I LENISTWO MYŚLOWE SEJMÓW.

Na przestrzeni ostatnich dwóch lat przeżyliśmy tak silne w natężeniu fale zarzutów, czynionych rządowi pomajowym przez stronnictwa, stanowiące lewicę sejmową, — z powodu rzekomej tych rządów antidemokratycznej działalności, — zarzutów wypływających z odmienności metod działania tych rządów od tego, co istniało przed przewrotem majowym, że wypadaloby się zastanowić nad zagadnieniem formy i treści ustrojów i zbadać, czy istotnie dana treść ustrojowa, a więc i Demokracja, może mieć tylko jedną formę i to właśnie taką, jaką nadały jej u nas pierwszy i drugi sejm i jakiej, z niewątpliwie szkodliwym dla siebie uporem, pragną bronić przedstawiciele partyj lewicowych, — czy też dana treść ustrojowa pozostawia niejaka swobodę ruchliwości wyrażającej ją formie.

Publicysta zmuszony jest tu odesłać swego czytelnika do literatury historycznej, dla potwierdzenia tej prawdy, którą musi on tu podać tylko jako fakt, a mianowicie, że każda treść organizacyjna, a więc ustrojowa, może się wyrażać w nieskończonej bodaj ilości form, różnych od siebie w takich lub innych szczegółach i fragmentach.

Jeśli się zgodzimy, iż najstarszą na świecie komórką ustrojową jest rodzina, — dostarczy nam ona niewątpliwie przekonywującego potwierdzenia powyższej tezy. Czyż bowiem rodzina straciła swój sens i swoją wartość dlatego, że głowie jej stopniowo odbierane były prawa życia

i śmierci względem swych żon i dzieci, aż do dziesiętszej formy opieki prawa nad wewnętrznymi stosunkami w rodzinie? Nic podobnego. Jeśli warunki ekonomiczne i obniżenie się poziomu moralnego w społeczeństwie, które to zjawisko ma zazwyczaj również przyczyny ekonomiczne, rozluźniają trwałość i solidność więzów rodzinnych, — wszyscy godzimy się, iż jest to zło i wszyscy pragniemy przyłożyć ręki do usunięcia go z widowni życia. Lecz nie nie cierpi na tem instytucja rodziny, że dziecko kończące siódmy rok życia musi iść do szkoły, i że pod tym względem prawo zastępuje indywidualną wolę ojca, że nie wolno mu znęcać się nad dzieckiem, ani wyzyskiwać, w sposób przez prawo niedozwolony, żony.

Jeśli zatem ta instytucja, na przestrzeni kilku tysięcy lat, wytrzymuje tak zwycięsko nieskończony łańcuch przeistoczeń jej form, — niema ani w danym, ani w żadnym innym wypadku podstawy do twierdzenia, że forma, wyrażająca pewną treść, aktualnie właśnie istniejąca, jest jedyną tej treści formą, i że każda takiej formy korektura, czy odmiana jest równoznaczna z przekreśleniem treści.

Tego rodzaju twierdzenie jest wyrazem ogromnego zwężenia horyzontów myślowych u twierdzącego, dowodem, iż nie posiada on poczucia rytmiki życia i świadomości, iż sam zjawiał się na ziemi jako drobniotka cząstka ciągłości procesów, które rozpoczęły się przed tysiącami, a może milionami lat.

Zapewne, — ojciec, któremu odebrano nagle prawo ścinania głowy nielubianemu synowi, uważał to za straszny na swych prawach gwałt i wołał, iż z poza tego gwałtu wyziera koniec świata, lub conajmniej jakiś, w jego ówczesnem pojęciu, bolszewizm. Lecz czyż wypada dzisiaj, ludziom bogatszym od niego o dorobek cywilizacji i kul-

tury całych tysiącleci, naśladować tego biednego dzikusa-ojca? Czyż można patrzeć na każdą myśl i próbę rewizji istniejącej formy ustrojowej, zwłaszcza jeśli okazała się ona złą w wydanych skutkach, jak na zamach, zbrodnię, czy objaw zacoferania?

Taki stosunek do każdej nowej myśli jest akulturalny, przeciwny postępowi, w najwyższym stopniu kołtuński, wręcz niedopuszczalny. Jest to jakaś inkwizycja nad mózgiem, nad jego inteligencją, nad nieprzeciętnością i twórczością.

Los wszystkich doktryn bywa zawsze jednako okrutny.

Myśliciele i działacze - twórcy starają się wyrazić w nich ostateczną formułę rozwiązań problemów, względnie tendencję rozwojową zjawisk, będących w marszu, — a ich wyznawcy czynią z niej dogmat nieomylny, nie zastanawiając się nawet jakie mogą być formy wcielenia się w życie tego dogmatu. Słowom nadają interpretację najbardziej prymitywną, związaną z pojęciowością danej epoki. Z pojęciem rewolucji np. kojarzy się po dziś dzień w umyśle Polaka scenariusz roku 1905, lub nawet częściej scenariusz rosyjski z r. 1917. Barykady, rewolwery, karabiny, szarże kawalerji, krew, czerwone sztandary, trupy, zrujnowane domy, czerezwyczałka, rzeź arystokratów, dygnitarzy i kapitalistów — słowem akcja dramatyczna o najwyższem naprężeniu nerwów i zawieszeniu bezpieczeństwa osobistego obywateli. Gdybyśmy spróbowali wytłómaczyć szerokim sferom opinji, że pojęcie rewolucji wyraża duże przemiany form czy treści życia, dokonane w krótkim czasie, i że proces taki może nie kosztować ani jednej kropli krwi, odpowiedzieliby nam napewno, pełni niezadowolenia: „Gadaj pan zdrów, — sam nie wiesz co to jest rewolucja, bo nie byłeś w Rosji“!

. Po dzień dzisiejszy nie łatwo przyswaja sobie szerszy ogół fakt, iż wojna dokonała olbrzymiej rewolucji w dziedzinie pojęć i urządzeń socjalnych.

Oto jest dramat nieporozumień, wynikających z powierzchniowego ujmowania zjawisk.

A o ileż mocniej może zaciążyć ten dramat w pewnych okresach na życiu narodu czy ludzkości, jeśli się doń dołączy pasja nadawania doktrynom przywileju nieomylnego i żywego dogmatu?

Cóż z tego, że za czasów ojca Noego tak bardzo aktualną była doktryna: precz z potopem! Czyż i dzisiaj mamy, przy różnych uroczystych okazjach, wywieszać transparent, obwieszczający temi samemi słowy tę samą wolę społeczności, — odsunięcie od siebie potopu?

Kuźnią doktryn jest oczywiście nauka. Lecz czyż w dziedzinie wiedzy doktryny nie padają, jak żołnierze na polu bitwy, zabite nagle celnym strzałem wciąż pełnego tajemnic życia? Kopernik obalił doktrynę, zdało się przecież nieśmiertelną, o obrocie słońca dokoła ziemi, — puścił na wieczysty spacer ziemię wokół słońca. Rentgen zburzył doktrynę o nieprzenikliwości ciał stałych. Einstejn zachwiał doktryną o ścisłości rachunku matematycznego. Jakiś energiczny chirurg uśmiercił doktrynę o śmiertelności każdego obrażenia mięśnia sercowego, usunięciem zeń kuli jakiemuś bohaterskiemu żołnierzowi, w czasie wojny.

Czegóż więcej?

Zatem w raju doktryn, nie dzieje im się wcale tak świetnie. Wylatują za drzwi pałacu wiedzy, mężowie nauki wyrzucają je sobie pośpiesznie z głowy, zlorzecząc im jeszcze z cicha, za tak długie balamucenie ludzkości, a dzie-

ci śmieją się z ojców, że mogli w różne głupstwa wierzyć na serjo.

Dlaczegoż zatem w życiu politycznem, jakaś doktryna, może bardzo miła czyjemuś sercu, miałaby zachowywać wieczystą słuszość i to właśnie w takiej, a nie innej interpretacji?

Dlaczego pojęcie demokracji parlamentarnej musi — według przekonania niektórych mężów oficjalnej lewicy — zawierać treść koniecznie taką, jaką mu nadała rzeczywistość w latach 1923 — 1926? Dlaczego każde odstępstwo od tej treści ma być jakąś zdradą, odstępstwem, zbrodnią? Zdradą czego? Tego co było tak koszmarnie fatalne w skutkach, co doprowadziło kraj nad przepaść straszliwej trwogi i nieszczęścia, do przerażenia Narodu takim okropnem objawieniem Demokracji, ku której przecież szedł przed paru zaledwie laty z ufnością, nawet z entuzjazmem, wierząc, że to ona przyniesie mu szczęście, a więc spokój, a więc dobrobyt? Czyż można nazywać zdradą ucieczkę od tego co było złe, — mało złe, straszne? Czyż wolno ludziom publicznym, ludziom politycznym, ludziom reprezentującym postęp i radykalizm, czynić sobie misję dziejową z głoszenia tak nieprawdopodobnej herezji o zdradzie?

Drogi czytelniku! — miejmy odwagę powiedzieć sobie, że w życiu zbiorowem ludzkości, a zatem w życiu narodu, obok zagadnienia organizacyjnego, ustrojowego, istnieje kwestja formy, a po niej sprawa ludzi, a wreszcie problem obyczajów. Nic się tu z tego łańcucha nie da wyłączyć, jeśli chodzi o praktykę życia, a nie o teorię.

W dyskusji teoretycznej, poświęconej parlamentaryzmowi, możemy swobodnie rozważać zagadnienie wyższych

czy niższych jego form, szukać rozwiązań idealnych, dla naszego, umówionego między nami, ideału człowieka. W praktyce zaś nie może ulegać wątpliwości, iż parlament angielski czy francuski dojrzał do wyższej roli w życiu swego narodu i państwa niż polski; że obydwa tamte parlamenty doszły do swoich ról stopniową pracą i w drodze naturalnego procesu narastania zaufania obywateli do instytucji parlamentu, podczas gdy nasz, z niebytu, wydzwignął się odrazu na zawrotne wyżyny, że spadł z nich aż na dno oburzenia i nawet nienawiści całego kraju, skąd dopiero przez Piłsudskiego został wyratowany, postawiony na nogi i pchnięty ku ponownej próbie dorabiania się pozycji w Narodzie. Że zatem powoływanie się naszych parlamentarzystów na przykład francuski czy angielski, jest przedewszystkiem niebezpieczne dla nich samych, ponieważ narzuca się natychmiast kontrast między nimi i ich francuskimi czy angielskimi kolegami. Siła tego kontrastu właśnie sprawia, że gdy kraj i sytuacja wołają o silny rząd, parlamentarzyści francuscy potrafią sami ograniczyć swoje prawa i powściągnąć ambicje personalne. U nas zaś, gdy kraj i sytuacja wręcz krzyczały o rząd silny, parlamentarzyści zdobyli się na koalicję Socjalistyczno-Narodowo-Demokratyczną z Aleksandrem Skrzyńskim, zręcznym, lecz nic wspólnego z pojęciem siły nie mającym medjatorem, na czele. W rezultacie z głośno reklamowanej ofiary socjalistów na rzecz Państwa, za jaką słusznie uważali koalicję z N. D. i takież rzekomej ofiary tej ostatniej, urodził się najslabszy rząd pod słońcem, rząd bez treści, charakteru i zdolności do działania. Parlamentarzystom bowiem chodziło o ratowanie w pierwszym rządzie siebie, jako instytucji, a nie Państwa, którego cała treść i istota była w ich przeciętnem

wyobrażeniu całkowicie zamknięta w murach sejmu i poza nimi nie istniała.

Żywili złudną nadzieję, że taka koalicja dwóch krańców politycznych, wzbudzi potężny entuzjazm w kraju, przerazi dolara i zachęci produkcję do żywszej działalności. W rezultacie przeraził się kraj, a nabrał zapału do bicia złotego dolar, — strwożona produkcja weszła w stan agonji.

Nie jest naszym zadaniem zgłębiać przyczyny tego smutnego niewątpliwie zjawiska, że parlament polski nie usprawiedliwił pokładanych w nim przez społeczeństwo nadziei, że okazał się złym. Mamy jednak obowiązek stwierdzić, iż tak jest, że taka jest rzeczywistość.

A zatem zagadnienie formy ustrojowej nie daje się oddzielić od człowieka, który ją wypełnia swą pracą i jego obyczajów. Tedy forma, która się wspiera na walorach intelektualnych i obyczaju człowieka, musi się do tych jego walorów stosować.

Dążenie do znalezienia takiej formy jest właśnie pracą twórczą, pracą dla kraju niewątpliwie pożyteczną, pracą postępu.

Procesy zmian i przeistoczeń form organizacyjnych politycznego, ekonomicznego, czy socjalnego życia narodu, nigdy nie unikną atmosfery walki. Będą one zawsze przechodzić stadja: dojrzewania, realizacji i asymilacji. Przy żywym biegu procesów przeistoczeń może się okazać, iż ci, którzy byli największymi wrogami pewnej formy w okresie jej dojrzewania i realizacji, stają się jej najzaciętszymi obrońcami, gdy poczynąć się zacznie ruch, zmierzający do zastąpienia jej inną. Umysł ludzki bowiem jest z na-

tury konserwatywny i skłonny do wygod. Przyswaja sobie formy istniejące, rozpościera w ich ramach, rozleniwia i nie lubi zmian. Stąd, jeśli chodzi o jednostki czy grupy ludzi związanych węzłami jednomysłności, niezmiernie szybko z postępowych stają się konserwatywnymi. Można ustalić regułę, że im większa partja, im liczniejsza organizacja, tem szybciej staje się ona — nie w sensie programu oczywiście, lecz pod względem psychiki — konserwatywną.

Tylko jednostka zachowuje zawsze swoją siłę i odwagę twórczą, jeśli ją oczywiście posiada. Im silniejsza indywidualność, im większa jest jej wewnętrzna potrzeba działania, tem mniej skłonna ona będzie do wieszania sobie u ramion ciężaru cudzego lenistwa myślowego, nałogu stabilizowania się, na miejscu osiągniętem po uczynieniu każdego kroku. Wielkie organizacje posiadają to obciążenie w wysokim stopniu. Każdy żywy krok jest dla nich niebezpieczny, — grozi on bowiem zniechęceniem poruszonych nagle mas ich zwolenników. I dlatego nie wolno włożyć etykietom głoszącym o „postępowości“ wielkich organizacyj politycznych, — odnoszą się one bowiem często do zamierzchłej przeszłości, nie mającej nic wspólnego z rzeczywistością. Dlatego mylnie są wszystkie nadzieje, że takie właśnie organizacje-kolubryny mogą być twórcami postępu, że są one zdolne rozwiązywać praktycznie kryzysy, powstałe na skutek przeżycia się lub niedopasowania pewnych form życia zbiorowego do rzeczywistości, tkwiącej bądź w duszy człowieka lub w materji kraju.

Nic podobnego! Postęp będzie zawsze dziełem jednostek i grup nielicznych. Wielkie organizacje będą go zwalczać lub asymilować, w zależności od kształtowania się stosun-

ku ich członków i zwolenników do danego przejawu postępu. Tu leży ich kryterjum słuszności zjawisk.

Pocóż to mówimy?

Po to, by zbliżyć się do zrozumienia tego dziwnego zjawiska, że gdy Piłsudski podszedł ku zagadnieniu reform ustrojowych, zmierzających do zapewnienia ustrojowi demokratycznemu mocnych podstaw w sprawności życia opartego oń Państwa, — najskrajniejszymi przeciwnikami jego w tym kierunku poczynañ okazał się nie kto inny, jak najsurowsi, zdawałoby się, szermierze demokracji — lewicowe kluby sejmowe, w pierwszym rządzie socjalistyczny.

Dlaczego?

Czyżby uważali, iż to co było przed majem w odniesieniu do układu stosunków między władzą wykonawczą i ustawodawczą — było właśnie świetne? Nie! Przecież, podążając za masami swoich zwolenników, gorąco powitali przewrót majowy, likwidujący to właśnie, co było. i zdejmujący z ich ramion współodpowiedzialność za skutki tego co było. Przecież czytaliśmy wielokrotnie na łamach prasy socjalistycznej oświadczenia, „iż powrotu do tego co było przed majem nikt sobie nie życzy“.

I istotnie, wśród posłów socjalistycznych nie brak zrozumienia i uznania dla dzieła pomajowego Piłsudskiego. Lecz ulegają oni sile konserwatywnego nałogu, w którym utonęli powyżej uszu. Bronią oni, zresztą bez wiary w powodzenie, formy, z którą zrosła się myśl i która się przez to stała wygodną, którą nadto przez lat tyle zachwalali swoim zwalennikom. Być może nawet z zadowoleniem przyjmą zmiany, gdy zostaną przeprowadzone, jak z zadowoleniem widzą pracę władz bezpieczeństwa nad niszczeniem sieci agitacyjnej komunistycznej, mimo, iż orga-

na tej władzy ciąglemi szarpią atakami, często bardzo i za tę pracę.

W logice jednak tej wielkiej rewolucyjnej partji konserwatywnej leży, iż przywódcy jej wolą, by słuszne reformy były im narzucone, przez co zaoszczędzona im zostanie drażliwość przyznania się, iż formy, które kazali uważać swym zwolennikom za świętość nietykalną, okazały się złemi w naszych warunkach. Ba, gdy reformy zostaną im narzucone, znajdzie się nawet miejsce na gest patryjotyczny, — gest łaski pogodzenia się z nimi „dla zachowania spokoju w kraju“ czy dla innych równie wzniosłych przyczyn.

Moglibyśmy bardzo szeroko rozwinąć obraz i mechanikę gry wielkich organizacyj politycznych, a wśród tych arkanów znaleźlibyśmy. obok naiwnych i wielce obrzydliwe, niestety, nawet korupcyjne, a już w bardzo wielu wypadkach, karjerowiczowskie.

Lecz nie pragniemy na tych kartach zbyt wielkiego osadu goryczy i smutku.

Chodzi nam tylko o stwierdzenie faktu niewątpliwego, że działalność polityczna parlamentarnych reprezentacyj politycznych. wypływa, w ogromnej mierze, z pobudek spekulacyjnych, że stosunek ich do Państwa i do zagadnień państwowych dyktowany jest, w znacznej mierze, przez te właśnie pobudki. Nie jest on wyrazem ani rozumu najmądrzejszych, ani szlachetności najzaczniejszych, ani odwagi decyzji najdzielniejszych. Nie! Z alembiku interesów i ludzi partji, wypływa zawsze, jako decyzja taktyczna czy polityczna, — przeciętna spekulacyjna.

Nie chodzi tu w danej chwili o treść, o źródło tej spekulacji. Jeżeli bowiem nawet występuje ona w najprzy-

zwoitszej formie, — troski o popularność partji i jej leaderów, wystarczy by była szkodliwą dla Państwa.

Albowiem Państwo, jako synteza interesów całego Narodu, tylko w bardzo niewielkim procencie i tylko w okresach wyjątkowej i pełnej pomyślności, może na dłuższą metę znosić, bez katastrofy, uzależnienie rozstrzygnięć swoich ważnych interesów od wypadkowej różnych spekulacyj jego piastunów parlamentarnych. Gdy zaś po wojnie skala tych spekulacyj wzrosła, a jednocześnie państwa zostały podważone u podstaw swojej ekonomicznej egzystencji, we wszystkich państwach europejskich poczęły się rozlegać wołania o silny rząd, t. j. o rząd człowieka czy ludzi wolnych od obciążeń spekulacyjnych i tem górujących nad parlamentarzystami.

Stan rzeczy pod tym względem był w Polsce szczególnie zły. Tu namiętności spekulacyjne parlamentarzystów rozgorzały do nieprawdopodobnej temperatury. Tu, gdzie partje w gwałtownem tempie rozdierały społeczeństwo na sfery swoich wpływów, spekulując na pozyskanie wszystkich i gdzie nieliczni chyba bardzo posłowie nie szukali wszelkich przyzwoitych i nieprzyzwoitych sposobów, by zostać ministrami lub zapewnić sobie ciepłe miejsce w życiu gospodarczem; gdzie wielu poprostu szukało najbardziej karkołomnych sposobów szybkiego wzbogacenia się; gdzie nadto organizm państwowy nie był jeszcze wogóle zmontowany, a części jego różne ciężko chorzały lub były niedorozwinięte w stosunku do olbrzymiej całości, — tu, Państwo oddane na wyłączną opiekę parlamentarnych piastunów przejść musiało już nie kryzys, a piekło, nie kłopoty, a dramaty.

Tu nie wystarczyło już słowo, by szal zcichł, by sumie-

nia zadrzały, by mózgi oprzytomniały, by zuchwaństwo stchórzyło.

Tu trzeba było armat, — wielkiej głośniejsalwy, — grozy i wstrząsu ogromnego.

I tu trzeba było człowieka siły i hartu i odwagi i talentu nad miarę przeciętną, omal nad ludzką miarę.

WALKA TWÓRCY I WYCHOWAWCY ZE SPEKULACJĄ.

Z tytułu postanowionego tej pracy zadania, mamy obowiązek podjąć próbę scharakteryzowania pracy tej właśnie, najsilniejszej w Polsce naszej doby indywidualności, dysponującej bezprzykładną wręcz siłą moralną w Narodzie, tego, który w maju 1926 Polskę nad brzegiem zatrzymał przepaści — Józefa Piłsudskiego.

Nie ponosi mnie dumna myśl wyczerpania, czy choćby tylko rozwinięcia tego tematu, — byłoby to zresztą nie na miejscu w pracy, poświęconej próbie ujęcia błędów ubiegłego dziesięciolecia popełnionych przez reprezentację polityczną Narodu i rozwiązaniu niektórych problemów przyszłości, może już najbliższej, tej, którą rozpoczyna właśnie dzień dzisiejszy.

Mniemam jednak, iż będzie najzupełniej zadość czyniącym potrzebie wyjaśnienia charakteru działalności Marszałka i zmienności ustosunkowań się do niej partyj politycznych, wskazanie jednej dominującej w tej działalności cechy, a mianowicie jej niezwyklej żywotności i całkowitej od wszystkiego, poza realną rzeczywistością, niezależności.

Utarła się w opinii formuła, iż Piłsudski stosuje w swej pracy metodę zaskakiwania wszystkich decyzjami przez nikogo, czy mało kogo, oczekiwaniem.

Nazewnątrz i w powierzchownem ujęciu, — sprawa za-

pewne tak wygląda. Lecz jeśli spojrzymy na nią głębiej i wnikliwiej, musimy w tej t. zw. metodzie znaleźć zupełnie naturalne przejawy niezależności i swoistości myśli Marszałka. W sprawie, którą rozstrzyga sam, nie przyjmuje On żadnej sugestji, płynącej z takiej czy innej doktryny, teorii lub pojęciowości cudzej. Wchodzi w bezpośredni kontakt z obiektywną rzeczywistością materji, w której ma decydować, rzeczywistością, którą odczuwa wręcz nieomylnie, — i z niej czerpie przesłanki swoich wniosków, noszących zawsze piętno wielkiej śmiałości twórczej.

W umyśle Marszałka niepodobna dostrzec skłonności teoretyzowania przejawów życia i podciągania ich pod jakiegokolwiek kategorie doktryn.

Jest on twórcą niezmordowanym, nieustannie czynnym i pełnym inspiracji, nawskroś oryginalnym, szukającym rozwiązań konstrukcyjnych najbardziej przystosowanych do materiału polskiego i zadania zbudowania zeń silnej Polski, z odrzuceniem — tak powszechnych u nas — skłonności zapożyczania konstrukcyj obcych i naginania do nich materiału narodowego, a zatem zabijania jego właściwości i niszczenia go, — tem samem posuwania się drogą nie zbliżającą, a oddalającą od celu głównego — Polski silnej, oczywiście siłą wewnętrzną.

Piłsudski ze wszystkimi grupami politycznymi i bodaj wszystkimi wybitniejszymi aktorami sceny politycznej próbował chleba współdziałania i współpracy. Znajdował zawsze albo zdradę jawną, albo nieporadność kompletną, albo wreszcie zupełną niezdolność przekraczania ciasnych graniczek teoryjek i doktryn abstrakcyjnych, negujących zwykle fakt istnienia w Polsce jej własnej, polskiej rzeczywistości. Zamiast współpracy, znajdował nieznośne

swej własnej pracy obciążenia cudzemi trwogami i nieporadnościami, skłonnościami ciągłego przystosowania się do wszystkiego, byle nie do wymagań rzeczywistości polskiej.

Obciążenia te musiały z początku ciążyć twórcy tej miary, następnie stać się nienawistnymi, jako nie tylko niepożyteczne lecz wręcz szkodliwe.

Odrzucił je, by ratować swoją pracę i gdyby postąpił inaczej, zaprzeczyłby samej swojej istocie.

Ten właśnie indywidualny i nieustannie twórczy charakter pracy Marszałka, stwarza najróżniejsze w różnych czasach dystanse między nim, a oficjalną reprezentacją polityczną Narodu, i jej partyjnemi częściami.

Pomijając nie mało ważny u nas czynnik niechęci tej reprezentacji do jednostki, stojącej ciągle ponad nią, a w bezpośrednim kontakcie z Narodem,—tylko czysto zasadnicze podstawy wybuchu negatywnego stosunku, różnych w różnych czasach, partyj do nierozumianej w takim czy innym przejawie pracy Piłsudskiego, — wydają się być dostatecznie jasne.

Nie liczenie się z doktrynami, wyznawanemi przez różne partje i ich nałogami konserwatywnemi, — wydaje się im być zamachem na ich egzystencję. Walka z przejawami zdziczałego demagogizmu, posuwającego się do podniecania w masach mniej oświeconych instynktów przeciwnych godności ludzkiej — staje się, w przekonaniu tę demagogję uprawiających, walką z Wolnością. Dążenie do zastąpienia wadliwych i skutkami skompromitowanych form organizacji życia Państwa — rozpatrywane jest przez partje z punktu widzenia interesów wyznawanych przez nie doktryn, i partykularnych interesów politycznej gry.

Odsunięte od bezpośredniej z Marszałkiem współpracy, do czego nie wykazały żadnych zdolności, partje i ich reprezentanci — zwłaszcza oficjalna lewica parlamentarna — starają się wynaleźć usprawiedliwienie tego stanu rzeczy w jakichś górnych i nader barwnie brzmiących przesłankach.

Fakt, że współpraca z twórcą wymaga zrozumienia jego koncepcji, jego idei i odważnego pójścia ku jej realizacji, a nie chwytania go za rękę i żądania, by odstąpił od swego dzieła, ponieważ pracuje nad nim w sposób nieprzewidziany przez żaden podręcznik teorii socjalnej czy politycznej, a zwłaszcza przez podręcznik, z którego czerpał swą wiedzę niefortunny kandydat na współpracownika, — ten fakt bywa z reguły odrzucany. Jest on jakgdyby zbyt prozaiczny dla odtrąconych wielkości, a może tylko zbyt prawdziwy.

Wyrasta tedy na niwie fantazji argument najszumniejszy i najtrudniejszy do uchwycenia przez szersze zastępy obywateli, argument z rzędu tych, które opinja musi albo przyjąć na wiarę do jej autorów, albo odrzucić, — o zagrożonej rzekomo przez rządy pomajowe Demokracji, mówiąc wyraźnie, o dążeniu Piłsudskiego do likwidacji demokratycznego ustroju Polski.

Nie warto już nawet rozwijać kontrargumentu, że gdyby ten cel przyświecał twórcy tego ustroju, gdy wystąpił ze swoim majowym protestem przeciw sejmowemu nastawieniu życia polskiego na tor katastrofy i z decyzją Rzeczypospolitej ratowania, najdogodniejszym dla osiągnięcia go był moment powszechnego entuzjazmu, wywołanego czynem majowym, gdy ustanowienie dyktatury Marszałka, na gruzach moralnie uśmierconego w opinji kraju sejmu, byłoby dokonane przy aplauzie ze strony, porwa-

nych przez swoje masy, stronnictw lewicowych. Jest on tak uderzająco słuszny.

Należy przecież pamiętać, że w żadnym ze swoich wystąpień publicznych na przestrzeni lat 1923 — 1929, Marszałek nigdy nie zaprzeczył celowości ustroju demokratycznego, ani prawom politycznym ludu, ani żadnej z jego fundamentalnych zdobyczy, osiągniętych w walce o Wolność Ojczyzny. Piętnował „zwyczaje i obyczaje“ panujące w sejmie i rządach, potępiał metody pracy politycznej reprezentacji Narodu, jej sposób rządzenia Państwem, pobudki z których wypływały tych rządów inspiracje. Odmałwiał tym „zwyczajom i obyczajom“ i metodom miana demokratycznych, tytułu do uważania ich za zdrowy przejaw ducha i interesów demokracji.

Ścisłość historyczna i w danym wypadku odda wielkie usługi umysłowi, poszukującemu prawdy. Przypomni mu ona bowiem i ten fakt wielkiej wagi, że Piłsudski protestował przeciw konstytucji marcowej, natychmiast po jej ukazaniu się na stole prac Sejmu i to nie przeciw częściom, mówiącym o prawach obywatela, a tym, które stanowiły niejasne a szerokie przywileje dla Sejmu, odbierając istotne prawa władzy wykonawczej w Państwie. Wówczas to zapadła decyzja Marszałka odrzucenia propozycji kandydowania na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej, wyjaśniona następnie szeroko w pamiętnej mowie, wygłoszonej w lipcu 1923 w Warszawie, w odpowiedzi na pytanie, postawione przez Antoniego Anusza: „Naczelniku, dlaczego musiałeś ustąpić“?

W mowie tej wyrażone zostały przewidywania skutków rozciągnięcia w konstytucji do granic nonsensu przywilejów sejmowych i uczynienia z władzy wykonawczej bezwolnego sejmujących stronnictw narzędzia, przewidywa-

nia, które nader szybko miały stać się faktem i w ciągu trzech lat doprowadzić do katastrofy. Oto chwila, w której Marszałek — przed trzema laty ostrzegający w słowach mocnych przed tymi skutkami — czynnie przeciw nim zaprotestował. Oświadczenia publiczne, złożone przezeń po przewrocie, są co do treści rozwinięciem i dalszym ciągiem wspomnianej już mowy z lipca 1923—myśl, kierująca zarówno rezygnacją z prezydentury, jak i decyzją powrotu do władzy przez likwidację ducha sejmowego, który się narodził zaraz po ukończonej wojnie i dyktował posłom rozdziały konstytucji, stanowiące o organizacji władz Państwa, — jest ta sama.

Wyraża ją znakomita definicja, iż „nie może być w Państwie za dużo nieprawości, jeśli nie ma ono iść do zguby“ i dążenie do zmiany „złych zwyczajów i obyczajów“, panujących w Sejmie i jego rządach.

Nie jeden z nas, zawsze skłonnych do wiary w ludzi, do optymizmu, płynącego z pragnienia, by w Ojczyźnie naszej działo się jak najlepiej i by Polacy byli najlepszymi gatunkowo ludźmi pod słońcem — w aplauzie, z jakim powitane było przez stronnictwa lewicy sejmowej majowe spoliczkowanie tych złych obyczajów, podcinających podstawy bytu parlamentu i ustroju z nim związanego, chciał widzieć zadatek wielkiego otrzeźwienia i obywatelskiego dojrzewania tych stronnictw. Przecież wydawało się nie do wiary, by stronnictwa te, ożywione duchem patriotyzmu, patrząc na okropne skutki systemu, który przez swoje doktrynerskie nastawienie myślowe — współtworzyły, nie wyciągnęły z przeszłości jednego dla siebie wniosku, iż nigdy już do niej powracać nie należy, powracać nie wolno.

Niestety, nadzieje te nie zostały potwierdzone przez rze-

czywistość. W miarę upływu czasu, zanikała pamięć o nowym punkcie wyjścia dla pracy polityczno-państwowej, stworzonym przez przewrót, powracało wspomnienie starych zwyczajów, tęsknota do dawnych przywilejów, wierność dla skostniałych doktryn. Szaleństwo poczęło odżywać i szukać sposobu wypłynięcia na widownię, a praca ochrzczona została mianem opozycji.

Opozycja szaleństwa nieodpowiedzialnego przeciw odpowiedzialnej pracy, — to może najsmutniejsza w naszych czasach pozostałość wynaturzeń, jakim życie Narodu uległo w niewoli.

Cóż robić z taką opozycją, która nie chce niczego zrozumieć, w obawie utraty siły ataku, traktowanego jako sztuka dla sztuki, lub jako konieczność względów taktycznych partji, wypływającą, powiedzmy, z poczucia zachwiania się na jakimś terenie jej wpływów, które właśnie pragnie odzyskać jakąś efektowną kampanją na rząd w sprawie, dany teren interesującej, — nie wchodząc ani w słuszność, ani w realność danej sprawy.

We własnej mojej praktyce publicystycznej zdarzało mi się doprowadzić do wyjaśnienia różnych kwestyj, które wysunięte były przez któryś z organów partyjnych, jako zarzuty pod adresem moim lub moich przyjaciół ideowych. Lecz nigdy nie udało mi się usłyszeć od mojego adwersarza w polemice przyznania, iż miałem rację. Raczej dana kwestja była zdejmowana ze szpalt zainteresowanego dziennika. Lecz jego czytelnik nie mógł nigdy usłyszeć, by w jakiegokolwiek sprawie miał rację kto inny, niż właśnie ten dziennik. Nikt nie posiada prawa do racji poza mówiącym — oto zasada naszego życia publicznego, niszcząca całkowicie wszelki sens polemiki i dyskusji, niwecząca podstawy współdziałania ludzi i grup ze sobą, za-

mykająca drogi postępowi w dziedzinie pojęć i zmuszająca go do wkradania się poprostu do życia metodą takiego lub innego gwałtu.

Cóż zatem robić z opozycją, uznającą tylko siebie i swoje racje, głuchą na racje tych, przeciw którym występuje?

Gdy kryterjum obiektywnej słuszności odpada, jakież pozostają kryteria, regulujące stosunki między ludźmi, chroniące pracę przed niszczeniem przez tych, którzy jej zrozumieć i uznać nie pragną?

Pozostaje jedynie kryterjum siły. Tylko strach przed siłą ogranicza szaleństwo, tylko nerwy nieludzko silne, tylko odwaga i pewność swej słuszności, zdolne są wytrzymywać spokojnie jego napory.

Dlatego właśnie działać publicznie w Polsce, podejmować pracę odpowiedzialnością i wytrwać przy niej aż do wytkniętej mety, mogą tylko ludzie o niezwykłej sile ducha i wierze w swój rozum, ludzie odporni na wszelkie brutalstwa, ludzie o zakroju bohaterskim. I jeżeli chodzi o tę kwestję, o warunki, w jakich odbywa się praca publiczna w Polsce, to i pod tym względem jesteśmy niezmiernie różni od zachodniej Europy, stoimy nieporównanie niżej. A warunki pracy dyktują jej charakter, kształtują jej metody.

Cóż robić z opozycją doktrynersko-demagogiczną, fałszywą w założeniu i działaniu?

Można jej tylko poddać się całkowicie i zginąć, lub odrzucić ją, szukając oparcia dla swej pracy w zainteresowanej opinii kraju.

Poddając się naciskowi partyj sejmowych, zwłaszcza prawicowo-centrowych, zginął moralnie Prezydent Wojciechowski. Zginęli wszyscy omal ministrowie i premierzy rządów po maj 1926. Nawet najsilniejszy z pośród nich,

Władysław Grabski, i wówczas, gdy, podejmując reformę finansów, posiadał znaczne zaufanie kraju, nie umiał pozbyć się uczucia nadwrażliwości na naciski klubów sejmowych, popadając w upokarzającą od nich zależność, która wycisnęła niewątpliwe piętno na jego pracy.

Tym, który się nigdy żadnym presjom i atakom z tej strony nie poddał i desygnowanym przez się do funkcji rządzenia poddawać zabronił — jest Marszałek. Niezależny, nieugięty konsekwentny, nieustannie twórczy, wróg teoretyzowania płynnego nurtu życia i usiłujących zatrzymać go doktryn, Piłsudski rozwiązuje zagadnienia, wysuwane przez rzeczywistość, własnego tylko słuchając sumienia, rozumu i intuicji. Jest on jedynym istotnym twórcą wśród ludzi, mówiących o twórczości i traktujących ją, jako uwieńczenie różnych spekulacji, bądź klasowych, bądź kastowych, bądź personalnych. Dlatego właśnie jest coraz szerzej rozumiany i coraz goręcej czczony przez Naród, kierujący się nieomylnem wyczuciem wartości i coraz silniej atakowany przez partje polityczne, posiadające świadomość, iż ta właśnie metoda i gatunek pracy Marszałka prowadzą do zupełnej klęski cały bagaż ich opozycji, „zwyczajów i obyczajów“, rahitycznej treści.

NASZA MNIEJSZOŚĆ CONTRA SPEKULACYJNEJ WIĘKSZOŚCI.

Można dzisiaj z całą sumiennością i poczuciem odpowiedzialności postawić djagnozę, iż proces przewartościowywania się psychicznego i myślowego środowiska aktywnych polityków partyjnych, decydujących o charakterze pracy politycznej reprezentacji Narodu, t. j. parlamentu, jeśli kraj nasz szczęśliwie ominą wstrząsy gwałtowne, a zwłaszcza wojenne — trwać będzie dłuższy okres czasu, dłuższe lata.

Wchodzi tu bowiem w grę nietylko zagadnienie dobrej woli, której nie zamierzamy odmawiać większości posłów i działaczy partyjnych. Chodzi tu przede wszystkim o wyższy poziom rozwoju myśli politycznej: o to, co pozwolimy sobie nazwać lapidarnie tresurą myślenia państwowego; o wejście w instynkt człowieka politycznie działającego poczucia, iż wartość wszelkich doktryn i teoryj ma swój miernik w polskiej rzeczywistości, jak weszło w jego instynkt przeświadczenie, iż o wartości polskiej rzeczywistości wyrokują jego teorie, zazwyczaj zapożyczone u obcych, lub wyrosłe w przestworzach marzeń o idealnych, w pojęciu danej jednostki czy grupy, rozwiązaniach problemów organizacyjnych życia zbiorowego, gdy nie istniały one jeszcze dla nas w praktyce, gdy byliśmy obiektem rządzenia w rękach zaborców.

A proces ten trwać będzie—jak to już stwierdziliśmy—

czas dłuższy, czego wyraźną zapowiedzią jest całkowite omal fiasco nadziei, iż rozpocznie go przewrót majowy, wstrząs, który, wydawało się, musiał poruszyć sumienia i umysły, a jednak nie poruszył. Zadawnione nałogi tylko ścichły na czas jakiś, by odżyć z przygnębiającą, pesymizmem napawającą, siłą.

Konsekwencją zaś przewlekłości tego procesu — odczuwaną dzisiaj przez kraj cały, a także i wielu z pośród działaczy partyjnych — być musi niezdolność, na przestrzeni długich jeszcze lat, do podźwignięcia przez reprezentację polityczną Narodu, przez parlament, odpowiedzialności za losy Państwa.

Trzeba odesłać do dziedziny niemądrych paradoksów, rozlegające się z fortów partyjnych biadania, iż ktoś kogoś nie dopuszcza do udziału we władzy, że dawniej prawica nie dopuszczała lewicy, a lewica z kolei. rzekomo, nie pozwalała skutecznie działać prawicy, lub wreszcie, że Piłsudski nie dopuszcza jednych i drugich.

Władzę trzeba brać. Jakkolwiek zaś nie wysoki jest u nas lot myśli politycznej, na przestrzeni ubiegłego dziesięciolecia wszyscy bodaj aktywni nasi politycy zdołali się przekonać, że triumf jednostki czy grup politycznych nie jest ukryty w dniu objęcia władzy, lecz, że ten triumf lub klęska ukryte są tajemniczo w nieznanym dniu władzy oddania. Że piękny, błyszczący napozór, medal władzy ma nader brutalną stronę odwrotną, a mianowicie — odpowiedzialność. Że władza nie jest terenem popisów dla pięknoduszkowstwa i nie pozostawia swoim piastunom czasu dla stylizowania się na posągi idealizmu i wzniosłych truizmów, lecz że władza to wór wszystkich kamieni niepopularności w kraju, w którym reprezentanci polityczni różnych klas i warstw i stanów uczyli je wytrwale, iż po-

pularne są tylko ich przywileje, a niepopularne i niesprawiedliwe z reguły wszystkie ciężary, jakie muszą one ponosić na rzecz organizacji życia zbiorowego Narodu i na rzecz Państwa.

W tych warunkach władza musi przynieść zawsze klęskę partji czy partjom, które wezmą na się jej ciężar, raz: ponieważ będą one podchodziły do jej zadań od strony swoich partykularnych zainteresowań i zobowiązań, a tego kraj znieść nie może, i dwa: ponieważ zmuszone będą czynić to wszystko, co same ogłaszały za najbardziej niepopularne i krzywdzące ich zwolenników i wyborców. Nie jest bynajmniej rzeczą przypadku, iż ci, którzy obecnie najgłośniej narzekają z powodu niedopuszczenia ich do władzy, zawsze pilnie strzegli i dzisiaj strzegą swej opozycyjnej reduty, zawsze uciekali przed odpowiedzialnością. Błaganie jest tylko karnawałową maską. W rzeczywistości zaś partje nasze nie są w stanie podźwignąć odpowiedzialności władzy, i co gorsza, nie będą do tego zdolne, póki nie zmienią metody wychowywania swych zwolenników i bazy ich koncentracji, z negatywnej na pozytywną w stosunku do tego, co jest kompleksem ciężarów rządu, mówiąc inaczej, co jest kompleksem konieczności państwowych i organizacji zbiorowego życia Narodu.

Gdy politycy chcą być w oczach opinii primadonnami, rozdającymi łaski swych zawsze zawodowo czarujących uśmiechów, lub literatami, budującymi świat idealizmów, niezakłóconych ani potrzebami, ani konsekwencjami procesów trawienia organizmu narodowego — mogą robić wszystko, tylko nie mogą rządzić.

Takimi są właśnie, w olbrzymiej większości, nasi politycy partyjni.

I oto staje przed nami wizja zjawiska, które na dłuższy

czas będzie towarzyszyć naszemu życiu państwowemu, jako nieunikniona konieczność, a mianowicie, że odpowiedzialność za Państwo, a zatem władza, spoczywać będzie na nielicznej nawet być może, w pewnych okresach, mniejszości, która będzie nadto obciążona wszystkimi skutkami i przejawami procesu fermentacyjnego w łonie większości arsenału polityków zawodowych, władających instrumentami partyjnymi.

Zagadnienie władzy kształtuje się tedy u nas na okres dłuższy w barwach dramatycznych i to właśnie z powodu warunków myślowo-psychicznych, w jakich będzie rozwijać swoją pracę każdy rząd, zmuszony przebijać się poprzez wrogie sobie, z reguły opozycyjne, reduty sejmujących partyj, by pogłębiać swój bezpośredni kontakt ze społeczeństwem, nad którego wychowaniem państwowem będzie musiał czuwać sam, a przedewszystkiem stworzyć dlań szerokie podstawy organiczne.

Gdy rządzącą mniejszością jest Józef Piłsudski — Polsce nie potrzeba więcej do pomyślności. Marszałkowi zaś nie potrzebne jest nic poza pracą całego jego życia, by pozostawać w najbardziej intymnym, na tonie serca i uwielbienia opartym kontakcie z wielkimi masami Narodu. Jest to sytuacja jedna z niewielu, a może, jeśli się uwzględni drogi jej rozwoju, jedyna w historii i niepowtarzalna. Nikt nie może żywić i nikt nie żywi nadziei, by można ją było w jakikolwiek bądź sposób odziedziczyć, przejąć czy przenieść na inne osoby, czy grupy, czy organizacje.

Z chwilą, gdy Marszałek uzna swą pracę państwową za zakończoną, gdy oderwie go od niej inna praca, czy chęć poświęcenia się rodzinie, którą tak bardzo kocha gorąco, wówczas mniejszość, na którą spadnie ciężar odpowie-

działności za Państwo, jeśli ma podolać swej misji historycznej, musi uruchomić organiczne systemy łączności swojej ze społeczeństwem, z której czerpać będzie siłę i która uchroni ją przed niebezpieczeństwem zawiśnięcia w powietrzu, nad czym, oczywiście, pracować będzie gorliwie opozycyjna większość.

Konieczność przemyslenia i przedyskutowania zagadnienia form tego kontaktu owej mniejszości ze społeczeństwem, wywołała właśnie tę pracę.

III.

PIŁSUDCZYCY NA DALSZYCH ETAPACH
DROGI PIŁSUDSKIEGO.

THE JOURNAL OF THE
AMERICAN MEDICAL ASSOCIATION
PUBLISHED WEEKLY
CHICAGO, ILL., U.S.A.

KONIECZNOŚĆ PRZEWARTOŚCIOWANIA KLĘSKOWEGO
PATRJOTYZMU STRONNICTW POLITYCZNYCH.

Dochodząc — po rozpoznaniu układu stosunków w życiu politycznem naszego kraju — do konkluzji, iż odpowiedzialność za Państwo spoczywać będzie na mniejszości, wolnej od doktrynerstwa, ofiarnej, dzielnej i ideowej, mniejszości, do której mam zaszczyt się zaliczać, a która znana jest społeczeństwu pod dumną nazwą Piłsudczyków, stwierdzamy tem samem, iż między ową mniejszością a partijną, opozycyjną, większością, istnieć musi stan walki — o serca i umysły obywateli.

Ta walka leży w logice sytuacji, w tem mianowicie, że zadaniem dziejowem naszej mniejszości jest stać się ideologiczną i pojęciową większością w Narodzie. W przeciwnym bowiem razie, wszystkie, największe nawet, jej zasługi, położone koło osłaniania Państwa przed atakami anarchji z prawego i doktrynerstwa z lewego skrzydła opozycji, muszą pozostać bez decydującego dla losów Ojczyzny w przyszłości skutku. Cóż z tego, że ongiś Żydzi przeszli suchą stopą poprzez morze Czerwone? Czyż dzisiaj pozostał jakikolwiek ślad tej drogi? Czy może ktokolwiek szukać w niej ocalenia przed utonięciem? Równie wątpliwy byłby pożytek dla przyszłości Polski skutecznych i pożytecznych nią rządów, gdyby zasady i przesłanki takich rządów nie stały się własnością Narodu, jego sposobem myślenia i działania.

Czy przejawy i formy tej walki będą w różnych czasokresach zaostrzać się lub łagodnieć; czy będzie się ona obracać wokół doktryn socjalno-ekonomicznych, politycznych czy duchowych; czy też będzie przybierać charakter sejmowych szykan opozycji pod adresem władzy wykonawczej, jako całości lub poszczególnych jej organów — co do swej treści, pozostanie ona zawsze najbardziej zasadniczą walką o wyrwanie Narodu z pęt niewoli myślowej i psychicznej i najgorszych tradycji okresu przedrozbiorowego, o odrodzenie Polaków w ich najgłębszej istocie, odrodzenie co do treści, nie tylko co do formy i zewnętrznych pozorów.

Jeśliby ktoś zechciał uczynić mi modny nader zarzut, iż nie doceniam siły patryjotyzmu w Narodzie, odpowiem mu, że patryjotyzm jest jednym z najwznioślejszych niewątpliwie, lecz i najbardziej przyrodzonych uczuć ludzkich i że jego napięcie wyraża tylko natężenie dynamiczne siły, która nie decyduje o sposobie jej użycia. Patryjotyzm, nie wykształcony na myśli państwowej, to było w przeszłości największe nieszczęście Narodu. Nie brakło nam zazwyczaj siły patryjotycznej, lecz brakło bardzo często zrozumienia sposobów skutecznego dla Ojczyzny jej używania. Brakło, słowem, kultury politycznej i poczucia prawideł życia zbiorowego.

Szlachta polska umiała się bić. Bo to było najprostsze, choć najbardziej ofiarne i zaszczytne z pośród zadań obywatelskich. Lecz poza polem bitwy, a nawet często i na niem, patryjotyzm szlachecki nie umiał przełamać granicy egoizmu stanowego i prywatnego. Nawet gdy Polska wygrywała ostatnią kartę w grze o swą egzystencję z potężnym partnerem moskiewskim, Chłopicki nie objął dowództwa bitwą na polach wawerskich, ponieważ boczył

się na nominalnego naczelnego wodza Radziwiłła. Nie potrafił przełamać swej pychy, mimo, iż wiedział, że Radziwiłł dowodzić nie umie i bitwę, która była do wygrania, przegrać musi.

Gdybyśmy spröbowali postawić sobie drastyczne pytanie: czy ten defekt czy niedorozwój patryjotyzmu nie przczył niewoli? — odpowiedź, jaką dało ubiegłe dziesięciolecie bytu niepodległego, musiałaby nas głęboko zatrwożyć i natchnąć poczuciem konieczności reakcji.

Nawet w obliczu nieprzyjaciela, prącego masami swych hord na stolicę, nie zabrakło w naszych czasach staroszlacheckiej frondy. Na pole bitwy pójść odmawia, do indygenatu warcholstwa i prywaty dopuszczony, mieszczanin Dowbór-Muśnicki. Dziedzic najgorszych tradycy szlachecczyzny, mieszczanin Dmowski, zatrzymuje w Poznaniu świeże i wypoczęte pułki, ciesząc się, iż w ten sposób nieprzyjaciel złamać może front, dowodzony przez nie-miłego mu Naczelnego Wodza. Głowy jego nie zaprzętała myśl, że front nad Wisłą jest frontem Polski, że ważą się na nim jej losy. On widział w nim tylko instrument rozgrywki między sobą i Piłsudskim. Dla tego nowoczesnego magnata egzystencja Polski nie była bynajmniej zbyt wysoką ceną, gdy chodziło o zadośćuczynienie jego pysze.

Nawet zatem w obliczu nieprzyjaciela Odrodzona Polska miała odczuć boleśnie przekłąą trwałość niedorozwoju patryjotyzmu u licznych swoich możnych synów.

Cóż dopiero mówić o okresie powojennym, gdy patryjotyzm ten został wystawiony na cały łańcuch prób i ciężarów cichego, pokojowego, organicznego, politycznego i ekonomicznego życia Narodu; gdy, aby to życie stworzyć, trzeba było poczynić w ruiny narodowego życia wielkie inwestycje ofiar i ustępstw ze strony wszystkich

klas i warstw; gdy wobec reprezentacji politycznej Narodu wylaniała się stale konieczność rezygnowania z błyskotliwych triumfów partykularnych i rozdawania łask swym protektorom - wyborcom, na rzecz nieefektywnej koordynacji wysiłków, opartej na ustępstwach z haseł i papierowych programów, na skromnej ewolucji w zaspakajaniu żądań, chociażby najslusznieszych, na karności wreszcie wobec tego głównego celu, jakim jest Polska silna, zdrowiem, płynącym z harmoniji rozwoju.

Lewa strona reprezentacji parlamentarnej przysłała do Niepodległości w karności i w atmosferze wiośnianych zadatków uczuć państwowych, nabytych na polach walki o wolność. Głos kierowniczy i decydujący mieli wśród niej ci, którzy się bili, którzy odnieśli zwycięstwo w walce. Pobici doktrynerzy i wygodnisie programowego tchórzostwa — milczeli. Tu demoralizacja zaczęła się dopiero wkradać powoli. Tu warcholstwo, osłonięte pancerzem doktryn i krzepione poszumem górnych haseł, poczęło wyrastać dopiero w atmosferze sejmowej, stopniowo, w miarę, jak wygasał entuzjazm zwycięstwa Wolności nad przemocą i wylaniać się poczęły zagadnienia pokojowego życia Narodu, pochwycone w pochopne objęcia przez wielce uczonych doktrynerów. Tu zatem, początkowo, zwłaszcza w okresie wojny, bił żywym tętnem ofiarny patriotyzm, co trzeba sprawiedliwie podkreślić, zwłaszcza wobec straszliwej degrengolady, ku jakiej ta część reprezentacji parlamentarnej doszła w następstwie, demonstrując ją obecnie w najbardziej zwyrodniałej formie, i czego wykreślić z obrazu polskiej rzeczywistości nie można, nie wolno.

Strona zaś tej reprezentacji prawa nie przyniosła Polsce Odrodzonej, oprócz najokropniejszego, nie cofającego

się przed zbrodnią, warcholstwa — nic. Tu święciły triumf orgje prywaty, graniczące ze zdradą stanu, — fronda N. D. w r. 1920 i przetrzymywanie armji Hallera we Francji w r. 1919; sprzedawczykostwem, — oskarżanie Naczelnego Dowództwa walczącej armji przed przedstawicielami państw obcych o konszachty z nieprzyjacielem i próby złożenia honoru obrony Ojczyzny w ręce cudzoziemskiego generała; zbrodnią, — zabójstwo pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej i oszustwem, wyrażajacem się w eskamotażu Kościoła i patriotyzmu dla swojej partji oraz oskarżaniu swoich przeciwników politycznych o knowania z ciemnymi siłami międzynarodowymi przeciw Polsce.

Zaprezentowano z tej strony młodej Rzeczypospolitej całe menu najgorszych przywar szlachetczyzny XVII w., pomnożone o nieznane Polsce zabójstwo Głowy Państwa, a z opuszczeniem szlacheckiego animuszu rycerskiego, rycerskiej szlachty postawy, która w pewnym stopniu tłumaczyła swawolę. Swawola, szerzona przez N. D., nosi charakter czysto anarchistyczny i wyrasta z pysznej prywaty jej leaderów, niekrępowanej w swych przejawach żadnymi względami na dobro Ojczyzny i moralne podstawy życia Narodu.

Jeżeli zatem powiadamy, iż gatunek patriotyzmu, reprezentowany przez nasze stronnictwa polityczne, nie może być w żadnym razie uznany za odpowiadający polskiej racji stanu — mniemam, iż twierdzenie to jest po tysiąc kroć potwierdzone przez rzeczywistość. Jest to patriotyzm, który przywiódł Polskę do upadku, a i w naszych czasach, na przestrzeni lat 1922 — 1926, nie w innym pchał ją kierunku.

Cóż ma robić mniejszość, chociażby nawet była nie-liczna, posiadająca pełne zrozumienie właśnie takiego cha-

rakteru rzekomego patriotyzmu stronnictw politycznych, wywierających niewątpliwie wielki wpływ na kształtowanie się umysłów obywateli,—mniejszość, ożywiona miłością Polski, zmartwychwstaniu której poświęciła swe życie, a dzisiaj nie rozumie życia w oderwaniu od losów Państwa? Czy czekać z trwogą w sercu a bezczynnie, aż raz przerwany w maju — dramat narodowy pocznie w przyszłości odżywać na nowo? Patrzeć spokojnie na odrastanie w psychice stronnictw politycznych jego elementów, by może szukać jakiejś patetycznej formy protestu przeciw nim, gdy będzie zapóźno? Dzielić tragiczny los twórców spóźnionej konstytucji majowej, czy poprostu czekać swojej hekatombie, w Ojczyzny nieszczęściu?

Jakkolwiek silny byłby nastrój finału takiej taktyki, historycznie byłby on równoznaczny z niedołęstwem, ze zdradą sztandaru, z zaprzeczeniem szkole Komendanta, w której się do życia i działania zaprawialiśmy, z uchyleniem się od kontynuowania — wedle sił i najlepszego zrozumienia — jego pracy nad wychowaniem Narodu, by mógł i potrafił na wieki być wolnym.

Imperatyw działania jest tu tak wymownie obowiązujący, że byłoby przesadą próbować go uzasadniać. Działania w kierunku wytworzenia w Polsce tego, co pozwoliłbym sobie nazwać patriotyzmem pokojowym, t. j. nieznaney nigdy Polsce w przeszłości metody myślenia i działania obywatelskiego, wyrastającej ściśle i tylko z polskiej rzeczywistości materialnej i duchowej, której musi być przywrócona, w przeświadczeniu i sentymentach obywatela, wartość najcenniejsza i wyłącznie miarodajna dla jego dążeń i zamierzeń, dla kierunku pracy jego życia.

Chodzi tu przede wszystkim o doprowadzenie do koncentracji uwagi i zainteresowań obywatela, na realnych

zagadnieniach codziennego jego życia, środowiska, w którym żyje, gminy, do której należy i Państwa, jako syn-tezy interesów całego Narodu oraz skierowanie jego siły patriotycznej ku pracy nad rozwiązywaniem tych, zazwyczaj prozaicznych a najważniejszych, kwestyj, z których składa się dobrobyt i spokój Narodu.

OD SZARLATANERJI DO RZECZYWISTOŚCI.

Nasze partje polityczne skwapliwie unikają zetknięcia z powszedniemi, organicznemi zagadnieniami życiowemi, unikają zetknięcia z rzeczywistością. Nawet do kwestyj najzupełniej praktycznych i realnych podchodzą z poezją nic nie wyrażających haseł, nie dotyczących zupełnie samej kwestji. Z nałogu poniekąd i dla braku cywilnej odwagi angażowania się w rozstrzygnięcia praktyczne aktualnych zagadnień, które zazwyczaj musiałyby mijać się z bagażem ich teoryj programowych, dążą one do wiązania uwagi obywatela jakiemiś abstrakcjami, pięknie brzmiącemi ogólnikami, nie dającemi obywatelowi żadnej inspiracji do działania, a mającemi głównie za zadanie napęlić go wstrętem do Polski, jaką ona jest, albowiem każde takie hasło partyjnej fabrykacji dąży do utwierdzenia go w przekonaniu, że ta jego Ojczyzna jest dziwnym zlepkim wszystkich szpetot i defektów, ucisku i tyranji, krzywdy i niesprawiedliwości.

Przed Polską stoją dwa wielkiej miary zagadnienia: racjonalizacji i wzmożenia wydajności gospodarstwa narodowego oraz rozbudowy szkolnictwa powszechnego, zagrożonego przez brak budynków szkolnych.

Czy którekolwiek ze stronnictw politycznych podjęło wśród swoich zwolenników akcję praktyczną, idącą po linii rozwiązywania tych konieczności? Czy spróbowało

któreś z nich zaatakować te problemy, podejść chociażby tylko do próby wzięcia na się częściowej odpowiedzialności za ich rozstrzygnięcie?

Nie podobnego. Rezerwują sobie one jedynie rolę krytyków rozwiązań, dokonywanych przez kogoś innego, albowiem w całym nastawieniu psychicznym leaderów stronnictw istnieje założenie, iż odpowiedzialność w każdym wypadku za losy Narodu i Państwa ponosić mają nie oni.

Zagadnienie intensyfikacji produkcji jest tedy z jednej strony rozpatrywane pod kątem obaw politycznego umacniania się szerokich mas proletariackich i ludowych o radykalnym wyrazie społecznym. Z drugiej zaś, z punktu widzenia niebezpieczeństwa wzmacniania się wpływu na politykę gospodarczą Państwa przedstawicieli kapitału, pracującego dla produkcji. Kwestja dobrobytu obywateli i finansowej siły Państwa, będąca jądrem zagadnienia, jest całkowicie odsunięta na bok. Reprezentanci polityczni pracy chcieliby tylko przy tej okazji zamordować kapitał, — przedstawiciele zaś kapitału, mieliby szczerą ochotę zamknąć w więzieniu pracę.

Przeświadczenie, że nie one, partyjne reprezentantki polityczne Narodu, powołane są do praktycznego rozwiązania tego problemu, opartego na nieuniknionej konieczności kolaborowania kapitału z pracą, wydaje się być dla nich najzupełniuszem usprawiedliwieniem wszelkiej demagogji, wywołującej dezorientację obywatela i wdrażającej w jego umysł nader jednostronny i zgola przez to fałszywy pogląd, na tak ważne dla niego i dla kraju zagadnienie.

Również żadne ze stronnictw nie zdobyło się na odwagę praktycznego ujęcia kwestji budowy szkół. Owszem, mówi się o demokracji w zakresie oświaty, o tem, że powinna

ona być powszechna i t. p. truizmy. Lecz, że demokracja w tym zakresie doznaje znakomitego umocnienia w każdym nowowyprowadzonym budynku szkolnym, tej prawdy przed obywatelami partje nie odkrywają. Zamiast powiedzieć: obywatele, budujmy szkoły! — powiada się: brońmy demokratyczności oświaty! Można to rozumieć, jak komu się podoba, można z tego powodu pozłorzeczyć na rząd i na ustrój i na swoich nieprzyjaciół politycznych, lecz napewno nie trzeba nic robić, poza uchwaleniem na wiecu obrończej i rewolucyjnej rezolucji.

W rezultacie tej metody wychowawczej, obywatel spogląda ciągle ku górze, skąd dolatują go bałamutne poszumy skrzydlatych haseł i skąd oczekuje przybycia cudownego, drogą niebieską, swego szczęścia, nie widząc tego, co się dzieje u jego nóg, na ziemi i nie wierząc, by tu właśnie, w tej obrzydzonej mu rzeczywistości, leżały drogi jego przeznaczeń i zadatki szczęścia.

Ten stan rzeczy jest daleko groźniejszy dla rozwoju życia Państwa, niżby się to pozornie wydawać mogło. Daje on bowiem możliwość egzystencji szarlatanerii politycznej, która, zdobywając sobie miejsce w Sejmie, poczyną wyciskać swe piętno na obliczu parlamentu, zakłócać harmonję funkcjonowania ustroju, opartego o instytucję parlamentu, wywoływać nieodpowiedzialne kryzysy, powstające z koniecznej walki, jaką racja stanu musi wypowiedzieć jej właśnie, szarlatanerii, wreszcie — anarchizować umysły obywateli.

DROGA PIŁSUDSKIEGO I ISTOTA PRZEWROTU MAJOWEGO.

Gdyby chodziło o względy natury czysto dydaktycznej, wypadłoby żałować, iż skutki tego stanu rzeczy nie ujawniły do końca wszystkich swoich walorów. Że szczęśliwym zrządzeniem losu, nad procesem odradzania się Polski, czuwa natchniony genjusz Piłsudskiego, wyrosły z dziejów naszych, biorący sam jeden Naród i Państwo w obronę przed skutkami fatalnego patriotyzmu politycznej reprezentacji Narodu, zastępujący Narodu nierozwiniętą jeszcze mądrość obywatelską własną swoją mądrością, mąż, o którym powiedzieć kiedyś będzie musiała historia, iż podczas, gdy Naród jego przeżywał zaledwie okres ząbkowania politycznego, on sam był Narodem dojrzałym, nad niemowlęciem czuwającym, jego szczęścia mocną dłonią ofiarnie strzegącym, jego dobro pomnażającym.

Lecz jeśli Naród nie stanie się szybko zbiorowym Piłsudskim, jeśli ożywiający go duch i jego mądrość, które są podwalinami Wolności i rozwoju naszego życia, nie staną się zbiorowym duchem i zbiorową mądrością całego Narodu, jedynej trwałej opoki Państwa, — czyż zdoła on pomyślnie kierować losami swojemi, obronić się przed szarlatanerją, regulować działalność swojej reprezentacji, stawiać wymagania rzetelnej pracy rządów?

Nie trzeba długiego zastanowienia, by się pozbyć wą-

tpliwości, iż odpowiedź na to pytanie jest tylko jedna — negatywna.

I niema też żadnej wątpliwości, iż głównem zadaniem mniejszości, którą już poprzednio nazwaliśmy z imienia, jest przedewszystkiem rozbudowa pracy wychowawczej Narodu na szkole myślenia państwowego, stworzonej nie w teorii, a w praktyce działania, przez Marszałka.

Jeśliibyśmy tu, w tej działalności, szukali wskazań dla naszej pracy, wypadaloby przedewszystkiem przyswoić sobie jedno i najważniejsze, a mianowicie: iż nie wolno stwarzać sytuacji, w której Naród mógłby poczuć się zwolnionym z odpowiedzialności za Państwo, a zatem, iż należy iść po linii rozbudowy organizacyjnych środków, wzmacniających to poczucie odpowiedzialności i nadających odpowiedzialności formy konkretne.

Marszałek rzekł się myśli o swojej dyktaturze w listopadzie 1918 i zwołał Sejm, by powołać cały Naród do odpowiedzialnego udziału w odbudowie Ojczyzny i by dać mu odczuć, iż jest to jego Państwo i że jest on za nie odpowiedzialny. Oczekiwał znaleźć w reprezentacji Narodu co innego, niż znalazł. Powie później o pierwszym Sejmie — w słynnej mowie z lipca 1923 — „Szukałem w panach posłach odrodzenia, lecz odrodzenia nie znalazłem“. I w słowach gorzkich określi wszystką obrzydliwość, którą znalazł, miast odrodzenia. Obrzydliwość, która się ujawniła w r. 1920 na prawej stronie Sejmu, a w r. 1921, przy układaniu konstytucji, już znacznie szerzej, ogarniając powoli i lewe Sejmu skrzydło.

Lecz Sejmu tego Piłsudski nie rozpędził. Konstytucję, przezeń uchwaloną, poddał druzgocącej krytyce, odmówił przyjęcia władzy najwyższej, w tej konstytucji sprowadzonej do fikcji, ustąpił, lecz oficjalnie ujawnionej „woli Narodu“

nie złamał. Przestrzegł, że ta „wola“ przyniesie Państwu nieszczęście. Gdy jednak ostrzeżenie jego przyjęte było milczeniem przez oficjalnych wyrazicieli woli Narodu, przez Sejm, — usunął się w zacisze domowe. Ze złem pogodzić się nie mógł, prawa łamać nie chciał.

Myśl wychowawcza przebija wyraźnie z tego postępowania. Nie trzeba jej odgadywać, jest ona tak czytelna, tak dobitnie wyrażona. Trzeba było, by Naród, który swe losy w ręce swoich złożył wybrańców, przekonał się, iż wybrał źle, że ci wybrańcy działają na jego szkodę. By zatem obudziło się i rozwinęło w jego świadomości poczucie materjalności, spoczywającej na jego barkach odpowiedzialności za losy Państwa, a wraz z nim i za swoje własne. Że ta odpowiedzialność nie jest bynajmniej fikcją lub pięknym frazesem; że prawa obywatela, wynikające z suwerennej roli Narodu, nie są bynajmniej tylko bez-troskim przywilejem, a wybór reprezentacji parlamentarnej festynem, na którym się wybiera królowe agitacyjnej piękności. Że wreszcie pięcioletnie małżeństwo wyborcy z posłem kończy się zazwyczaj w ten sposób, iż posąg zabiera posel, a dzieci p. posła niańczy wyborca, a zatem dla wyborcy nie jest rzeczą obojętną w chwili zawierania małżeństwa, jakimi mogą być dzieci, z takiego spółdzone ojca.

Ta sama myśl wychowawcza towarzyszy późniejszym czynom Piłsudskiego.

Na schyłku r. 1925, kiedy pod nóż święącego najwyższy w Sejmie triumf klucza partyjnego, poczęła być wciągana ostatnia — wobec kryzysu gospodarczego, finansowego i politycznego — reduka siły narodowej, armja, — Marszałek w sposób oficjalny zwraca uwagę Prezydenta

Wojciechowskiego na konieczność niedopuszczenia do tego nieszczęścia. W następstwie, Marszałek ponowi jeszcze parokrotnie swoje ostrzeżenia i podda najostrzejszej krytyce publicystycznej polityczne handle ówczesnego kierownictwa armją, zbrojnym ramieniem Rzeczypospolitej.

Temi drogami zdąża on do mobilizacji czujności Narodu, do obudzenia w nim świadomości nadciągającej katastrofy i poczucia konieczności uderzenia w jej źródło, — w obyczaje sejmowe i rządowe, celem powstrzymania ich rozwoju siłą presji powszechnego potępienia.

Gdy środki te nie odnoszą skutku, jeśli chodzi o stan rzeczy w Sejmie i rządzie; gdy Prezydent Wojciechowski nie znalazł dość siły charakteru, by odrzucić dyktando stronnictw sejmowych i użyć swej władzy i moralnej siły najwyższego urzędu w Rzeczypospolitej dla oddzielenia losów Państwa od bezładu odruchów i szaleństw, tonących moralnie wraz z Sejmem, stronnictw, — Marszałek decyduje się zaostrzyć formę swego protestu.

12 maja 1926, a więc trzeciego dnia po mianowaniu rządu anarchistycznej prawicy sejmowej pod prezydencją cynicznego warchoła Wincentego Witosa; rządu, z którym — w momencie rozchybotania podstaw egzystencji Rzeczypospolitej — powróciło na widownięć widmo klęski, przyniesionej przezeń Państwu w r. 1923 (maj — gruzdzień), wreszcie rządu, powitanego uczuciem przerażenia przez kraj cały, — Marszałek zjawia się w stolicy na czele oddziałów 7 pułku ułańskiego i rembertowskiego bataljonu manewrowego, by w sposób stanowczy przestrzec raz jeszcze Prezydenta Wojciechowskiego i natchnąć go siłą zejścia z drogi sankcjonowania władzą swego urzędu nieobliczalnych przejawów nieodpowiedzialnego warcholstwa

stronnictw sejmowych, a zwłaszcza świeżo zatwierdzonej na fotelach ministerjalnych koalicji.

Marszałek przybył do stolicy, by stać się podporą i ramieniem Prezydenta, by władzy jego oddać swoją siłę, prawu i obowiązкови czuwania nad dobrem Rzeczypospolitej dać moc przeciwstawienia się czynionej jej najcięższej krzywdzie,—osamotnionego, brutalnie przez stronnictwa sejmowe traktowanego i bezsilnego, w rozpacz popadającego, wesprzeć Prezydenta.

W krótkiej rozmowie, odbytej popołudniu tego dnia na moście Poniatowskiego, Marszałek wyraźnie uświadomił Prezydentowi Wojciechowskiemu ten cel swego demonstracyjnego przybycia do stolicy. Niestety, „zadrażony“ — jak to później określił Marszałek — przez Sejm, Stanisław Wojciechowski stracił już panowanie nad nerwami. Nie zrozumiał ani swego zadania, ani treści odbytej z Marszałkiem rozmowy. Oddał się całkowicie na usługi anarchji sejmowej i jej reprezentantów w koalicyjnym rządzie Witosa, i kazał powitać przybywającego mu na ratunek Marszałka strzałami.

Temi strzałami Prezydent Wojciechowski zaalarmował sumienie Narodu. Mniemając, iż strzela w imieniu prawa, nie dostrzegł, że to prawo ma oblicze koalicji p. Witosa, oblicze wyuzdanej prywaty i klęski, napawające przerażeniem kraj od krańca po kraniec, poza tymi, co się z tą prywatą sprzyięgli. Jeśli gdziekolwiek, a zwłaszcza na ziemiach zachodnich Rzeczypospolitej, agentom tej koalicji udawało się przez czas jakiś bałamucić bezwstydnem kłamstwem szersze zastępy obywateli, to i tam, w następstwie, przyszło przebudzenie i przyniosło klęskę kłamcom. a zwróciło ufność pełną ku Marszałkowi.

Temi strzałami Prezydent Wojciechowski zaalarmował

sumienie Narodu. Marszałek, który chciał przyjść do stolicy, jako ramię Prezydenta i karny jego żołnierz, wkroczył do niej, jak triumfator, witany jak salwator — serc uniesieniem, radością i błogosławieństwem, wielkim, wyrwającym się z serc milionów okrzykiem odetchnienia — nareszcie!

Lecz i w tym momencie Marszałek szukał porozumienia z Prezydentem, by dzieło ratunku Rzeczypospolitej związać z jego naczelnym w Narodzie urzędem, związać z prawem. By to, co było prawem, stało się także i racją stanu, a nie parawanem dla zgorszenia i klęski.

Napróżno!

Prawo i racja stanu nie zdołały się spotkać w tym dniu historycznym. Rozminęły się, a przecież na krótko.

Marszałek odrzuca stanowczo myśl o dyktaturze, a przyczyną tej decyzji, bynajmniej wówczas nie skrywaną, jest konieczność unikania sytuacji, w których Naród mógłby się poczuć zwolnionym z odpowiedzialności za Państwo.

Sejmu, mimo, iż moralnie przestał on istnieć, nie rozpędza, nie zawiesza, nie likwiduje. Przeciwnie, dźwiga go wolą własną z upadku. Ukazuje mu, w przemówieniu do przedstawicieli klubów sejmowych, całą ohydę jego dotychczasowych metod działania i okropne ich skutki, ostrzega przed próbą kontynuowania ich w nowych warunkach, wytworzonych przez przewrót, lecz dźwiga przez Naród powołaną instytucję prawa, instytucję wyobrażającą Narodu władzę i odpowiedzialność.

Zwołuje Sejm, by wykonać próbę doprowadzenia do spotkania racji stanu z prawem, udaremnionego przez Prezydenta Wojciechowskiego. Próba ta znajduje nietylko pomyślne, lecz nawet triumfalne zakończenie. Sejm powołuje olbrzymią większością Marszałka na opuszczony

przez Wojciechowskiego urząd Prezydenta, a gdy wierny swej linii, wytkniętej w r. 1922, Marszałek wyboru nie przyjmuje, Sejm powołuje tą samą omal ilością głosów na prezydenturę kandydata i przyjaciela Marszałka, prof. Ignacego Mościckiego.

Dzień, w którym wybór ten nastąpił — niech mi wolno będzie dla dokładności i wierności obrazu popęlnić tę niedyskrecję — był dniem wielkiego szczęścia Marszałka.

Przybywszy z wiadomością o rezultacie głosowania w Sejmie, zastałem Marszałka pełnym głębokiego wzruszenia. Cekał i wiele musiał spraw Ojczyzny ważyć w swem sumieniu. Gdym dał relację z przebiegu wyboru Prezydenta Mościckiego, w oczach Marszałka rozgorzały iskry radości, czarującą jego twarz oblał rumiany, głęboki rozśmiejch zadowolenia.

Byłem wzruszony, patrząc w Jego oczy, widząc, jak szczęście spędziło z czoła troskę okropną, którą dotąd dźwigał.

Pytałem Marszałka: czy jest szczęśliwy?

Tak! Był szczęśliwy!

— Nie macie nawet pojęcia, jaki jestem szczęśliwy — brzmiała odpowiedź na moje pytanie.

Czułem świetnie, że jest to szczęście spotkania się racji stanu z prawem, których rozejście się w dniu 12 maja tak bardzo ciążyło Marszałkowi.

Dał zresztą publicznie wyraz radości z tego faktu w liście, rezygnującym z prezydentury, gdzie mówi z zadowoleniem o „zatwierdzeniu przez Sejm jego historycznej pracy“, inaczej mówiąc, że przewrót został zalegalizowany oficjalnie i prawnie przez Naród, w osobie jego reprezentanta politycznego — Sejmu.

A i później Marszałek nigdy nie ucieknie się do ula-

twienia sobie pracy przez zniszczenie czy zawieszenie funkcyj aparatury odpowiedzialności Narodu za Państwo. Przeciwnie, włoży wiele pracy w przełamywanie złych nałogów sejmowych, w demonstrowanie Narodowi, na czym to zło polega, by, zrozumiałwszy je, stał się jego wrogiem. by on, Naród, przyuczał się obowiązku stania na straży rzetelności pracy swej reprezentacji parlamentarnej.

Gdy w pracy tej nie doznaje pełnego powodzenia, gdy osmielone coraz bardziej łagodnością człowieka, który mógł je zmiażdżyć i okryć hańbą, a przecież tego nie uczynił, stronnictwa sejmowe ujawnią swą smutnego gatunku indywidualność w obcinaniu niezbędnych pozycji budżetowych, obcięciach, noszących charakter tchórzliwych szykan pod adresem tego lub innego członka rządu, — Marszałek traktować będzie te czkawki złych nałogów i niedorozwoju myśli państwowej wśród posłów z wielką wyrozumiałością. Nie da się unieść gniewowi, ani porwać zniechęceniu. Będzie nadal kontynuować swój system wychowawczy. Ukarze tylko moralnie posłów, uświadomi Naród, dlaczego ukarać ich należało.

Nie szuka bowiem ułatwień dla siebie. Szuka trwałego dla Polski oparcia w powszechnej w Narodzie świadomości spraw Państwa, którą budzi, w politycznej myśli państwowej polskiej, którą kształci. W swej krótkowzroczności stronnictwa polityczne zdają się nie rozumieć, iż w miarę pogłębiania się tej pracy Marszałka z jednej, a odchodzenia przez nie od rzeczywistości, w zapale opozycyjnego doktrynerstwa, z drugiej strony, zbliża się ich klęska, jaka przy poprzednich wyborach dotknęła, po raz pierwszy, anarchistyczną prawicę, stojącą na stanowisku zasadniczej opozycji względem racji stanu, reprezentowanej przez Piłsudskiego, a przy następnych uderzy w doktry-

nerską lewicę, która zajęła, opuszczone po klęsce wyborczej przez prawicę, okopy zasadniczej opozycji.

W społeczeństwie bowiem rozszerzać się będzie zasięg wpływu myśli państwowej i pozytywnego stosunku do rzeczywistości, t. j. dążenia do rozbudowy realnej pracy, contra wszelkim teoretyzmom i doktrynom, których siła atrakcyjna spadła do minimum i w dalszym ciągu spadać będzie aż do zera. Stronnictwa zaś polityczne albo będą się stopniowo poddawać nowym wymaganiom wyborców, co np. stara się gwałtownie czynić ostudzona klęską prawica, albo będą zanikać, jeśli szaleństwo uporu przeżyje cierpliwość obywateli.

Lewica może jeszcze paść ofiarą zwycięstwa odniesionego w wyborach z r. ub. Upuściła ona bowiem z pod uwagi fakt, iż odniosła je z tytułu wątpliwego udziału w przewrocie i współpracy z Marszałkiem nad naprawą Rzeczypospolitej. Upojona tem zwycięstwem doszła do nonsensowego wniosku, iż jej zwiększona siła może być użyta spokojnie do walki z Pilsudskim i z jego pracą nad naprawą Rzeczypospolitej, z tytułu udziału w której rozszerzyła swój zakres wpływów. Ten błąd zemści się na lewicy w sposób bardzo bolesny i wówczas dopiero rozpocznie ona swój wielki odwrót od doktryny i personalnych małości, do polskiej rzeczywistości i szacunku dla spraw Państwa. Wówczas dopiero ona, jak przed rokiem prawica, odczuje wartość systemu wychowawczego Pilsudskiego i znajdzie w klęsce nieodparty argument, nakazujący szacunek dla jego pracy i konieczność głębszego i rzetelniejszego do niej stosunku.

PIŁSUDCZYCY NA DALSZYCH ETAPACH DROGI PIŁSUDSKIEGO

Jeżeli zatem mamy przeświadczenie, a co ważniejsze i doświadczenie, że system Marszałka, polegający na nadawaniu kształtów realnych i ciągłości odpowiedzialności Narodu za jego własne Państwo—jest jedynie słusznym, staje się zrozumiałem, iż głównem zadaniem mniejszości, na którą w przyszłości spadnie całkowita odpowiedzialność za Polskę, będzie kontynuacja tego systemu, drogami oczywiście przystosowanemi do jej różnych, od będących w dyspozycji Marszałka, możliwości, zmniejszonej siły autorytetu i bardziej ograniczonej skali, mogących być wprowadzonymi w grę, środków.

Każdą w tej dziedzinie decyzję utrudniać będzie smutny argument o niskim jeszcze poziomie wykształcenia Narodu w sprawach polityki i ekonomiki, i obawa skutków tego zjawiska. Lecz przecież o to właśnie chodzi, by poziom ten podnieść, by nastawienie psychiczne i umysłowe obywatela, ku właściwym skierować zainteresowaniom, czego żadną miarą nie da się osiągnąć inaczej, niż w drodze doświadczałnej, przez postawienie obywatela wobec praktycznych zadań zarządu sprawami publicznymi, wciągających go w orbitę rzeczywistości konkretnej, do której nie może się inaczej, niż konkretnie ustosunkować, będąc zmuszonym wykonać nad sobą pracę rozpoznawania jej wymagań oraz szukania środków i sposobów zadość

tym wymaganiom uczynienia. Nie powinno nikogo przerażać, że praca ta będzie przez czas dłuższy szwankować, ujawniać różne braki i przeżywać różne drobne kryzysiki. Trzeba być na to przygotowanym, jak jest się przygotowanym, iż rozpoczynające naukę dziecko nie odrazu zostanie uczonym, czy chociażby fachowcem w takiej lub innej dziedzinie umiejętności ludzkiej. Czy dlatego, że nauka musi trwać w czasie i napotyka przeszkody, należy jej wogóle zaniechać? Czy przeto, że nastawienie myślowe Narodu i poziom jego wyrobienia w sprawach publicznych nie mogą być natychmiast właściwie odmienione, należałoby godzić się, by pozostawało ono w stanie z przed maja 1926?

Oczywiście, zadaniem i obowiązkiem rządu, wykonującego taki lub inny program reform, jest czuwanie nad słuszną progresją wecielenia go w życie. Jest to jednak zadanie czysto techniczne i jako takie do zakresu tej pracy nie należące.

Chodzi tu tylko o stwierdzenie, że praca wychowawcza Marszałka musi być kontynuowana i rozbudowywana przez mniejszość, na którą spadnie odpowiedzialność za Polskę, i że dla tej pracy będą musiały być znalezione formy i metody, zapewniające jej powodzenie i trwałość osiągniętych rezultatów.

Oczywiście, gdy się ma na myśli pracę polityczną w społeczeństwie, siłą utartego szematyzmu nasuwa się sama przez się, jako właściwa do niej droga — organizacja polityczna, czyli inaczej mówiąc, stronnictwo polityczne, partja. Nasuwa się ona z tem większą siłą, że grupa ideologiczna, pragnąca odegrać rolę polityczną, nie może rezygnować z posiadania reprezentacji w parlamencie, a przy naszym systemie wyborczym i obecnym charakte-

rze parlamentów europejskich, walka wyborcza rozgrywa się właśnie między aparaturami partyj politycznych, posiadających szeroko rozbudowane organizacje dla celów agitacji wyborczej.

Mimo te względy, droga tworzenia nowej organizacji politycznej czyli partji, jako instrumentu działania wychowawczego w Narodzie i walki z dotychczasowym systemem partyjnym i jego duchem, winna być przez nas — mojem zdaniem — odrzucona i to dla paru powodów.

Życie publiczne, a nawet i prywatne, nie da się oczywiście oczyścić od nalotu demagogji i zresztą, to bynajmniej nie jest konieczne. Demagogją bowiem jest cały romantyzm i liryzm życia i jego złudne, a tak potrzebne człowiekowi uroki, — pewna doza fantazji, ubarwiająca rzeczywistość, ostatecznie zawsze dość szarą i męczącą, chyba że jest nią gra szalejących żywiołów, chyba że jest nią wojna, o których: i żywiołów i wojny, od nas odwrócenie prosimy co dnia Boga.

Demagogja pod postacią sztuki oddziaływania na uczuciowość człowieka, przemawiania do jego wyobraźni porciągającym językiem barwnego obrazowania zjawisk, ta demagogja weszła w skład normalnych środków oddziaływania ludzi na ludzi i z nią walczyć niema powodu, ani potrzeby. Przeto niezupełnie wydaje się być właściwem określenie pojęciem demagogji przerażających z punktu widzenia etyki i moralności — metod działania, mających szerokie zastosowanie w naszym życiu publicznem, a polegających na walce z przeciwnikiem lub ubieganiu się o sympatje obywateli, zwykłem oszustwem. Nazywanie oszustwa demagogją, ma ten zły skutek, że polityk, który napewno nie zechciałby się splamić zarzu-

tem popełniania oszustwa, popełnia je zasugerowany łagodnością terminu „demagogja“, nie pociągającego za sobą dyffamacji. Jest to również wskaźnik znacznego upadku pojęć etycznych w społeczeństwie, — zjawisko nad wyraz niebezpieczne swem zabarwieniem anarchistycznym. Naród, w którym etyka zatracą charakter powszechnego miernika czynów ludzkich, stojącego ponad wszelkie przekonania, sympatje i związki polityczne i prywatne; gdzie staje się ona instrumentem politycznej gry grup, osobistych aspiracyj w dziedzinie życiowej kariery jednostek i gdzie każda zagroda i każde zrzeszenie ma swoją własną etykę, niepodobną do etyki innych grup i zaścianków, tam panuje najgorsza z anarchji, bo anarchja sumień, wykluczająca normalny i zdrowy żywot organizacji życia Narodu, uniemożliwiająca jej pokojowy rozwój.

Stąd metoda oszustwa w życiu politycznym nie powinna być maskowana pojęciem demagogji, pojęciem w rzeczy samej nie zawierającym w sobie cech zbrodni publicznej i wskutek tego nie wywołującym w społeczeństwie należytej reakcji. Trzeba zbrodnię nazywać po imieniu, jeśli się z nią chce walczyć. Wystarczy bowiem złodzieja oskarżyć nie o złodziejstwo, a o popełnienie niewłaściwego kroku, by społeczeństwo nie miało podstawy psychicznej do stawiania go pod pręgierzem swego oburzenia, będącego tamą dla przestępstwa.

Nie waham się stwierdzić, iż to co doprowadziło nasze życie publiczne do ciężkiej choroby rzetelności i moralności, jest skutkiem operowania przez partje polityczne oszustwem, a nie demagogją. Jeśli przejrzymy hasła wyborcze stronnictw, wysunięte podczas pierwszych i drugich normalnych wyborów, a więc w r. 1922 i 1928, musimy stwierdzić, iż przynajmniej połowa z nich zawiera obietni-

ce lub tezy noszące w stu procentach charakter oszustwa z premedytacją. Identyczny będzie rezultat przeglądu hasel i tez, wysuwanych przez stronnictwa w normalnej ich walce z przeciwnikami, czy rywalami.

Oszustwem z premedytacją było twierdzenie, powtarzane na przestrzeni wielu lat przez N. - Demokrację, że wszyscy obywatele, nie uznający jej zwierzchnictwa nad sobą, są wrogami Polski i Kościoła. Oszustwem także były wszystkie kalumnje rzucane przez tę partję na Piłsudskiego, od czasu, gdy wziął na swe barki ciężar zrealizowania w żywych kształtach Niepodległości Polski, aż do orgji bezwstydných kłamstw, doprowadzonej do zenitu w maju 1926 w Poznańskim i na Pomorzu, a i dzisiaj jeszcze po cichu kontynuowanej. Oszustwem są twierdzenia sejmowych leaderów lewicy, straszące społeczeństwo przez nie tworzoną wizją jakiegoś faszyzmu, jakiejś likwidacji demokracji, jakoby będących celem dążeń rządów pomajowych.

Nasze życie publiczne przesyccone jest oszustwem, aż do ostatecznej obrzydliwości, aż do zupełnego doń zniechęcenia obywateli, odepchnięcia odeń elementów wartościowych, o żywej wrażliwości etycznej i honorowej. Być posłem na sejm — to bynajmniej nie znaczy być człowiekiem otoczonym szacunkiem społeczeństwa. To znaczy być traktowanym drwiąco i niechętnie, — podejrzliwie i obrażająco. Bowiem pojęcie poseł i polityk, zostało w świadomości ogółu tak silnie związane z kłamstwem, z posługiowaniem się oszustwem, z prywatą i próżniactwem, że trzeba wiele odwagi, gdy się nie jest ani kłamcą, ani nawykłym do oszustwa, ani karjerowiczem, słowem gdy się idzie do służby publicznej dla niej samej i z poczucia obywatelskiej powinności, by przekroczyć granicę pewności, iż ulegając

tej powinności nie podobna uniknąć skutków atmosfery, wytworzonej w życiu publicznem.

Stąd też, szukanie drogi do pracy wychowawczej Narodu w rywalizacji z dotychczasowemi stronnictwami politycznemi przez wystawienie do walki z nimi nowego stronnictwa, które zmuszone będzie przyjmować, w pewnej mierze przynajmniej, narzucone sobie metody walki, a zatem oddalać się ciągle od głównego swego celu, — wydaje się być zupełnie niemożliwem, a nawet mogłoby się okazać szkodliwem.

Wypada dalej zauważyć, że naturalnym celem stronnictwa jest dążenie do szybkiego rozszerzania zasięgu swoich wpływów, a zatem do stosowania metody otwartych drzwi: każdy ma wolny i łatwy wstęp. Selekcja przypływającego czy zdobywanego materiału, jeśli nawet zasada taka zostanie przez stronnictwo wysunięta, musi za przykładem Temidy nałożyć sobie opaskę na oczy i to znacznie ściślej, niż pierwowzór. Nie uda się w żaden sposób uniknąć niebezpieczeństwa zakażenia organizmu stronnictwa przez element moralnie słaby, a karjerowiczowski, który łatwiej przyswoi sobie metody pracy przeciwnika, niż nakazywane mu przez jego kierowników. Nasunąć się musi również niebezpieczeństwo utonięcia w tysiącznych kompromisach, które będą musiały być zawierane z takimi lub innemi grupkami czy organizacjami, pragnącemi czy godzącemi się tylko związać swój żywot polityczny ze stronnictwem. Nawet najtęższe kierownictwo stronnictwa musi zużywać na ten cel wiele zupełnie nieprodukcyjnej — z punktu widzenia wytkniętego wyżej zadania — energii, posiadając wzamian instrument działania niezmiernie ociążały, wielce różnolity w swych częściach składowych, podlegający łatwo kryzysom i kaprysom, podmino-

wany ambicjami personalnemi, które — jak małe wulkany — wybuchają będą na każdym kroku i to w chwilach wymagających największego sił natężenia i najwyższej karności organizacyjnej.

Wreszcie trzecim argumentem, przemawiającym przeciw wybraniu przez nasz obóz ideowy tej drogi działania jest — w mojem skromnem przekonaniu — fakt, iż partja polityczna w obecnej jej formie, weszła w stadjum schyłkowe i zmierza ku zanikowi. Nie waham się wyrazić tego przekonania, mimo świadomości, iż zostanie ono zbombardowane huraganowym ogniem oburzenia ludzi, których życie osobiste i karjera polityczna, zostały związane z systemem partyjnym, ludzi z tym systemem nierozwalnie zżytych.

Nikt przecież nie zdoła zaprzeczyć, że platforma skupiania się obywateli, określana jest nie przez fantazję wizjonerów czy filozofów, a przez rodzaj zainteresowań i dążeń ludzkości lub jej części w danej dobie historycznej. Forma zaś tego zrzeszania jest odbiciem form życia zbiorowego, oraz charakteru dążeń i potrzeb doby bieżącej.

Partja polityczna, jako luźna i w rzeczywistości mało krępująca forma skupiania się jednostek, dla celów obrony ich interesów politycznych, doszła do najwyższego rozwoju w okresie wyłaniania się z mroków ucisku na scenę dziejową szerokich mas ludowych, gdy hasło: wolność, równość i braterstwo! — było sztandarem i programem, bojowem zawołaniem serc rozpalonych buntem, łakących satysfakcji zakreślonej konturami bardzo luźnemi i szerokimi, w których było dość miejsca na różne odcienie wyobrażeń kształtów wolności i równości i braterstwa. Ludy europejskie żyły w ogniu aspiracyj politycznych

i polityczna a luźna platforma skupiania się w momentach decydujących rozgrywek, była naturalnym wynikiem tych aspiracji, była objawem harmonizującym z charakterem tej doby historycznej.

Po dzień dzisiejszy, szczególnie u nas, gdzie partje nie wykazują większego zrozumienia charakteru obecnej, nowej doby historycznej, partja pozostaje organizacją nader luźną, nie wywierającą trwałego wpływu na zastępy obywateli, które uważa za wierne sobie. Nie posiadam miarodajnych w tym przedmiocie danych, lecz sądzę, że będę bardzo bliski prawdy, jeśli cyfrę zorganizowanych przez wszystkie nasze partje członków określę na 5% użytkiwanych przez nie kartek wyborczych. A nawet i te 5% należałoby przyjmować z wielką ostrożnością, zważywszy, że od posiadania legitymacji członka partji do opłacania wkładek i udziału w codziennem jej życiu, prowadzi bardzo u nas daleka droga.

Jeśli chodzi o prasę partyjną, to — poza Poznańskiem i Pomorzem, gdzie zresztą ostatnio prasa partyjna również bardzo podupadła — nakłady jej są tego rodzaju, że jeden egzemplarz dziennika partyjnego przypada na kilkadziesiąt tysięcy wyborców.

Wystarczy w tych dziennikach przejrzeć rubryki korespondencji ich ze swoimi czytelnikami, by przekonać się, iż nie pozostają one w żadnym poproście ze swoimi współtowarzyszami partyjnymi kontakcie. Działy takich korespondencyj wogóle bowiem nie istnieją.

Nie może więc być mowy o jakimś stałym kontakcie góry partyjnej z dołami, oczywiście, nie dołami partyjnych urzędników, a społecznemi, z wyborcami, bez czego nie jest możliwa żadna praca pozytywna partji, wymagająca ciągłości.

Zdając sobie z tego sprawę, góry partyjne pracują w zasadzie tylko na wybory, tylko na porwanie mas przerażliwym bezwstydem kłamliwych haseł i siłą agitacyjnej zawieruchy. W międzyczasie, między jednemi a drugiemii wyborami, góry partyjne wysilają się nad utrzymaniem w napięciu bojowym swoich agitatorów, preparowanych systematycznie do przyswojenia sobie najdziwaczniejszych fałszów, częściej za cenę kariery i pieniędzy, niż dobrej wiary. Unikają natomiast skrzętnie wystawiania na próbę swojego wpływu na swoich wyborców, którymi w rzeczywistości nie władają. Groźby próby sił, rzucane czasem przez te czy owe partje, nie powinny zakłócać niczyjego snu. Są to tylko groźby, przerażające najbardziej tych, którzy je rzucają. Pamiętne wypadki krakowskie w listopadzie 1923, wynikłe ze spontanicznego odruchu sprowokowanych robotników, przerażyły w równym stopniu rzekomo zwycięską w nich P. P. S., co i dygocący ze strachu rząd Witosa—Dmowskiego.

Partje nasze bowiem nie mogą władać masami, ponieważ nie pozostają z niemi w kontakcie organizacyjnym, ponieważ nie wychowują ich w poczuciu karności, a stale łaszczą się im, szukają sposobów przypodobania się im fałszami, godzącemi z reguły w całokształt interesów Państwa i, oczywiście, w instytucję rządu, wogóle wszelkiej władzy. Można ułożyć z nieomylną pewnością tablice haseł, które co pewien odstęp czasu będą wysuwane przez każdą partję. Lewicowe będą broniły demokracji i chociażby rządy pracowały nad jej rozbudową, muszą one znaleźć pretekst do wzięcia jej przed nimi w obronę. Prawica podnosić będzie larum w obronie polskości Polski i Kościoła, niezależnie od wszystkiego, co się dzieje na świecie, nawet gdyby ten krzyk miał wywołać komplikacje wewnę-

trzne i międzynarodowe, gdyby musiał iść przeciw Pa-
pieżowi.

Nic tu nie może ulec zmianie. Metody są stabilizowane
mocniej od dolara, cel zawsze ten sam, święcie niewzru-
szony — mandaty, mandaty i mandaty.

Byłaby nadzwyczaj interesującą próba przekonania opi-
nii przez któregoś z miłośników systemu partyjnego i jego
treści obecnej, a także i skutków, których ciągłość pra-
gnęliby zachować dla Polski przy pomocy różnych, rze-
komo demokratycznych, figlów konstytucyjnych, że ten
system i ta treść są czemkolwiek, jakąś chociażby nitką
tylko, związane z obecną rzeczywistością, z treścią dzisiej-
szej doby historycznej.

Może zdołałby zachwiać naszym przekonaniem, iż obra-
ca się ten system w próżni i odgrywa rolę żwiru w try-
bach maszynierji życia narodowego i że chociaż ma on
dziś jeszcze monopol na mandaty poselskie, zbliża się do
momentu utraty tego monopolu, a zatem zaniku ostatniej
deski jego ratunku.

Obecną naszą dobę historyczną znamionują problemy
ekonomiczno - socjalne, jak minioną charakteryzowały
aspiracje polityczne ludów. Nie chcemy przez to powie-
dzieć, że doba ubiegła nie знаła zagadnień gospodarczych,
a obecna będzie wolna od kwestyj politycznych. Chodzi
jednak o to, że jak w dobie minionej rozwiązywanie spraw
ekonomiki spadało na reprezentantów idej politycznych,
panujących nad wszystkimi innemi, tak w dobie obecnej,
która zresztą zaczęła się już przed wojną, rozwój sytuacji
pójdzie w kierunku dalszego podporządkowania zagad-
nień polityki ideom ekonomicznym i socjalnym, a zatem
reprezentantom i wyrazicielom tych idej.

Wprawdzie partje polityczne od wielu już lat ewoluja w kierunku zapewnienia sobie charakteru jedynie powołanych reprezentantów interesów ekonomicznych i socjalnych różnych grup społecznych, czyniąc na ich rzecz coraz szersze koncesje ze swobody swego działania. Lecz wydaje się, iż jest to tylko okres przejściowy. Okres, gdy związki zawodowe i gospodarcze mobilizują dopiero swe siły i ćwiczą się w sztuce organizacji, i przeto przyjmują oferty partyj, dźwigania za nie części kłopotów reprezentacyjno-politycznych. Dzisiaj już jednak liderzy partyj ustępują przed wolą szefów związków zawodowych i gospodarczych. Maluczko, a ci ostatni odrzucają coraz mniej im potrzebną, a zatem coraz bardziej uciążliwą pomoc i posłają do parlamentu własną reprezentację, zmieniając radykalnie jego charakter.

W warunkach zaostrojonej walki o byt, coraz silniej zaciskających się więzów organizacji życia narodu, wzmożonej konkurencji ekonomicznej między narodami, wznoszenia się natężenia wyścigu pracy, gdy od ramowych kwestyj politycznych przeszliśmy do precyzyjnych i ścisłych zagadnień ekonomiczno-socjalnych, gdy się walczy nie o szerokoskrzydłą Wolność, a o grosze stawek zarobkowych, ułamki procentów zysków, ułamki jednostek produkcji w ułamkach godzin, o jednostki wydobywania minerałów, ilość wrzecion na robotnika, wysokość ułamka urzędnika administracyjnego na jednostkę produkcji, punkty stawek celnych i transportowych i t. d. i t. d. — tu prędzej czy później muszą zacząć o tem mówić i decydować fachowcy, przedstawiciele związków i organizacji, których powołanie i charakter musi wykluczać dotychczasowe luźne podstawy skupień, jakeimi są partje, wymagając na to miejsce organizacji ścisłej, żywotnej, karnej,

pracującej nad zagadnieniami ekonomicznymi i wychowującej na nich swoich członków.



Mniemam, iż udało mi się wyjaśnić przyczyny, dla których droga kontynuowania szkoły wychowawczej Marszałka nie prowadzi poprzez organizację o charakterze partyjnym, przeznaczoną do walki z dotychczasowymi partjami o umysły i czucia obywateli, celem przyswojenia ich myśli państwowej.

Na tej drodze bowiem czekałoby nas niebezpieczeństwo stargania sił w trudnościach stworzenia prężnego instrumentu działania, owianego duchem służby ideowej, — być może, bez większego powodzenia.

Zadanie takie zresztą nie stałoby w należytej proporcji do odpowiedzialności historycznej, wobec której stajemy coraz bardziej twarzą w twarz, coraz bardziej bezpośrednio i całkowicie, a która wypływa z dwóch faktów: 1) że byliśmy przez tyle lat wychowywani i kierowani przez Marszałka, a także mieliśmy największą możność obserwować jego pracę i ciągnąć z niej naukę, oraz 2) że jesteśmy żołnierzami walki o Niepodległość, w której zginęli nasi najbliżsi przyjaciele, najcenniejsze dzieci Polski; żeśmy dowiedli hartu doprowadzenia tej walki do zwycięskiego końca; żeśmy zdali — za przyczyną Komentanta — egzamin z rozumu politycznego i ofiarności na rzecz Ojczyzny. Być może, na tym etapie mogłaby być zamknięta karta naszych zadań i może spływałaby z niej na naszą pracę chwała jeno i honor, a nie odpowiedzialność. Mogłoby tak być, zaiste, gdyby obraz rzeczywistości był obecnie inny od tego, który obrysowaliśmy z grubsza

w pierwszym rozdziale tej pracy. Gdyby istniały warunki pewności, że, gdy Marszałek uzna swą osobistą pracę za skończoną, steru Rzeczypospolitej oczekują liczne krzepkie a rozumne dłonie, które statkiem narodowym pokierują dobrze.

Lecz, niestety, tak nie jest.

I oto wyłania się nasza odpowiedzialność. Albowiem słusznie powiedziałaby o nas historia, iż nie byliśmy dobrymi uczniami swego Mistrza, jeśli nie zdołaliśmy ustrzec Rzeczypospolitej przed burzami i krzywdami, gdy wiedzieliśmy przed innymi, że ku Niej nadciągają.

Waga tej odpowiedzialności, warunki działania i charakter naszej mniejszości, — te wszystkie względy decydującego znaczenia zdają się wskazywać drogę inną, a mianowicie drogę pracy koncepcyjnej, kształtowania myśli organizacyjnej zbiorowego życia Narodu, któraby przemawiała do obywateli siłą swej słuszności, a wypływała z potrzeby wzmacniania rzeczywistej odpowiedzialności Narodu za Państwo i konieczności dania możliwości rozwoju obiektywnym walorom naszej rzeczywistości gospodarczej, socjalnej i duchowej, zniekształcanym przez partje polityczne bądź na skutek szkolenia umysłowości ich działaczy na jednostronnych doktrynach i teoriach zaściankowych, bądź dla celów walki o wpływy i mandaty.

Obiektywizm nie wyklucza tu, oczywiście, wiary politycznej. Chodzi jednak o to, że wierząc w potrzebę rozbudowy Demokracji i idąc ku temu celowi, niepodobna go osiągnąć w drodze powtarzania, a tem więcej próby realizowania haseł i doktryn, przekreślających np. rzeczywisty układ sił, działających na polu ekonomiki narodowej i wszystkich lub części zasad organizacji życia, które są wyrazem ducha epoki w całym kulturalnym świecie i prze-

strzeżenie których jest warunkiem naszego z nim kontaktu i współdziałania, bez czego życie i rozwój naszego Państwa nie mogą mieć miejsca.

Naogół bardzo łatwo zapomina się o dystansie istniejącym między słusznym hasłem i dobrym wykonaniem. Najlepszą myśl można skompromitować i pogrzebać złym podejściem do jej realizacji, nadmierną brutalnością i jednostronnością metod dla tej realizacji użytych.

Te właśnie kardynalne wady ujawniły wszystkie nasze partje polityczne, gdy w ten, czy inny sposób, posiadały władzę w swych rękach. Sanacji skarbu nie dlatego nie potrafił przeprowadzić obóz prawicy, że cel był niesłuszny. Przeciwnie, był on i bardzo mądry i bardzo w swoim czasie aktualny. Lecz zawiodło wykonanie, podejście do zagadnienia, system pracy.

Przeto jest mojem przekonaniem, iż zadania naszego obozu, a zarazem i jego niezastąpiona wartość leżą przede wszystkim w odwadze dania racjonalnego systemu realizacji całego szeregu haseł i tez, które były już być może nawet wysuwane z różnych stron, lecz których wrogiem śmiertelnym są: specyficzne partyjne zwężenie horyzontów myślowych i ograniczenie swobody bezstronnego obcowania z rzeczywistością, — gdy od haseł wypada przejść do działania.

W związku z tem wylania się przed nami jeszcze jeden problem wysokiej wagi, noszący pozornie charakter sprawy rodzinnej, niejako naszej prywatnej domowej, lecz mimo te pozory — problem o znaczeniu ogólnem z tego punktu widzenia, że rozstrzygnięcie go może wywrzeć silny wpływ na zdolność podźwignięcia przez nasz obóz jego dziejowego zadania.

Chodzi tu o rozstrzygnięcie kwestji: czy winniśmy przy-

jąc dla naszego obozu metodę drzwi otwartych lub zamkniętych, t. j. stworzenia możliwości dostępu do jego życia wewnętrznego różnym czynnikom politycznym lub też zrezygnowania z tych możliwości, na rzecz ochrony zwartości ideologicznej, czystości i prężności walorów naszej grupy, wytworzonej przez długoletnią tradycję walki w szkole Komendanta.

Oczywiście, każda grupa ideowa, stojąca do pracy publicznej, ma naturalną skłonność do rozrastania się, do wchłaniania coraz nowych elementów.

Jeżeli jednak doszliśmy do przekonania, że droga tworzenia partji nie jest wskazaną dla naszego działania, tem mniej wydaje się być celowe otwieranie drzwi dla różnych organizacyj politycznych, z nieuniknionem ryzykiem, iż nie zdołają się one żyć z nami, przejąć naszym duchem, — że będą przybywać po udział w zwycięstwach, unikać angażowania się w ryzyko, gdy zjawi się jego potrzeba i ewentualnie odchodzić w chwilach niepowodzeń, — wywołując w każdej sytuacji komplikacje w naszym własnem życiu.

Jeśli zespół nasz wyobrazić sobie jako wprawiony w ruch przez Marszałka motor energii narodowej, wydaje się być koniecznem, by pasy transmisyjne przełożone były od tego motoru na wielkie koła rozpędowe szerokich mas społecznych, poprzez maszynę państwową, a z ominięciem wszelkich aparatów pomocniczych, w postaci organizacyj i organizacyjek politycznych, przeciążonych zazwyczaj, ponad własne siły, ciężarem interesów i ambicij wewnętrznych, a partykularnych.

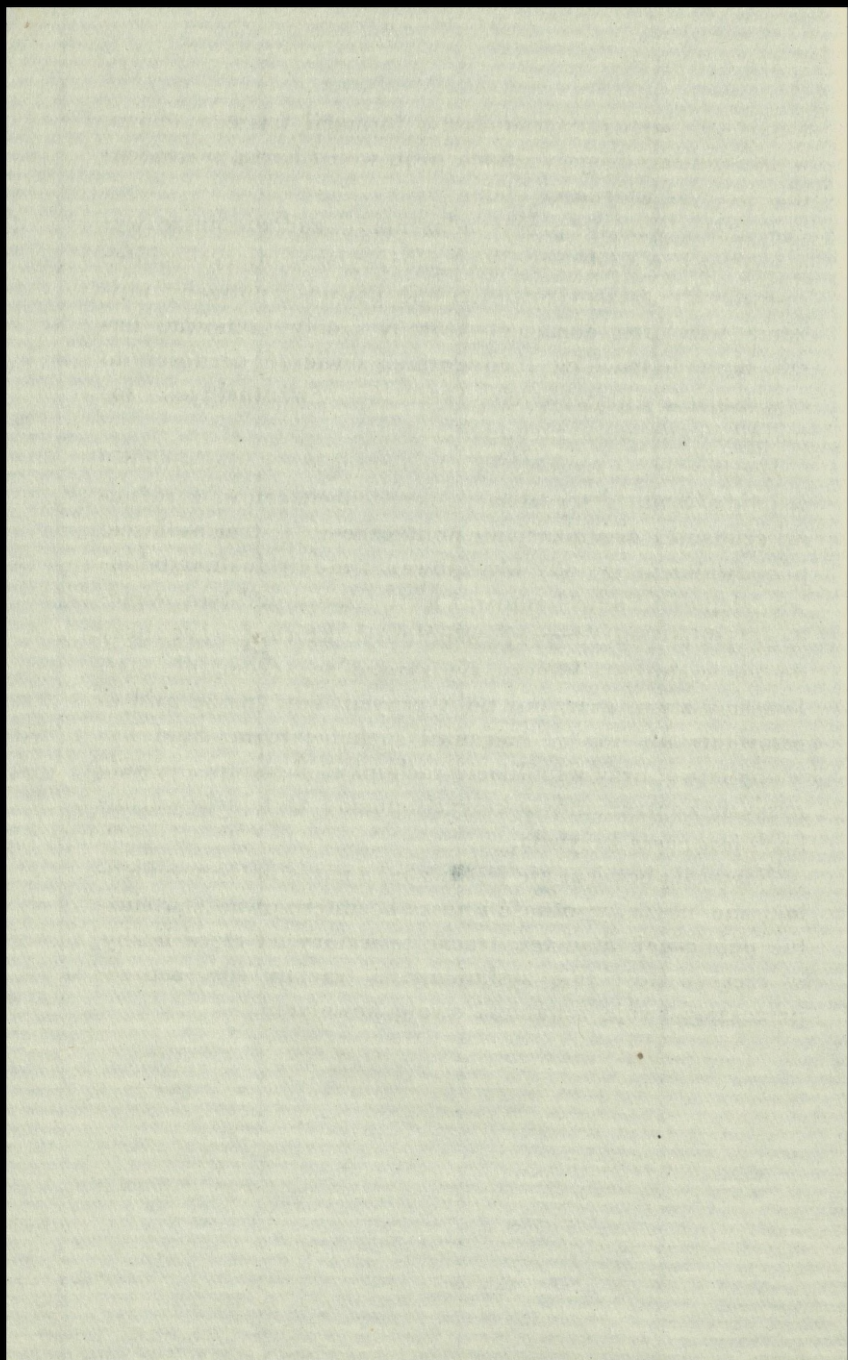
Nie jest to zatem dążenie do izolacji. Przeciwnie. Powoduje mną myśl o potrzebie najwyższej ekspansji, w najszerszem jej zrozumieniu, której warunkiem jest zachowanie

wanie tradycyjalnych podstaw formacji naszego obozu, wytworzonego drogą wielkich prób woli i hartu, poświęcenia, pracy i wierności idei.

W miarę wzrostu przeświadczenia, iż zadanie nasze wymagać będzie wielu wysiłków i najwyższej miary bezinteresowności, wzrasta równocześnie pewność potrzeby unikania wszelkich obciążeń, któreby mogły krępować naszą swobodę ruchów i co gorsza, zawierać dążności do zaspakajania prywatnych interesów ewentualnych sojuszników na nasz rachunek.

Doceniając najzupełniej konieczność i sensowność współdziałania, dla realizacji określonych celów, z różnymi grupami i organizacjami politycznymi, jestem osobiście przeciwnikiem metody likwidowania indywidualnej odpowiedzialności kontrahentów, i wytwarzania pod tym względem jakiejś niezdrowej wspólnoty, która — jak uczy doświadczenie — kończy się zawsze ze szkodą dla nas. Jesteśmy złymi graczami politycznymi, gdyż nasze zainteresowania nie idą w kierunku spekulacyjnym. Stąd bywamy łatwo, przy wspólnocie rachunku, obciążani prywatą naszych kontrahentów, których pomoc w takich warunkach jest naszą krzywdą.

Naszą siłą bowiem nie jest liczba, a nasze natężenie ideologiczne, nasza żywotność i nasza bezinteresowność w służbie publicznej. Stąd też, tracąc te walory na rzecz liczby, w rzeczywistości nie zyskujemy, a tracimy siłę, zaprzeczamy swoje zadanie i swoje powołanie.



IV.

PARTJOKRATYCZNO - BIUROKRATYCZNY OGRÓD
UDRĘCZEŃ OBYWATELA.

PAKTYERATYCHNO-BUDOKRATYCHNY OGRÓD
UDRĘCHNY OBYWATELA

KONFLIKT MIĘDZY BIUROKRACJĄ A SPOŁECZEŃSTWEM.

Przechodząc do próby praktycznego rozwiązania zagadnienia metody kontynuacji i rozwijania szkoły wychowawczej Marszałka, musimy dla porządku sformułować tu powszechnie rozumianą tezę, że jeśli cechą nowoczesnego państwa jest fakt, iż odpowiedzialność zań spada na cały naród, a przede wszystkim na szerokie masy ludowe, — cały naród, wszystkie siły społeczne, muszą być zaangażowane w kształtowanie życia i rozwój tego państwa. Że zatem państwo nowoczesne tem się różni od dawnego, opartego na oligarchji magnatów, czy nielicznej grupie tak lub inaczej nazwanej elity, formowanej przy pomocy klucza majątkowego, stanowego czy zasługi rycerskiej, że odmienia ono swój charakter instytucji prywatnej mniejszego lub większego klanu wybrańców losu i staje się instytucją społeczną. Że zatem następuje olbrzymia zmiana roli biurokracji, schodzącej z miejsca zastępcy możnowładcy w stosunku do rządzonego narodu i odbywającej pielgrzymkę do skromnej roli technicznego w rękach rządu instrumentu, powołanego do wykonywania manipulacji, związanych z mechanizmem życia zbiorowego społeczeństwa i podejmowania w dziedzinie zadań społecznych inicjatyw, przez rząd nakazanych.

W nowoczesnem państwie nie do pomyślenia jest rząd opierający się na biurokracji przeciw społeczeństwu. W rzeczywistości bowiem biurokracja nie stanowi żadne-

go oparcia dla rządu, a nawet trudno byłoby odpowiedzieć twierdząco na pytanie: czy gdziekolwiek na świecie jest ona dobrym informatorem swego rządu o życiu, nastrojach, potrzebach i aspiracjach społeczeństwa? U nas nie, — to jest pewne. Stąd też obserwujemy zjawisko, iż dyktatury jednostek, gdziekolwiek wyrosły one po wojnie, jako remedium na powojenny rozstrój podstaw życia narodów, szukają dla siebie oparcia bądź w organizacjach społecznych, bądź w opinii społecznej, i że z reguły dążą one ku temu celowi przede wszystkim przez kurczenie roli i podnoszenie sprawności biurokracji. Można zaryzykować twierdzenie, że dyktatura, która nie zdołała dać satysfakcji rządzonej ludności w tej dziedzinie, musi ustąpić z powierzchni życia. Tak silny bowiem jest konflikt między społeczeństwem a biurokracją, wyrastający nie z niedolności czy opieszałości tej ostatniej, — są to bowiem tylko przyczyny konfliktu dodatkowe i stosunkowo drobne, — a z dążenia społeczeństwa do całkowitego odepchnięcia biurokracji od wszelkiej twórczości państwowej i od roli pośrednika między nim a rządami, czemu oczywiście nie chce poddać się biurokracja, pomna swej wielkiej, w niedawnej jeszcze — jak u nas — przeszłości, roli, — istotnego i trwałego dyktatora nad losami obywateli i społeczeństwa.

W tych warunkach zagadnienie silnej władzy kształtuje się współcześnie zgoła odmiennie, niż to miało miejsce w wielu krajach, jeszcze przed paru dziesiątkami lat.

Silną jest władza, silnym jest rząd, który potrafił silnie związać się ze społeczeństwem i działać po linii jego aspiracji, oraz uwolnić je od twórczości biurokratycznej, przez należyte jej dyscyplinowanie i tchnięcie w nią ducha społecznego.

Nie przemawia tu przezemnie chęć lekceważenia roli instrumentu administracyjnego, lub obniżania użyteczności pracy urzędnika. Byłoby to równie niesłuszne i niesprawiedliwe, jak szkodliwą jest w tym względzie pokutująca jeszcze u nas dążność do przesady w kierunku odwrotnym. Urzędnikowi należy się takież sam ze strony obywatela szacunek dla jego pracy, jak dla pracy obywatela ze strony urzędnika. Chodzi tu właśnie nie o co innego, jak o zaistnienie w całej rozciągłości tej wzajemności szacunku, o wykorzenienie z wyobraźni biurokracji pojęcia o jej jakimś nad społeczeństwem i jego pracą zwierzchnictwie czy wyższości, o jakiejś jej wyjątkowej czy uprzywilejowanej sytuacji moralnej.

Nie jest to przecież zagadnienie tak proste, jak prostem jest jego sformułowanie. Nie podobna się łądzić, by czynnikiem decydującym była tutaj dobra wola biurokracji i kierującego nią rządu z jednej, a obywateli z drugiej strony. W istnienie tej dobrej woli po obydwu stronach, naogół niepodobna wątpić. Każdy z naszych dotychczasowych rządów był przecież silnie zainteresowany w posiadaniu zaufania i sympatji obywateli, biurokracja — już chociażby z pobudek ambicyjnych i materialnych, a przecież nie brakło wśród niej i wielu jednostek ożywionych szlachetnymi aspiracjami — pragnęła być w zgodzie ze społeczeństwem, a obywatel ma interes w spokoju życia, nie zaś w szukaniu zwady z kimkolwiek, a także i biurokracją. A jednak stosunek społeczeństwa do biurokracji kształtował się na przestrzeni lat nader ujemnie i dzisiaj jest jeszcze bardzo zły, tak zły, że niepodobna przejść nad nim spokojnie do porządku.

Szukanie przyczyn tego stanu rzeczy w niesharmonizowaniu naszej biurokracji pod względem treści psychicznej,

metody pracy, pojmowania zadań Państwa Polskiego i jego ducha z jednej, a stawianiu pracy biurokracji pod prężeniem przez partje polityczne, w drodze wpajania w obywatela przekonania, iż spełnianie przezeń obowiązków obywatelskich zawiera w sobie element krzywdy, z drugiej strony, — nadto w całym szeregu niedogodności urządzeń administracyjnych Państwa, po dziś dzień w znacznej jeszcze części nie usuniętych, — szukanie przyczyn złego stosunku społeczeństwa do biurokracji w tych czynnikach, dałoby nam tylko bardzo powierzchowną odpowiedź na pytanie: dlaczego?

Przyczyna główna tkwi gdzieindziej, a mianowicie w niezdecydowaniu rządów: czy pragną opierać się na społeczeństwie i szukać w niem źródła twórczości państwowej, czy też na biurokracji, z przerzuceniem zadania kształtowania form życia Narodu na jej barki.

Z jednej strony pokutowała teoria, że im silniejsza biurokracja, tem silniejsza jest władza, tem silniejszy jest rząd. Z drugiej zaś działał czynnik obawy przed niepopularnością w społeczeństwie zbyt swobodnych rządów biurokracji. Nadto każdy rząd zastawał — w lepszym lub gorszym stanie — gotowy aparat biurokratyczny, pójsie zaś po linii uspołeczniania administracji sprawami publicznymi, wymagało nowych koncepcyj organizacyjnych, przed którymi, jak przed każdą nowością, cofały się rządy naogół słabe i niepewne jutra.

W rezultacie tej niejasności czy nieistnienia koncepcji, wyrastało powoli odosobnienie administracji od nurtu życia, aspiracji i potrzeb społeczeństwa, któremu starano się dawać ułamkowe satysfakcje w postaci częściowych samorządów z predyspozycją, iż oczywiście nie dadzą one żadnych pozytywnych rezultatów w pracy, ponieważ społe-

czeństwo nie dojrzało do samorządu. Ten nastrój wpojony został również i biurokracji, która poczęła pogłębiać swoje przeświadczenie, iż w samej sobie musi szukać natchnienia dla pracy państwowej, co w praktyce dało znaczne pomieszanie pojęć o jej roli i poczęło spychać ją w próżnię. Maszynierja biurokratyczna poczęła tracić łączność z trybami życia społeczeństwa, względnie zatracać poczucie rytmu ich obrotów, ze znanym powszechnie skutkiem, właśnie pod postacią spadku do minimum wartości pracy maszynierji biurokratycznej i wzrastającego z niej niezadowolenia społeczeństwa.

Byłoby krzywdą dla urzędników państwowych, którzy — w znacznej większości — dali z siebie duży wysiłek pracy w trudnych, często fantastycznie, warunkach bytowania materialnego, — przerzucać na nich dzisiaj odpowiedzialność za ten stan rzeczy.

Fatalnie używana przez rządy, nękana potokami najdziwniejszych ze strony ministrów żądań, odrywających ją do normalnych zajęć i często przerastających jej możliwości, zmuszona nadto — w okresie rządów sejmowych — zabiegać o względy możliwych stronnictw, dla zapewnienia sobie jutra, — maszyna biurokratyczna stała się, narówni ze społeczeństwem, ofiarą nieuctwa i nierzetelności sejmu i jego rządów.

WSPÓŁPRACA PARTYJ I RZĄDÓW NAD WYNATURZENIEM BIUROKRACJI.

Stan w jakim zastały ją rządy pomajowe był wręcz katastrofalny. Była to już nie maszyna, a stos bezsensów biurokratycznych, wśród którego uwijały się różne mafje ataszowanych do administracji agentów możnych partyj, korumpujących urzędników, używających ich raczej do szpiclowania i szykanowania przeciwników politycznych, niż do pracy państwowej, czuwających nad rozszerzaniem stanu posiadania w administracji państwowej swoich partyj. Nie jest żadną tajemnicą, że aparaty agitacyjne partyjne, agitatorzy i urzędnicy partyj, byli z reguły utrzymywani na koszt państwa i instytucyj społecznych oraz samorządowych. Każdy omal agitator otrzymywał z ramienia swojej partji stanowisko w administracji państwowej, samorządach czy Kasach Chorych, oczywiście nie po co innego, jak, by czuwać nad interesami swoich partyjnych protektorów w danych instytucjach, oraz otrzymywać z ich kasy środki egzystencji, pozwalające partji dysponować jego czasem, jemu zaś zapewniające spokój agitacyjnej działalności.

Partje nasze sejmowe doszły nawet do pewnej precyzji w tej metodzie parcelacji domen biurokratycznych między siebie. Poszczególne resorty państwowe poczęły nabierać wyraźnie charakteru folwarków tego lub innego stron-

nictwa, obsadzanego przezeń jego ludźmi, wedle uznania. Ustaliło się, jako zwyczaj obowiązujący, iż np. administracja oświatowa była domeną N. Demokracji; polityczna—N. D. i Piasta; pracy i opieki społecznej — P. P. S.; rolnictwa — Piasta i t. d. W zależności od konjunktury sejmowej główni dzierżawcy administracji państwowej dopuszczali do współudziału w zyskach, płynących z ich folwarków, partje pomniejsze, jak Ch. Demokrację, N. P. R. i t. d.

W tych warunkach nie mogło być nawet mowy o jakiejś wspólności myśli państwowej w łonie biurokracji, a już zupełnym nonsensem, byłoby oczekiwać, by mogła to być myśl o charakterze społecznym. Tyle było myśli ile partyj, a wszystkie te myśli miały wspólną tendencję: dbać i ochraniać i protegować swoich, a zwalczać i gnębić nie-swoich. Wszystkie doktryny programowe stronnictw stały się doktrynami kierującemi pracą poszczególnych części administracji państwowej. Wojewoda, narodowy - demokrata, zwalczał, przy pomocy swoich przyjaciół politycznych, wśród miejscowego społeczeństwa, wice - wojewodę piastowca, a ten ostatni starał się paraliżować działalność swego szefa. Pierwszy wyznawał teorię nacjonalizmu, według przepisów swej partji z okresu przedmajowego, i wołał cieszyć się przyjemnością szykanowania mniejszości narodowych, niż układaniem się ich współżycia z Polakami po linii interesów Państwa, a drugi tę właśnie doktrynę nacjonalistyczną zwalczał. Jeśli tym wice - wojewodą był wyznawca doktryny socjalistycznej w odniesieniu do problemu mniejszości narodowych w Państwie, nie trzeba żadnej fantazji, by odtworzyć sobie we wspomnieniach tak niedawny obraz awantury, jaka panowała w łonie biurokracji i wrażeń, jakie wywierał on na obywatelu.

Ponieważ teoria, że społeczeństwo nasze jest niewyro-

bione politycznie, skłonne do przestępstw i złośliwe — była nader rozpowszechniona wśród szczytów politycznych okresu sejmowładztwa, rządy ze znaczną dozą poślizgnięcia, patrzyły na liczne ze strony biurokracji nadużycia władzy, nie zatrzymujące się nawet u progu osobistej wolności obywatela, a wszelkie na te nadużycia skargi ze strony pokrzywdzonych, pozostawały zazwyczaj bez rozpatrzenia ze strony miarodajnej instancji, powiększając archiwa spraw niezałatwionych, lub wypełniając kosze, warujące wiernie u nóg dygnitarskich biur.

W okresie rządów Wł. Grabskiego np. — nadużycia władzy ze strony administracji skarbowej, a w szczególności aparatu podatkowego, były uważane za przejaw silnej ręki rządu i nosiły modną wówczas nazwę „przykrećcania śruby podatkowej“. Urzędnicy w dowolny zupełnie sposób i bez żadnych uzasadnień zmieniali zeznania obywatela o osiąganym przezeń dochodzie, podwyższając sumy według własnego widzimisię. W ten sposób obywatel był karany za uczciwość i traktowany jak oszust, który nie myśli o niczem innem, jak tylko o zubożeniu skarbu. W ten sposób biurokracja, wykonująca takie właśnie intencje rządu, poczęła zmuszać obywatela do składania fałszywych, mniejszych co do sumy, zeznań dochodowych, ponieważ było notorycznie wiadomem, iż odnośny urzędnik i tak sumę tę podwyższy.

Tenże premier i minister skarbu, Wł. Grabski, rozwinął wielką akcję w kierunku zabicia w urzędniku podatkowym wszelkiego zmysłu społecznego i gospodarczego, a to systemem bezwzględnej licytacji każdego płatnika, załączających z regulacją sum, należnych odeń skarbowi. Urzędnikowi temu wyznaczona została rola bezmyślnej maszyny fiskalnej. Jeśli nie otrzymywał pieniędzy, se-

kwestrował meble, towary, warsztaty pracy. Kwestja przyczyn opóźniania się podatnika, nie istniała. Względy gospodarcze nie miały żadnego głosu. Zdarzały się wypadki, iż zasekwestrowane na setki tysięcy złotych towary pogniły w magazynach skarbowych, lub że biednemu krawcowi sekwestrowano jedyną maszynę do szycia, żywicielkę jego rodziny, poczem krawiec stawał się z konieczności bezrobotnym i Państwo musiało wypłacać mu odpowiednie zasiłki.

Jeśli więc zsumujemy tylko te — a przecież nie wymieniliśmy tu bynajmniej wszystkich — przyczyny rozstroju maszyny biurokratycznej i wytworzenia w urzędnikach opacznego przeświadczenia o ich roli w państwie nowoczesnem, jakim jest Polska, odejdzie nas wszelka, a tak częsta u nas, łatwość obciążania odpowiedzialnością za zle tej maszyny funkcjonowanie i rozejście się jej z życiem społeczeństwa — właśnie jej samej. Można z całą siłą i zapalczywością i uporem pomstować na urzędników, lecz nie da to żadnych rezultatów, złego stanu rzeczy nie naprawi.

Rządy pomajowe uczyniły niejaki wysiłek w kierunku usunięcia najbardziej brutalnych sił, rozstrajających maszynę biurokratyczną, oraz zwrócenia urzędnika twarzą ku społeczeństwu. Wysiłek ten nie pozostał bez pozytywnego rezultatu. Zdjęty został przedewszystkiem z biurokracji — w znacznej mierze — straszliwy ciężar klucza partyjnego, czy może raczej partyjnej szachownicy. Mafje urzędnicze, stojące na straży tej szachownicy, zostały rozbite. Fakt trwałości rządu pozwolił urzędnikowi wyzbyć się zależności od partji, która, utraciwszy wpływ na rządy państwem, straciła swoje walory możnego dłań protektora. W organizmie biurokracji zjawila się wewnętrzna orjentacja hierarchiczna, — podwładny zaczął się liczyć z szefem, a ten

z kolei słuchać swego przełożonego. W ten sposób rząd, po raz pierwszy w Odrodzonej Polsce, doszedł do możliwości władania instrumentem biurokratycznym.

Ułatwienie obywatelowi kontaktu z wyższymi instancjami administracyjnymi i zaniechanie szykan podatkowych—zmniejszyło znacznie obszary pola do nadużyć władzy ze strony biurokracji i stępiło ostrze niechęci do niej w społeczeństwie.

Wszyscy atoli zdajemy sobie sprawę, iż te doraźne i niewątpliwie pożyteczne wysiłki, nie są wyrazem naszego poglądu na charakter państwa nowoczesnego i roli w niem biurokracji.

V.

OLIGARCHJA MOŻNOWŁADCÓW W WALCE
Z IDEAŁ DEMOKRATYCZNĄ.

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY

ASTOR LENOX TILDEN FOUNDATION

500 N. 5TH ST. NEW YORK, N. Y.

OD SUWERENNOŚCI NARODU DO RZĄDÓW GRUPY UPRZYWILEJOWANEJ.

Wypada nam w tem miejscu powrócić na chwilę do — obszerniej rozwiniętego w pierwszym rozdziale tej pracy — zjawiska, a mianowicie, iż odradzająca się Polska oparła się na szerokich masach ludowych, które powołała natychmiast do dzieła wyrębywania mieczem swoich granic i zbrojnej ich przed nieprzyjacielem obrony.

Należałoby oczekiwać, że jeśli decyzja ta dała tak znakomite rezultaty w próbie miecza i ognia, w próbie sił na polu bitwy, jeśli właśnie masy ludowe zdały tak świetnie egzamin z patriotyzmu i zdolności do ofiar na rzecz Ojczyzny, że metoda opierania Polski o Naród cały przeniesiona będzie, jako zasada, i do życia pokojowego Rzeczypospolitej.

Myśl ta zdaje się przemawiać, przynajmniej częściowo, z kart konstytucji marcowej. Lecz zarazem jakgdyby na tych kartach utonęła. Nie zjawia się ona później jako żywe zagadnienie praktycznego życia. Masy ludowe otrzymały wprawdzie prawa polityczne, lecz nawet ich własna reprezentacja parlamentarna patrzy spokojnie, jak leżą one odłogiem, zupełnie nie wykorzystane dla rozwoju życia Narodu i Państwa; jak rodzą się w jej łonie różne fermenty niewykorzystanej i szukającej sobie ujścia energji, na których właśnie wygrywają swoje melodie agitatorzy

partyjni, zazdrośnie strzegący swojej dyktatury, opartej o bezmiar praw nietykalnego i nieodpowiedzialnego parlamentu.

Wydawaćby się mogło, że Polska, która zażądała od całego Narodu pracy wojennej, jakgdyby nagle po ukończeniu wojny, zrezygnowała z tej współpracy na warsztacie życia pokojowego i cofnęła się ku wiekowi XVIII-emu, ku wąskiej bazie oparcia wyłącznie o możnowładców i szlachtę, w naszej dobie reprezentowanych przez szefów wielkich partyj i tłumek poselsko-partyjny.

Wprawdzie partyjni teoretycy demokracji dowodzili nieustannie, iż wszystko jest w największym porządku z punktu widzenia wymagań ustroju demokratycznego, ponieważ obywatele wybierają posłów, a ci mają prawo obalać ministrów, sami zaś nigdy obaleni być nie mogą, — lecz logika takiego rozumowania wydaje się być nieco przestarzałą, no i troszkę powierzchowną.

Miernikiem bowiem istotnej demokracji współczesnej jest nie to co robi poseł, a to co robi obywatel. Jeśli obywatel nie jest dopuszczony do lokowania całego kapitału swych uzdolnień i doświadczeń i energii twórczej w rozwój życia Państwa, to chociażby poseł miał jeszcze więcej przywilejów, niż ich miał u nas przed majem i mógł być jeszcze bardziej, niż wcale — jak to miało miejsce — odpowiedzialnym za swoje czyny, — to taka demokracja może bardzo przypadać do gustu uprzywilejowanym posłom, lecz z punktu widzenia interesów Państwa i Narodu, jest ona tylko nowem wydaniem starej oligarchji, podminowanej rozbudzoną i przez prawo uznaną prężnością mas ludowych.

Prawa i przywileje posłów są może najmniejszą i najmniej ważną pozycją w problemie demokracji, a mówiąc

ściślej — państwa nowoczesnego, państwa społecznego, państwa ludowego. Obserwowaliśmy zjawisko, stwierdzające niezbicie, iż szerokie przywileje poselskie idą w parze z dezorganizacją życia Narodu i upadkiem Państwa, z rozkwitem, aż do nonsensu, twórczości biurokratycznej i odsunieniem społeczeństwa od wpływu na bieg spraw publicznych, z marnotrawstwem jego sił twórczych.

Należy sobie uświadomić, że nie mogą być innemi rezultaty złożenia całej władzy w ręce przygodnie sformowanej, nielicznej, nie ożywionej żadną wspólną ideą, grupy, jaką jest parlament; gdy nadto wszelkie drogi kontroli działalności tej grupy zostaną przecięte — jak to właśnie miało miejsce przed majem, jeśli chodzi o sejm — i gdy grupa taka nie jest *de facto* i *de jure* przed nikim odpowiedzialną za swoje czyny. Ciężkim błędem jest poddawanie się sugestji, że jeśli tego rodzaju sytuację wytwarza dla siebie jakaś inna grupa, niż posłowie, niż sejm, wówczas mamy do czynienia ze zbrodnią przeciw demokracji, jeśli zaś posłowie, to właśnie ma to być wyrazem demokratycznego ducha.

W rzeczywistości tylko w drodze konserwatywnych nałogów mózgu ludzkiego wytworzyło się jakieś *iunctim* między demokracją i parlamentem. Jest to oczywisty nonsens, pozwalający demagogom partyjnym sprzedawać społeczeństwu wszystkie nadużycia władzy ze strony swoich posłów jako podarki i dobrodziejstwa demokracji, która dzięki tej metodzie staje się powoli — jak było u nas — jakimś straszakiem, od którego odwracają się sentymenty obywateli.

Demokracja, to władza odpowiedzialna przed narodem, który jest źródłem władzy. Parlament, w obecnej jego formie, jest tylko instrumentem, zapomocą którego Naród

ustanawia normy prawne dla swego życia i wykonuje swoje prawo kontroli władzy wykonawczej. Nie jest wcale powiedziane, że instrument nie ma się nigdy zużyć. Narazie nie dojrzała jeszcze koncepcja nowego instrumentu i dlatego posługujemy się parlamentem znanego nam kształtu. Lecz trzeba sobie zgóry powiedzieć, że taka zmiana instrumentu nastąpić może i niewątpliwie, prędzej czy później, nastąpi, a to nie z innej, jak z przyczyny rozwoju demokratyzacji życia zbiorowego narodu i podnoszenia się form jego organizacji ku coraz doskonalszym, sprawniejszym, pełniejszym i sprawiedliwszym.

POMAZAŃCY LUDU PRZECIW PRAWOM LUDU.

Parlament polski, mimo swej młodości, zużywa się szybciej od innych swoich kombatantów europejskich, a to z przyczyny, iż w znacznie mniejszym od nich stopniu potrafi on ukryć swój konserwatyzm psychiczny i właśnie z tytułu młodości, ujawnia zbyt wiele drapieżnych instynktów w stosunku do władzy, której zmonopolizowanie w swoim ręku było i jest nadal celem jego dążeń.

I tu staje on w kolizji z aspiracjami i interesami narodu, z procesem dzisiejszego rozwoju form życia zbiorowego.

Nie pragniemy bynajmniej poświęcać miejsca i wysiłku potępianiu augurów naszych sejmów. Ulegają oni tylko ogólnym prawidłom kostnienia uprzywilejowanych przedstawicieli każdego ustroju, zżywania się ich ze swoją uprzywilejowaną pozycją i uważania jej za nietykalne tabu, na obronę którego rozwijają bogatą dialektykę.

Każdy ustrój miał swoich pomazańców. W epoce, poprzedzającej naszą, źródłem pomazania było urodzenie lub monarcha, pomazaniec boski. Ileż to razy pomazańcy monarchów zwracali się przeciw źródłu swego pomazania, nie szanując boskości jego pomazania, która była uzasadnieniem ich uprzywilejowania i w którą zresztą często szczerze wierzyli. Jakże często pozbawiali oni monarchę wszelkiej władzy istotnej, eskamotując ją dla siebie.

Era demokratyczna przyniosła na świat ideę pomazania ludowego. Lud stał się źródłem pomazania, z jego rąk posel otrzymuje swoje przywileje, parlament swoje prawa. Wytworzyła się grupa uprzywilejowana idei demokratycznej, idei ludowładztwa, grupa, wśród której — naturalnym rzeczą porządkiem — zrodziła się i trwa oczywiście dążność do skupienia i zatrzymania w swem ręku pełnej władzy. W krajach o wyższej kulturze politycznej, grupa ta dąży przynajmniej do zachowania pozorów bezinteresowności, idzie na kompromisy z dążnościami społeczeństwa do kontrolowania swoich pomazańców, stara się wsłuchiwać w jego aspiracje i przemawiać ich językiem, tuszować swoje ambicje do pełnej władzy w okresach kryzysów, trapiących organizm państwowy. U nas, gdzie poziom tej kultury jest niezmiernie niski, grupa uprzywilejowana, pomazańcy ludu, w sposób nader gwałtowny i brutalny ujawniali dążność do pozostawienia swemu mandantowi—ludowi, prawa udzielania im błogosławieństwa pod postacią kartek wyborczych, a zachowania władzy, należącej rzekomo do ludu, dla siebie. Pomazańcy nasi, tytułem podzięków dla ludu za wyróżnienie, odebrali mu — przez zręczne, z punktu widzenia ich interesów, ułożenie konstytucji i ordynacji wyborczej — wszystkie prawa jakiegokolwiek kontroli ich działalności, legalnego sposobu wyrażenia pomazańcowi, który nadużył zaufania wyborców, nieufności, zdjęcia z niego dobrodziejstw pomazania. Tem samym zdjęli oni z siebie przymus akomodowania swej działalności do aspiracji suwerena, wzmacniając kosztem jego władzy pozycje liderów partyj, którzy w ten sposób stali się istnymi możnowładcami, skupiającymi w swoim ręku dyspozycję przywilejami, płynącymi z pomazania ludu, t. j. mandatami poselskimi, fotelami ministerjalnymi.

dygnitarstwami i urzędami Rzeczypospolitej, które obsadzali w pierwszym rządzie wiernymi sobie dworakami, przed nimi tylko odpowiedzialnymi.

Mówiąc inaczej, parlament, chociaż wyrósł z idei demokratycznej, nie zawsze jest stróżem tej idei. Nie zawsze, a kto wie, czy nie nigdy? Owszem, pilnuje on tego jej etapu, którego zakończeniem jest właśnie wylanianie przez naród grupy uprzywilejowanej. Lecz tu stawia ta grupa na drodze rozwoju idei demokratycznej szlaban i powiada: ani kroku dalej.

Nasze Sejmy, mimo różnic, dzielących wchodzące w jego skład partje, były naogół zgodne co do tego, iż władza wykonawcza winna pozostawać do nich w stosunku całkowitej zależności i służalczości nawet, maszyna biurokratyczna ma być ich, a nie rządów, instrumentem działania, lud zaś ma pozostawać subjektem ich władzy.

Dopiero ciężki kryzys, wyrosły jako skutek zgromadzenia pełnej władzy w rękach przygodnie zebranej grupy uprzywilejowanej, podminowanej antagonizami we wszystkich dziedzinach życia i prywatą, kryzys, który powołał do akcji ratunkowej Marszałka, — zepchnął Sejm z jego reduty i pozbawił go części antidemokratycznych, przezeń sobie nadanych, przywilejów.

TRZEBA ZERWAĆ Z TEORJĄ O NIEDOJRZAŁOŚCI SPOŁECZENSTWA.

Wszakże niepodobna układać na przyszłość życia w ten sposób, by trzeba było aż ciężkiego kryzysu i nigdy nie dających się przewidzieć jego konsekwencji, by zapewnić pochod postępu form tego życia. Nie zawsze bowiem, kryzys musi dać taki właśnie rezultat. Jeśli tym, kto go będzie rozcinał, nie będzie człowiek na miarę Piłsudskiego, kryzys może się łatwo zamienić w katastrofę, a ta powalić, albo osłabić niezmiernie Państwo. Ponieważ zaś żaden przepis prawa nie potrafi usunąć skłonności grupy uprzywilejowanej, w osobach posłów, do opierania się wszystkiemu, co mogłoby zmierzać do zmniejszenia jej przywilejów, a zatem do prowokowania kryzysów, należy dążyć do znalezienia takiej formy organizacji życia narodu, któraby otwierała postępowi drogi ewolucyjnego, permanentnego rozwoju, a zatem stwarzała stały nacisk społeczny na konserwatywne skłonności grupy uprzywilejowanej, zmuszając ją do ruchliwości.

Jest to zresztą tylko jeden z szeregu względów, które łącznie prowadzić nas muszą do wniosku o konieczności organizacyjnego oparcia pokojowego życia Polski na całym Narodzie, na wszystkich jego siłach i czynnikach społecznych, a nie tylko na sejmie, nawet po dokonaniu słusznej korektury jego zadań i praw.

Najważniejszym z tych względów będzie niewątpliwie ten, który wypływa z założenia o konieczności doprowadzenia do zupełnej harmonji i porozumienia między aspiracjami społeczeństwa, a działalnością Państwa oraz społecznymi i państwowymi możliwościami zadość tym aspiracjom czynienia.

Jakkolwiek może się to wydać paradoksem, rzeczywistość nasza jest tego rodzaju, że może ona nam bardzo łatwo urodzić ostry konflikt społeczeństwa z nim samym. Ten konflikt zresztą, na szczęście w formie stosunkowo łagodnej, trwa już od kilku lat. Społeczeństwo nasze bowiem więcej od siebie żąda, niż sobie może dać, więcej od siebie oczekuje, niż posiada. Niesumienni agitatorzy partyjni ułatwiają mu dezorientację, twierdząc, iż społeczeństwu należy się zaspokojenie wszystkich potrzeb od Państwa, i że to właśnie Państwo jest dlań takie nielitościwe, że dać mu wszystkiego nie chce. Lecz jest to tylko gra słów, której skutkiem na dalszą metę może być zniechęcanie się społeczeństwa do samego siebie, do skromności swoich zasobów materialnych, upadek ducha i energii, zamiast zwiększania wysiłku pracy gospodarczej i kulturalnej.

Dlaczegoż konflikt taki jest możliwy?

Dlatego, że nastawienie myślowe obywatela polskiego jest przeważnie fałszywe i ponieważ zbyt mało obcuje on z rzeczywistością polską, zniekształcaną i obrzydzaną przez agitację partyjną; gdyż istotę Państwa zasłania jego oczom góra nonsensów biurokratycznych i przerost kompetencji maszyny biurokratycznej i dlatego wreszcie, że w zbyt małym stopniu czuje się on, wraz ze swoją pracą, częścią tego Państwa i jego współtwórcą, a w zbyt wysokim stopniu poddanym urzędnika, na najniższym czy

jednym z najniższych szczebli hierarchji biurokratycznej.

Jeśli na cały ten wielki problem spojrzeć od strony interesu Państwa, jawi się on wówczas oczom naszym w kształtach nader prostych, których wymowa jest następująca: państwo nowoczesne, zwłaszcza takie jak Polska, narażone na ciągle podmuchy wiatrów ze wschodu, na działanie różnych zewnętrznych sił rozkładowych, szukających sobie na jej ziemiach terenów aplikacyjnych, państwo, które łatwiej od wielu innych w Europie, może być wystawione na próbę jego siły wewnętrznej i konsolidacji, a nadto mające przed sobą zadanie odrabiania skutków niewoli: duchowych i materialnych, — państwo takie musi oprzeć swój rozwój na wszystkich siłach swego społeczeństwa, wciągając je w orbitę twórczej dla siebie pracy i dążyć do stworzenia warunków harmonijnej ich ze sobą kooperacji.

Gospodarowanie produkcyjnymi siłami społeczeństwa, pobudzanie ich do żywszej pulsacji, związywanie z ideą państwową, — to jest właśnie zadaniem Państwa, mówiąc praktycznie, sterników nawą państwową.

Trzeba raz zerwać z sugestją o niedojrzałości społeczeństwa, skłaniającą ku pogładowi, iż jeszcze nie nadeszła chwila przystąpienia do racjonalnej organizacji życia Państwa w oparciu go właśnie o społeczeństwo. Polska jest Państwem takiego społeczeństwa, jakim ono jest i przeciw niemu urządzić go niepodobna. Zwłaszcza, iż wszyscy mieliśmy możność przekonania się, że zarówno Sejm, t. j. grupa uprzywilejowana poselska, oraz biurokracja, nie są żadnem dosłownie oparciem dla naszego Państwa, a wszystkie dokonywane w tym kierunku próby dają w rezultacie poróżnienie go ze społeczeństwem. Sejm zginął moralnie z powierzchni życia na przełomie lat 1925/1926, biuro-

kracja zaś ginęła w chaosie wewnętrznego rozprzężenia, ściągając na siebie silną niechęć obywateli.

Z tych doświadczeń — zresztą, jak to już stwierdziliśmy uprzednio, przypadkowych i wyrosłych z egoizmu i zachłanności grupy uprzywilejowanej — muszą być wyciągnięte konsekwencje, prowadzące do decyzji niepowtarzania ich w przyszłości, zwłaszcza, że siłą rzeczy mają one za skutek marnotrawstwo energii społecznej, a mogą również spowodować zwrócenie się jej, lub jej różnych części, przeciw rozumnej ewolucji rozwoju życia Państwa, narażić je na wstrząsy rewolucyjne, pchnąć na ślepy tor katastrofy, wymagającej długiego czasokresu dla ran kojenia i regeneracji sił vitalnych.

Rozumna polityka państwowa polega na umiejętności związywania rodzącej się i narastającej energii społecznej z rzeczywistością państwową i wprzęgania jej do rydwanu jej ewolucjonizmu, w kierunku wzbogacenia tej rzeczywistości, zarówno z punktu widzenia sprawiedliwości społecznej, jak interesów gospodarczych i kulturalnych Narodu, — dających, jako wypadkową, siłę Państwu, czyniących je organizmem scharmonizowanym, skonsolidowanym, prężnym.

Niepodobna upatrywać skutecznego, ku temu celowi wiodącego, środka w propagandzie rozumnych hasel: ograniczenia egoizmu jednostki na rzecz społeczności, wzmacniania natężenia pracy gospodarczej, kooperacji warstw i klas, miłości Wolności, wyobrażonej realnie przez Państwo, — oraz w dobrych zamierzeniach i poczynaniach rządu, w kierunku zmniejszania dolegliwości życia obywateli. Hasło „módl się i pracuj“ — nie znajduje oddźwięku w duszy współczesnego człowieka. Poszukuje on przede wszystkim satysfakcji z dawanej pracy i wzmacnia jej

wydajność w stosunku prostym do wzrostu tej właśnie z pracy satysfakcji. Gdy satysfakcji tej brak, ogranicza swe wysiłki do niezbędnego minimum, potrzebnego dla zaspokojenia jego potrzeb i żadna propaganda nie wyrwie go z tego stanu zobojętnienia i zniechęcenia do wzniosłych celów społecznych i państwowych, jeśli nie czuje się ich współtwórcą, nie odczuwa ich obecności w codziennem swoim życiu, jeśli zatem są one dlań jakiemiś tworamiz fantazji cudzej, za którą podążyć nie może. Zjawia się wówczas niebezpieczeństwo, iż energja społeczna, społeczeństwa aspiracje i tęsknoty do udziału w dążeniu do, usprawiedliwiających trudy życia, wzniosłych celów, — które nie przestają istnieć dlatego, że nie zostały związane z istotą Państwa, — poczną sobie szukać ujęcia poza granicami rzeczywistości polskiej, w negacji tej rzeczywistości, w utopijnych marzeniach o lepszych urządzeniach życia, które w pojęciu umysłów leniwszych mają się kiedyś zjawzić samorzutnie, *deux ex machina*, a w umysłach żywszych, dzielniejszych, a zatem wartościowszych, wiążą się z obrazami przełomów rewolucyjnych, burzy, która zmiecie i zniszczy rzeczywistość nie dostarczającą im satysfakcji, nie znajdującą zastosowania dla ich wyższych aspiracji. Troska o to, co będzie po zniszczeniu tego, co jest, nie należy do właściwości umysłu, kierowanego przez gorycz.

NARASTAJĄCA AKTYWNOŚĆ MASY NARODOWEJ.

Odnosi się wrażenie, iż na przeszkodzie słusznej ocenie watorów twórczych — z punktu widzenia państwowego — naszego społeczeństwa, stoi żywa pamięć tego faktu, iż w momencie zmartwychpowstania Polski stanowiło ono naogół bierną masę, na powierzchni której unosił się, dość nieliczny, element o żywym odczuciu momentu dziejowego i wysokiem napięciu uczuć patryjotycznych, chwilami podrywający tę masę, wprawiający ją w nastroje emocjonalne, związane z bardziej błyskotliwymi chwilami w procesie wyłaniania się na arenę dziejową Rzeczypospolitej, w glorii wspaniałe odrodzonej chwały oręża polskiego, unięśmiertelnionej walnem nad Moskwą zwycięstwem.

Te momenty podniesienia uczuć patryjotycznych w Narodzie, nie zaprzeczają faktowi, iż był on w swojej masie naogół biernym świadkiem stwarzania się Polski niepodległej. Biernym z przyczyny, iż wychowywany w ogromnej większości przez N. Demokrację na filozofji ugody z niewolą i siłami niewolącemi, nie był on swemi pragnieniami na ten przewrót dziejowy nastawiony; że, dalej, był on zniszczony materialnie i znękany moralnie przewalającym się po jego karku huraganem wojny i że, wreszcie, nie posiadał on, bo nie mógł go nabyć w niewoli, żadnego przygotowania do oceny i zrozumienia praw i prawideł, jakie winny być zastosowane w organizacji życia narodu pań-

stwowego, by przez szczęście jednostki, wiodły ku pomysłności ogółu, całego Narodu, Państwa. W masach proletariackich i ludowych tkwiło, częściowo świadome, częściowo podświadome, odczucie ich aspiracji społecznych i politycznych. Lecz trudno by było mówić o ich instynkcie państwowym, chyba w stanie surowym, jako pragnieniu wolności, która zresztą, wraz z pierwszym nad ziemią naszą powiewem, przyniosła im zaspokojenie ich aspiracji.

Gdy Państwo nasze, jako suma walorów materialnych i duchowych było początkowo wielkością jeszcze nieznaną, ustaloną dopiero po ukończeniu wojny i plebiscytach, kiedy to zaistniała wreszcie podstawa do zsumowania tych walorów i wyciągnięcia stąd jakiejś syntezy rozwojowej, powoli przenikającej do wiadomości i świadomości obywatela, bałamuconego już potężnie przez partje polityczne, — trudno było oczekiwać od masy społecznej świadomego działania państwowego, wypływającego z poczucia istnienia nierozzerwalnego *iunctim* pomiędzy życiem osobistym jednostki i Państwem. Gdybyśmy nawet odrzucili sugestywną siłę wstrętnej propagandy N. Demokracji, która usiłowała przekonać społeczeństwo, iż odrodzenie Polski jest kaprysem losu, — wynikiem cudu, wspaniałomyślności Aljantów, łaski obcych generałów i czarodziejskiego wdzięku pp. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego, słowem wszystkich możliwych nonsensów i dowcipów, byle nie ofiarnego wysiłku i krwi najofiarniejszych w Narodzie, a więc przez nich i Narodu samego, — gdybyśmy, powiadam, odrzucili te wieczyście haniebne wysiłki utrwalenia w społeczeństwie obojętnego stosunku do Państwa, powołanego do życia przez kaprys losu i od tego kaprysu zatem zależnego, — sam fakt długotrwałej niewoli, a zatem nastawienie psychiczne na rzeczywistość,

w której Polak jakoś tam żył, chociaż Polska nie żyła, w zupełności tłumaczy potrzebę dłuższego okresu czasu na zrośnięcie się w psychice Polaka jego życia osobistego, z życiem Polski.

Lecz czas idzie naprzód. Od listopada 1918 upłynęło już wiele lat. Kilkaset tysięcy młodzieży, która w wieku od osiemnastu do dwudziestu kilku lat zetknęła się z ceną Wolności na polach bitew i przez ofiarę krwi związana została najsilniejszymi węzłami uczuciowymi z Państwem — to dzisiaj już trzydziesto- i trzydziestoparoletni mężczyźni, obywatele dojrzały, świadomi swej roli, swych praw, swych zadań i często pełni szlachetnych, żywych, wysokich aspiracji do czynu społecznego, wywierający wpływ na swoje otoczenie. Za nimi postępuje rytmicznie dziesięć roczników młodzieży, która już wchodzi kolejno w życie, a która wychowała się w wolności, przeszła szkołę polską, służbę w armji polskiej, — niewoli nie pamięta, kategorjami niewolniczej bierności nie myśli. Rok za rokiem odmienia charakter naszej masy narodowej, — pokolenia niewoli schodzą ze sceny, a coraz na niej więcej wolnych Polaków, coraz więcej światła wiedzy, ognia aspiracji, zrozumienia spraw publicznych, osobistego do nich stosunku, woli społecznego działania dla odbudowy Polski — której ideał kielkuje w ich umysłach — ożywionych przeświadczeniem, że to oni są solą tego Państwa, że to oni są tymi, którzy mają być życia tego Państwa rzeźbiarzami, a nie biurokracją, a nie oligarchją posłów.

Bierność, z którą mieliśmy do czynienia przed dziesięciu laty, i którą należało czemś zastąpić, zmniejsza szybko obszary swego panowania. Na jej miejscu zjawia się wola aktywności, energja społeczna, szukająca dla siebie ujścia.

Przeto właśnie kwestja przepojenia tej energii goryczą, nie przedstawia się bynajmniej dzisiaj w barwach tak łagodnych, jak przed kilkunastoma laty, gdy gorycz spływała w bierność i w niej, ostatecznie, jakoś tam — bez większego efektu — tonęła. Uciekając się do porównania z dziedziny chemji możnaby powiedzieć, iż gorzycz zmieszana z biernością może dać apatję, jako rezultat najgorszy, a gorycz dodana do aktywności, może zawsze spowodować wybuch.

W SPOŁECZEŃSTWIE DRZEMIĄ SIŁY ROZWOJOWE PAŃSTWA.

Okres przedmajowy nie oszczędzał społeczeństwu wszelkiej goryczy. Płynęła ona ze skutków anarchji, wprowadzonej do życia Państwa i Narodu przez Sejm, anarchji, znajdującej sobie wyraz w kryzysach gospodarczych i finansowych, w beładzie i nonsensach rządów, w prze-roście swobód i twórczości biurokracji. Cała rzeczywistość, z jaką stykał się obywatel, była jedną wielką goryczą, doprowadzaną do wyżyn tragizmu beznadziejnością, by jutro było lepsze od dnia dzisiejszego i okraszana chyba tą jedną pociechą, że Polska jeszcze jakoś na tym chaosie wegetuje.

Tej goryczy snują się, w rzeczywistości dnia dzisiejszego, jaknajgorsze zadatki. Duch partyj politycznych, okupujących jeszcze znaczną większość ław poselskich w Sejmie, nie wykazuje żadnych znamion bliskiego odrodzenia, nie mówiąc już, iż aktualnie o odrodzeniu jego jeszcze mówić nie można. Tak! Anarchji sejmowej będą postawione tamy prawa, przepisów, konstytucji, potrzeba zmiany której nie jest przez nikogo kwestjonowana. Lecz nie jestem zdolny wykrzesać tyle siły, by zabić w sobie obawy przed względnością wartości ustaw. Ustawa jest środkiem wielce pomocniczym w kształtowaniu dziejów. Przed nią ma zawsze głos walka żywych sił, żywych wartości, tkwiących w ludziach.

Marszałek poskromił anarchję sejmową bez ustawy, a tylko przewagą swej osobistej siły moralnej nad sejmującymi partjami. Jeżeli partje te, przez dłuższy okres czasu, zachowają swój dzisiejszy nastrój psychiczny i dążyć będą do wszechwładzy, nie możemy mieć żadnej pewności, że w rezultacie nie odniosą smutnego zwycięstwa, jeśli ciężar walki z nimi spadnie całkowicie na przyszłych Prezydentów. Być może, będą oni bohaterami, mężami ducha wielkiego i niezłomnymi stróżami interesów Rzeczypospolitej. Być może, zbrojni w oręż prawa, fatalne zapędy sejmujących stanów poskromić zdołają. Lecz gdzież pewność, że tak potężne będą wymiary indywidualności przyszłych stróżów ducha konstytucji i jej litery? Że nie zostanie powołany do tej roli człowiek ducha słabszego, i że nie podzieli on losu Prezydenta Wojciechowskiego, — przed terrorem nie ugnie się Sejmu? Lub, że nie będzie on poprostu reprezentantem sejmujących partyj, że nie odda do ich dyspozycji swoich praw, sprzedając za godność i zaszczyt rację stanu, której może nawet ogarniać swym umysłem nie będzie?

Niepodobna patrzeć spokojnie w przyszłość, wspartą na ustawie, zawieszanej całym ciężarem swej treści na przypadku, jakim jest wynik wyborów Prezydenta.

Ustawie potrzeba innych jeszcze gwarancyj i jeśli nie daje jej duch naszych stronnictw politycznych, jeśli nie możemy mieć żadnej pewności, by zatrzymały się one zawsze w przyszłości u progu racji stanu, a zarazem i swoich katastrofalnych aspiracyj do zmonopolizowania w swem ręku pełni władzy oraz odcięcia się od wszelkiej kontroli społecznej, — trzeba tę rację stanu oprzeć na aktywnym elemencie społecznym, wyzwolić go z pod podwójnej hegemonji: partyj sejmowych i biurokracji, powołać do

twórczości państwowej i uczynić zeń siłę, wiążącą samowolę ruchów Sejmu i ewentualnych jego rządów i Prezydentów, — siłę stabilizacyjną dla ładu, wprowadzonego w Państwie przez Marszałka i tych, którzy będą kontynuować jego dzieło.

Tylko w ten sposób element aktywny, znający cenę wolności, może być zarazem uchroniony przed niebezpieczeństwem przepojenia go goryczą, gdyby urzeczywistnić się miały kiedykolwiek obawy zatriumfowania swawoli nad racją stanu, co musiałoby dać w skutkach ponowną falę rozstroju życia narodowego i rozejście się jego rzeczywistości z aspiracjami społeczeństwa.

Jeśli przemawiam za rozszerzeniem urzędzeń naszego Państwa w kierunku zbliżenia go ku aspiracjom i różnolitemu charakterowi naszego społeczeństwa, a zatem uczynienie go państwem społecznym, czynię to również ze względu na konieczność nadania rozwojowi naszego życia gospodarczego i kulturalnego znacznie szybszego, niż dotychczasowe, tempa, ponieważ weszliśmy już w epokę, zapowiadaną przez Marszałka w r. 1919, „której znamieniem jest wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi“, a Polska ma w tym wyścigu niewyrównany dystans niewoli, o który wyprzedzają ją inne narody europejskie, z którymi łączy ją i dzieli zarazem wspólnota interesów.

Tempo rozwojowe Państwa jest funkcją chyżości lotu aspiracyj tych, którzy je tworzą, kształtują jego życie. Nie jest prawdą, że decydującą w tej dziedzinie siłą jest pieniądz, i że rozwój wzrasta w miarę zwiększania się zasobów pieniężnych, a traci tempo, gdy te się kurczą. Natomiast prawdą jest, że odgrywa tu decydującą i naczelną rolę czynnik psychologiczny. Jeśli tym, który ma decy-

dować o tempie rozwojowym i kształtować jego ścieżki będzie producent. t. j. społeczeństwo, tempo może wzrastać nawet przy bardzo skromnych zasobach finansowych. Lecz gdy to samo zechce czynić biurokracja — sprawa nabiera zgoła odmiennego wyglądu. Albowiem producent może, operując temi samemi środkami, zwiększyć wydajność swej pracy, a biurokracja sama producentem nie jest i przeto bezpośredniego wpływu na tempo rozwojowe życia nie posiada.

Już z tego tytułu jest ona powołana tylko do odgrywania w życiu społeczeństwa roli ściśle pomocniczej, instrumentu ułatwiającego świadomy rozwojowy wysilek społeczny, torującego mu drogi, usuwającego z nich przeszkody formalistyczne.

Nadto lot aspiracyj producenta - społeczeństwa może być i zazwyczaj bywa nierównie górniejszy, niż lot aspiracyj biurokracji. Nie wypływa to z czego innego, jak z dwóch faktów: 1) — że praca twórcza, jaka jest udziałem obywatela, w znacznie wyższym stopniu pobudza aspiracje i skłania do wysiłku uzdolnień, niż niewdzięczna i sucha praca biurokratyczna i 2) — że szeregi biurokracji, w warunkach normalnych, wypełniają jednostki nie czujące wyższych uzdolnień życiowych i przygotowania do walki o byt, a zatem element słabszy, który, oczywiście, zdradza tendencję wyjścia po drabinie hierarchji biurokratycznej na powierzchnię życia.

Mniemam, iż zbędne są tu wszelkie wyjaśnienia różnic zachodzących między normalną biurokracją, a tym w niej elementem ideowym i społecznym, który znalazł się u nas na stanowiskach urzędniczych, porwany nakazem moralnym stanięcia do pracy nad naprawą Rzeczypospolitej. Ludzie ideowi i społecznicy mogą oczywiście znaleźć się

w szeregach biurokracji w momentach przełomów, po to, by spełnić swe doraźne zadanie i odejść do właściwych dziedzin swych zawodowych, społecznych zainteresowań. My zaś mamy tu na względzie normalny stan rzeczy, a ten — jeśli chodzi o biurokrację — odpowiada temu, co powiedzieliśmy wyżej.

Dlatego też możemy spokojnie pozostać przy naszym twierdzeniu, że lot aspiracji społeczeństwa jest wyższy i przeto bardziej cenny dla rozwoju Państwa, niż biurokracji.

ON CENTRALIZMU I BIUROKRACJI
DO DECENTRALIZMU I SPOŁECZEŃSTWA

1. Wskazanie na rysunku, w którym kierunku
prąd płynie w przewodniku, który jest
położony w polu magnetycznym. Wskazać
kierunek siły działającej na przewodnik.
2. Wskazanie na rysunku, w którym kierunku
prąd płynie w przewodniku, który jest
położony w polu magnetycznym. Wskazać
kierunek siły działającej na przewodnik.

3. Wskazanie na rysunku, w którym kierunku
prąd płynie w przewodniku, który jest
położony w polu magnetycznym. Wskazać
kierunek siły działającej na przewodnik.

VI.

OD CENTRALIZMU I BIUROKRACJI
DO DECENTRALIZMU I SPOŁECZEŃSTWA.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

SZTUKA RZĄDZENIA SPOŁECZEŃSTWEM NOWOCZESNEM.

Ileć na powierzchnię życia występuje zagadnienie organizacji mniejszych czy większych grup ludzkich i ich interesów, tyleć zjawia się — jako pierwsza i najbardziej sugestywna — koncepcja centralistyczna. Jedno źródło koncepcji i dyspozycji i jedno koryto, którym władza spływa od szczytu, owego centrum, poprzez etapy i ogniwa pośrednie, ku dołom zorganizowanej masy, — ten system organizacyjny, posiadający za sobą długotrwałą tradycję, najbardziej przemawia do naszej wyobraźni.

Zwolennicy tego systemu mają na jego obronę pozornie nader przekonujące argumenty, z pośród których niewątpliwie głównym jest mówiący o zaletach jednolitości myśli organizacyjnej, dawanej centralnie dla całej organizacji. Nawet jeśli ta myśl — powiadają oni — nie jest zupełnie trafna i szczęśliwa, ma ona tę zaletę, że jest jedna. Decentralizacja zaś — według nich — t. j. większa ilość źródeł dyspozycji, obejmujących części organizacji, wprowadza chaos. Bardziej zapaleni centraliści mówią wręcz o klęsce, jako rzekomo nieuniknionym skutku decentralistycznego systemu.

Teoretyczna dyskusja w tym przedmiocie, nie doprowadziłaby nas do żadnych bezapelacyjnych rezultatów, albowiem pole do sporu w tej dziedzinie jest zawsze otwarte, pokąd muszą w naszych czasach istnieć takie do-

meny centralizmu jak np. wojsko. Oczywiście, nie może ono być porównywane z żadną organizacją społeczną, już chociażby z przyczyny odmienności ich powołań, a także z racji, iż żadna organizacja społeczna nie może, w tym stopniu co wojsko, równoważyć swym członkom ciężaru działania pod nakazem satysfakcją, iż posiadają oni część siły tego nakazu w stosunku do jednostek hierarchicznie im podległych; honorem szczególnym służby wojskowej i jej specjalną i uprzywilejowaną w społeczeństwie sytuacją. Możliwy tylko zauważyć, że centralizm — w znaczeniu klasycznym — jako pozbawiający całe masy, nie objęte hierarchią jego władzy, satysfakcji twórczej pracy jest społecznie szkodliwy i musi w rezultacie obniżać wartość organizacji lub też narażać ją na wstrząsy wewnętrzne, bunt, próby zamachów i rozłamów, co bywa zazwyczaj udziałem organizacji w ten sposób zarządzanych, zwłaszcza, gdy dyspozycja centralna znajduje się w rękach ludzi nie posiadających w dostatecznej mierze subtelnej sztuki rządzenia delikatnym instrumentem, jakim jest żywy człowiek i żywa ludzka masa.

Człowiek współczesny nie jest podobny do swego poprzednika, z epoki, gdy rodził się centralizm. Rządzenie nim przestało być jednostronną sztuką działania rygorem, mieczem lub batem. Przeszedł on wielką ewolucję w kierunku uspołecznienia jego instynktów, przestał być poddanym swego pana, stał się członkiem społeczeństwa, z innymi w prawach zrównanym. Społeczeństwo poczęło żądać od jednostki coraz większych rezygnacji z jej wolności osobistej i coraz wyższego wysiłku pracy na rzecz dobra zbiorowości. Stało się to możliwe tylko przez danie jednostce ekwiwalentu moralnego, pod postacią zapewnienia jej udziału w decydowaniu o tem, co jest dobrem

zbiorowości, w ustalaniu celów, w imię których ma ona wyteżać swe siły dla społeczności. Duchowa strona człowieka współczesnego została tak dalece rozbudzona i rozwinięta, że naczelnem zadaniem tych, którzy chcą nim rządzić, staje się dbałość o zachowywanie równowagi między wymaganiem odeń wysiłku pracy i dostarczaną mu z niej satysfakcją, która odgrywa rolę motoru tego wysiłku.

Stąd też daje się zauważyć zjawisko, że marzenia o władzy dyktatorskiej, — poza, oczywiście, jakimiś sytuacjami wyjątkowymi, a przejściowymi, — są udziałem ludzi o nader niewysokim locie myśli twórczej i małej sile ducha, i że zjawiają się one u nich zazwyczaj jako dążenie do uchylenia się, podczas sprawowania władzy, od współdziałania ze społeczeństwem, do czego nie czują w sobie ani dobrej woli, ani siły, ani uzdolnień.

PRZEROST, ABSURDY I FIASCO CENTRALIZMU W POLSCE.

Porzucając jednak dziedzinę rozważań teoretycznych nad tym przedmiotem, jako w tej pracy marginesowych, zmierzajmy szybko ku naszemu celowi, a mianowicie rozpatrzeniu centralizmu, jako systemu organizacji odrodzonej Rzeczypospolitej.

Zaraz na wstępie należy zauważyć, że system ten przyjęty został przez młode nasze Państwo, jako nieunikniona konieczność warunków, w jakich ono powstawało. Mówić o tem, kto chciał lub nie chciał centralizmu w listopadzie 1918 i latach następnych, latach wojny i plebiscytów, latach wykluwania się Rzeczypospolitej z gruzów wielkich mocarstw przedwojennych i rozdzielać z tego tytułu jednym nagrody, a drugim kary, czy pierwszym kary, a drugim nagrody, — wysiłek taki byłby raczej na miejscu w farsie teatralnej, niż w poważnej dyskusji na temat organizacji Państwa. Z jednej strony wojna, a z drugiej dezorientacja masy społecznej wymagały centralnej mobilizacji, rozbitych w latach wojny, sił duchowych i materialnych Narodu dla celów obrony Wolności, zaledwo odzyskanej, a już orężnie zagrożonej.

Ani b. ministerstwo b. Dzielnicy Pruskiej, ani b. Zarząd Ziemi Wschodnich, ani autonomja Górnego Śląska nie zaprzeczają temu faktowi, albowiem pierwsze powstało dla likwidacji interesów obywateli ziem Poznańskiej i Pomor-

skiej z Niemcami, drugi miał charakter przejściowy, a trzecia wynikała raczej z koniunktury plebiscytowej i międzynarodowej, niż z ogólnego planu rządu w przedmiocie organizacji Państwa, zaabsorbowanego wówczas całkowicie wojną z Rosją i jej likwidacją.

Rozrostowi centralizmu polskiego, podchwyczonego przez biurokrację ze szkoły państw zaborczych, a zwłaszcza austriackiej, będącej niedoścignionym wzorem bizantynizmu i obłudy biurokratycznej, dyktowanych rozwalonej Monarchji Naddunajskiej przez chęć skorumpowania możliwie szerokich zastępów inteligencji duszonych przez nią narodów, właśnie przez wciąganie jej do szeregów biurokratycznych walkoni, — rozrostowi centralizmu i biurokratycznej twórczości szło na spotkanie nieprzygotowanie społeczeństwa polskiego do życia państwowego, do przostąpienia się, poprzez głębokie wąwozy, wykopane przez niewolę, w jeden organizm. Władza państwowa była tą, której wypadało co chwila wkraczać w nowe dziedziny życia narodowego, — społeczeństwo żądało od niej rozszerzenia zakresu jej zainteresowań i kompetencji, a przede wszystkim pomocy w kłopotach, do poradzenia sobie z którymi nie było przygotowane.

Pozwalam sobie twierdzić, że gdyby w latach 1922—1926 nie rozkwitło nam tak bujnie sejmowładztwo, którego wynikiem była rozbudowa biurokracji przez władające jej częściami partje polityczne, które nadto, dla celów demagogicznych, usiłowały przerzucać wszystkie obowiązki samopomocy społecznej na Państwo i na kasę państwową i gdyby w owym okresie panował ład, a władza spoczywała w rękach rządów, wolnych od demagogji i prywaty, — chociażby nawet te rządy nie były na miarę momentu dziejowego, w którym wypadało im działać, — musiałyby one

prędzej czy później zorjentować się, iż proces przeciążania przez społeczeństwo rządów i maszyny biurokratycznej nadmiarem obowiązków, a zatem i pozornych kompetencji, musi być stanowczo powstrzymany, a to dla dwóch przyczyn: 1) ponieważ w ten sposób realizuje się obawa Marszałka, iż społeczeństwo zatracą poczucie odpowiedzialności za swój los i zrozumienie swojej roli, jako twórcy tego losu, a zatem i losu Państwa i 2) — ponieważ Państwo nowoczesne nie jest w stanie podolać temu zadaniu, nawet gdy posiada sprawny instrument centralistycznego zarządu wszystkimi interesami swego społeczeństwa. Myśl o takiej możliwości u nas była wręcz śmieszną, gdy się zważy, że miała ona być realizowana przy pomocy instrumentu tak fatalnie niesprawnego i niejednolitego, jakim była nasza biurokracja, rozparcelowana przez partje i rozdarta przez antagonizmy pochodzeniowe z różnych zaborczych szkół biurokratycznych.

Niestety, przeciwna wszelkiemu rozsądkowi, orgja oligarchów sejmowych, usunęła i w danym wypadku prawdopodobieństwo dorzeczej refleksji ich rządów. Refleksja taka, przynajmniej w formie uchwytniej, chociażby publicznego wypowiedzenia się licznych rządów, nigdy nie miała miejsca.

W tych warunkach niepodobna się dziwić, mimo całej szkodliwości tego zjawiska, że biurokracja poczuła się istotnym władcą Polski i na zabój zakochała się w pięknych i precyzyjnych wykresach, uwidaczniających każdemu matolkowi, jakto dobrodziejstwo władzy spływa od góry, t. j. od ministerstwa, poprzez najróżniejsze szczeble drabiny biurokratycznej, na obywatela, mieszkającego np. w pińszczyźnie. Wśród licznych tego rodzaju wykresów brakło tylko jednego, a mianowicie — ilustrowanego, t. j. ta-

kiego, na którym zamiast kólek, kwadratów, trójkątów i innych figur geometrycznych, sportretowany byłby wyraz twarzy urzędników na poszczególnych szczeblach hierarchji biurokratycznej i wreszcie obywatela, na którego rzekomo spływało dobrodziejstwo, toczącej się po tej drabinie, opieki władzy. Okazałoby się bowiem wówczas, iż wysoki dygnitarz, np. wojewoda, prezes izby skarbowej, dyrekcji dróg, poseł na placówce zagranicznej i t. p., szaleją z rozpacz, nie mogąc w żaden sposób uzyskać od referenta w ministerstwie łaski akceptacji dla niezbędnych — według niego — prac na jego terenie władzy, referenta, który zazwyczaj nie raczył nawet czytać elaboratów i uzasadnień takiego wysokiego dygnitarza; — starosta i jemu podobni wrywają sobie włosy z głowy, nie mogąc przewyciężyć sabotażu ze strony referenta województwa i równorzędnych z nimi instancyj administracyjnych; obywatel zaś buntuje się nieustannie, terroryzowany przez pisarza gminnego lub lekceważony przez najniższego urzędnika urzędu skarbowego lub starostwa, na których kończyła się dla niego władza i majestat Rzeczypospolitej.

Takiego wykresu nie było, bo trudniej zapewne byłoby w nim się zakochać. Nie było również wykresu, któryby ujawniał tę prawdę, że interesy swe załatwiali: wojewodowie z ministrami, starostowie z wojewodami, wójtowie ze starostami — w przeważającej ilości wypadków — za pośrednictwem posłów i że tylko wtedy, sterroryzowana przez przedstawiciela możnej partji, wyższa instancja zdobywała się na odwagę przełamania oporu lub wręcz sabotażu swego referenta, w załatwieniu sprawy państwowej, należącej do kompetencji tej wyższej instancji.

Trzeba bowiem dodać, że biurokracja doskonale nauczyła się unieszkodliwiać swoich szefów, jeśli nie odpo-

wiadali oni jej politycznie, a nawet i w wypadku, gdy szef był kompatriotą partyjnym swoich podwładnych. Każdy nowomianowany minister bywał, od pierwszej chwili swego urzędowania, zalewany takim nieprawdopodobnym potokiem papierów, wymagających — według przepisów, przez tę biurokrację ułożonych — jego podpisu lub aprobaty, że nieszczęśnik zamieniał się w maszynę do stawiania paraf i podpisów, od czego co chwila odrywały go niekończące się konferencje międzyministerjalne, na których członkowie rządu załatwiali sprawy, należące w normalnych państwach do kompetencji jednego skromnego referenta. W ten sposób minister nie miał żadnej fizycznej możliwości wglądać w pracę swych referentów, ani oceniać ich pomysłów, chyba, że chodziło o sprawy protekcyjne, na które czas musiał być znaleziony. W ten sposób pp. referenci stali się istnymi dyktatorami Polski, spekulującymi na przypodobanie się rządzącym partjom, względnie na stwarzanie trudności nie miłym sobie politycznie ministrom.

Po przewrocie majowym, jednym z najtrudniejszych zadań rządu, zeń powstałego, było rozbicie w różnych działach administracji mafij urzędniczych, kierowanych przez N. Demokrację i Piasta, mafij, które początkowo usilnie pracowały nad skompromitowaniem tego rządu i zachowaniem administracji w rękach patronujących im partyj, w których rychły do władzy powrót święcie wierzyły. Przyjaciele moi — ministrowie rządów pomajowych — opowiadali mi, z jak niezmierną gorliwością ich urzędnicy zabierali się do utopienia ich w lawinie papierów i że w niektórych wypadkach musieli oni używać znacznego wysiłku i stanowczości, by się tym zamachom przeciwstawić.

Spółeczeństwo niema nawet wyobrażenia o stosunkach, jakie panowały w łonie biurokracji przed majem 1926 i wdzięczny ten temat czeka na swego dziejopisa. Dla zadania, będącego przedmiotem tej pracy, wystarczy ta krótka ich ilustracja, by sformułować twierdzenie, iż eksperyment centralizmu, niezbędny w pierwszych niejako chwilach stawania się Polski niepodległej, przeciągnięty później i doprowadzony do absurdu przez oligarchów sejmowych, należy uważać za całkowicie przegrany i zasługujący na jaknajszybsze odrzucenie.

Przedewszystkiem zawiodła sprawność instrumentu centralistycznej dyspozycji. Złudzeniem jest, jeśli się komu wydaje, iż myśl ministra biegnie gładko z góry ku dołowi, po pięknych strzałkach, łączących—na wykresach ministerjalnych kreślarzy—wszystkie instancje administracyjne. Ta myśl rwie się co chwila. Zniekształca ją centrala, nie trafia ona do instancji niższych, lub przychodzi tam obciążona bagażem zniekształceń, dokonanych przez instancje pośrednie. Wreszcie rwie się ona i na ogromnych przestrzeniach Rzeczypospolitej, nie trafiając czasem od instancji I-ej do II-ej.

Ponieważ dyspozycja centralna może być powzięta tylko na podstawie materiału, idącego ku pierwszej instancji od dołu, wielkiej wagi nabiera fakt fatalnego funkcjonowania tej drogi.

Rezultat jest taki, że już województwa, położone na peryferjach Państwa, nie odczuwają istotnej pomocy, a nawet czasami istnienia ministerstwa spraw wewnętrznych. Wojewodowie albo, przekraczając kompetencje, decydują sami w najróżniejszych sprawach, zwłaszcza, jeśli wynikają one ze specyficznego charakteru zarządzanego przez nich terytorium, lub też omijają je, dopuszczając do najróżniejszych

komplikacyj życia, często z najwyższą szkodą dla Państwa. Sędziowie pokoju, którzy, zwłaszcza na terenach o ludności mieszanej, odgrywają olbrzymią rolę w kształtowaniu jej nastrojów, działają bez żadnej rzeczowej kontroli ze strony organów ministra sprawiedliwości i sądów wyższych instancji. Wszystkie inne dziedziny administracji znajdują się w podobnej sytuacji.

Doszło wreszcie do tego, że minister spraw wewnętrznych czuł się zmuszonym upoważnić wojewodów do wstrzymywania wykonania jego rozporządzeń, nie dających się pogodzić z interesami danego województwa i jego ludności. Mamy tu zatem, pod postacią tej koniecznej w istniejących warunkach klapy bezpieczeństwa, oficjalne uznanie *fiasca* centralizmu.

Ten fakt znamieny stawia nas wobec drugiej przyczyny, dla której centralizm nie mógł się udać w Polsce. Jest to przyczyna czysto rzeczowa, niezależna ani od wartości pracy ministrów i rządów, ani też biurokracji. Leży ona w charakterze ludności Rzeczypospolitej i różnorodności poziomów jej kultury materialnej, a także w różnorodności charakteru gospodarczego naszych ziem.

ODRĘBNOŚCI CHARAKTERU ZIEM RZECZYPOSPOLITEJ
NIE MOGĄ BYĆ LEKCEWAŻONE.

Słowo „dzielnicowość“ stało się u nas omal synonimem zdrady wobec Państwa. Zapewne, to, co w mowie potocznej było określone pojęciem dzielnicowości, nosiło zazwyczaj charakter jeśli nie zdrady, to w każdym bądź razie tego rodzaju tendencji odśrodkowych, które mogły — zwłaszcza w okresie, w którym się ujawniały najsilniej — rozbić jedność Rzeczypospolitej. N. Demokracja wysuwała przecież w swoim czasie wyraźnie hasło „Polski Zachodniej“, złożonej z ziem: Poznańskiej, Pomorskiej i G. Śląska, przeciwstawiając ją Polsce zjednoczonej, jednej. Taka właśnie dzielnicowość stała się wreszcie wstrętną społeczeństwu i została przezeń potępiona i pogrzebana, miejmy nadzieję, na wieki.

Lecz tu właśnie, u progu zdrady i odśrodkowości, przekreślających zasadę jedności Rzeczypospolitej, zaczyna się dopiero pojęcia dzielnicowości obrzydliwość i karygodność. Nie zawiera ono jednak w sobie żadnej przesady ani zdrożności, jeśli wyraża ten fakt, że długotrwała niewola, więżąca poszczególne ziemie Rzeczypospolitej w orbicie odmiennych wpływów duchowych i materialnych, wytworzyła na tych ziemiach odmienne nieco typy psychiczne Polaków, żyjących w odmiennych warunkach kultury materialnej.

Poznańczyk, Mazur, Poleszук, Wołyniak, Hucuł i Krowianin — to, w mniejszym lub większym stopniu, odmiennie typy psychiczne, żyjące w odmiennych warunkach kultury materialnej, różniące się skalą potrzeb i możliwością wydobycia ze swej pracy wartości użytecznych. Czyż to jest karygodne, lub też czy należy temu faktowi zaprzeczyć?

Lub czy może zawiera jakieś cechy szkodliwości dla interesów Państwa dążenie obywateli ziem, różniących się nieco pod wskazanymi wyżej względami od innych, by uwzględniano te ich odrębności?

Taki punkt widzenia byłby najzupełniej nie do przyjęcia. Ostatecznie trudno byłoby wskazać przykład dużego państwa o ludności całkowicie jednolitej. Wszędzie są odrębności i wszędzie są dzielnice. Różnice psychiczne między Prusakiem a Saksończykiem, ba nawet ich antagonizm i niechęć, są znane całemu światu. Prowansalczyk uważa się za wyższą istotę od Bretończyka, szczyci się swoją wyższą kulturą, kultywuje styl swoich pałaców, swojej sztuki regionalnej, odrębności języka — a przecież Francja jest wielkiem państwem i naród francuski ożywiony jest wspólnymi względem ojczyzny uczuciami. Włoch północny odnosi się z lekceważeniem do Włocha południowego. St. Zjednoczone są już nie narodem różniczkowanym pod względem psychicznym, a istną wieżą Babel narodów.

Czegóż więc?

Dlaczego więc my mielibyśmy dawać się unosić jakimś zbytecznym ambicjom, iż niema między nami żadnych różnic: ani obyczaju, ani potrzeb, ani aspiracji? Właśnie my, przez półtora wieku największego rozwoju techniki i kultury materialnej, pozostający częściowo pod wpływem

Niemiec, które temu rozwojowi przodowały, częściowo Rosji, która szła w jego ogonie i Austrii, która doprowadzała do ruiny b. Galicję? Właśnie my, wielkie państwo, w którym — pomijając wszystkie inne, dopiero przytoczone, czynniki, — różnice klimatyczne między zachodnimi i wschodnimi, północnymi i południowymi peryferjami, oraz różnice charakteru zatrudnienia obywatela — muszą wytwarzać odmienne typy ludzkie?

Nic bardziej sprzecznego, nad częste u nas łączenie aspiracyj mocarstwowych z wstydlivością przyznania się do różnic, istniejących między dzielnicami tego mocarstwa. Wypływa to, oczywiście, z nadawania przesadnego znaczenia pojęciu „dzielnica“, powodującego odruch zniesienia jednym dekretem czy jedną uchwałą Sejmu wszelkich różnic.

Jest to jeden z najszkodliwszych zamysłów, jakie się mogą zrodzić w głowie polskiej. Szkodliwość jego polega na tem, że jest utopijny, że tedy utopję usiłuje się przeciwstawić rzeczywistości, miast ją uznać i wziąć za podstawę rozwiązywania problemu organizacji życia narodu.

W rzeczywistości dobro Państwa bynajmniej nie wymaga od obywateli, by nagle dostosowali swą naturę i stopę życiową i przyzwyczajenia do przeciętnej natury, stopy życiowej i przyzwyczajzeń wszystkich obywateli. Jak nie wymaga, by wszyscy byli wyznawcami jednego kościoła, mieli jedne wspólne upodobania artystyczne i t. p.

Interes Państwa wymaga jedynie, by wszyscy obywatele widzieli w niem swoje wspólne dobro, by byli związani poczuciem solidarności w obronie i rozbudowie tego wspólnego dobra i by pracowali nad podnoszeniem poziomu swej kultury duchowej i materialnej, t. j. zwiększali wydajność swej pracy.

Zadaniem Państwa zaś jest dbać, by różnice poziomów kultury materialnej, jako szkodliwe gospodarczo i mogące wywołać silny konflikt między dzielnicami, stopniowo wyrównywały się przez podnoszenie się niższych ku wyższym, przyczem wcale nie jest koniecznością, by wszędzie należało zdążać ku temu celowi temi samemi drogami.

Należy ustalić, jako zasadę, że zadaniem władzy państwowej jest stworzyć warunki, w którychby wszyscy obywatele rozwijali maximum swojej energii w pracy produkcyjnej, oczywiście, warunki sprzyjające temu celowi, a zatem zadośćczyniące ich aspiracjom, potrzebom i przyzwyczajeniom.

Z różnorodności charakteru ludności Rzeczypospolitej wynika, oczywiście, iż warunki te nie mogą być jedne dla wszystkich, że w szerokich ramach ogólnych organizacji życia i pracy Narodu musi być pozostawiona duża swoboda przystosowywania ich do konieczności lokalnych na poszczególnych ziemiach.

Zadanie, jakie z tytułu tego obowiązku spływa na rząd przy centralistycznym systemie organizacyjnym, stanowczo przerasta zakres możliwości najbardziej nawet wytrawnych i twórczych umysłów. Nawet gdybyśmy uwierzyli w niemożliwe, że ministrowie nie będą podlegać prawom zużywania się i upadku, i wówczas eksperyment centralizmu na dłuższą metę byłby w naszych warunkach niezmiernie ryzykowny. Z chwilą, gdy tak być nie może, gdy mamy pewność, że ministrowie będą się zmieniać stosunkowo często, t. j. że zanim jeden zdoła rzeczywiście zapoznać się z potrzebami poszczególnych części kraju w odniesieniu do jego resortu, już miejsce jego zajmie inny, może nawet lepszy, jako umysłowość, lecz zmuszony poświęcić czas dłuższy na studja potrzeb, które zaledwie

zglebił jego poprzednik — pozostawanie przy centralizmie jest niemożliwością.

W warunkach, przed chwilą wskazanych, centralizm, z nieuniknionym przerostem twórczości biurokratycznej, z cechującym go dążeniem do stwarzania dla każdej sprawy rozwiązań szablonowych, dyktowanych przez sprzeczności, istniejące na różnych ziemiach, — musi być wrogiem rozwoju Narodu i Państwa, obniżać tempo rozwojowe społecznego wysiłku produkcyjnego i pogłębiać konflikt między społeczeństwem aspiracjami a Państwem, reprezentowanym przez biurokrację.

NOWE ROZWIĄZANIE PROBLEMU ORGANIZACJI NASZEGO PAŃSTWA.

Jestem w pełni świadom, iż nie wystarczy przeciwstawiać się centralizmowi oraz nadawaniu Rzplitej charakteru biurokratycznego i wystąpić za decentralizacją zarządu jego interesami na rzecz uspołecznienia Państwa, związania z nim żywych sił społecznych. Należy podać koncepcję rozwiązania tego niewątpliwie niełatwego dylematu. o doniosłości, być może, decydującej dla dalszego rozwoju Polski.

Mógłbym wprowadzić obowiązek ten z pracy mej usunąć, a to dla tej prostej przyczyny, że przecież zadaniem jej jest rozpatrzyć błędy przeszłości i drogi rozwojowe przyszłości, kierunek których został już wskazany w tem, co powiedzieliśmy dotychczas. Zadanie zaś szukania praktycznych rozwiązań powinno mieć miejsce wówczas, gdy zjawi się możliwość ich zastosowania. Nie mniej przecież pragnę koncepcję tę w ogólnych zarysować linjach, gdyż nie obawia się ona próby ognia polemicznego, a, być może, spotka ją zaszczyt zainteresowania czytelnika i skłonienia go do poświęcenia jej myśli krytycznej, która ją przeświecili.

Wydaje mi się, że zanim się zacznie mówić o jakiegokolwiek organizacji Państwa, należy przedewszystkiem porównać dwie mapy: 1) — administracyjnego dotych-

czasowego podziału Polski, wystarczy na województwa, i 2) gospodarczego charakteru terytorjów Rzeczypospolitej, oczywiście, z dokładnem uwzględnieniem poziomu kulturalnego, w jakim znajduje się to gospodarstwo, zwłaszcza rolne, na różnych częściach naszych terytorjów.

Dlaczego?

Otóż dlatego, że Naród nie po to żyje i pracuje, by się poddawać przymusom administracyjnym, lecz zadaniem administracji jest służyć temu życiu i pracy, ułatwiać je, współdziałać ze społeczeństwem nad ich rozwojem.

Cóż z tego wynika?

Mianowicie to, że podstawą podziału administracyjnego Państwa winno być nie co innego, jak charakter gospodarczy, a zatem i kultury gospodarczej, jego terytorjów. Jednostka administracyjna, jaką jest nasze województwo, winna obejmować teren jednogatunkowy pod względem gospodarczym, stanowiącym albo gospodarczą całość lub też ludność którego posiada wspólne interesy gospodarcze, wspólne w tej dziedzinie potrzeby i wspólne zadania. Szachownica administracyjna może, w zależności od wielu względów, dążyć ku powiększaniu lub zmniejszaniu jednostek administracyjnych. Lecz nigdy nie powinna ona lekceważyć sobie ich charakteru gospodarczego. Nie można rozrywać jednego, posiadającego wspólne interesy, związanego ze sobą organicznie zagłębia przemysłowego, między dwie lub więcej jednostek administracyjnych, dlatego, że tak to kiedyś zrobili zaborcy i, co gorsza, części tego zagłębia przyłączać do terenu nawskroś rolniczego, który stawia swoim administratorom zgola odmiennego charakteru żądania, niż okręg przemysłowy.

Podział administracyjny terytorjum Państwa, zawierający tego rodzaju nonsensy, nie powinien być konserwo-

wany w epoce problemów gospodarczych, gdy polem bitwy narodów jest ekonomika, gdy zatem zadaniem Państwa jest ułatwiać rozwój sił wytwórczych Narodu.

Nasza szachownica podziału administracyjnego Rzeczypospolitej winna być poddana rewizji z tego punktu widzenia, który nasunie natychmiast inne pytanie, a mianowicie: czy nie leżałoby w interesie sprawności życia zmniejszenie ilości województw?

Przerażonych, iż mogła mi przyjść do głowy myśl powiększania jednostek administracyjnych drugiej instancji, t. j. zwalania na głowy wojewodów jeszcze więcej ciężarów, podczas, gdy dotychczasowym zaledwo zgrubsza podolać mogą, proszę o zakredytowanie mi chwili cierpliwości.

Oczywiście, przy pozostawieniu administracji państwowej dotychczasowych jej zadań, koncepcja zmniejszania ilości województw, dla uzyskania zdrowych i naturalnych pod względem gospodarczym jednostek administracyjnych, mogłaby mieć uzasadnienie jedynie z punktu widzenia teorii centralistycznej, a znaleźć zaprzeczenie w praktyce przeciążenia nadmiarem zadań wojewodów.

Teorja centralizmu bowiem powiada, że im mniej jest ośrodków przejmujących dyspozycję centralną, tem mniejsze niebezpieczeństwo skażenia jej i zniekształcenia. Lecz życie dość często i szybko zaprzecza tej teorji. W ten sposób bowiem zmniejsza się obciążenie I-ej instancji centralnej dyspozycji, lecz za to zwiększa obciążenie II-ej. Następuje zatem tylko przerzucenie niebezpieczeństwa z jednego szczebla hierarchicznego na drugi, a trudno byłoby ustalić, czy w ten sposób nie zostają zwiększone jego skutki.

Lecz wszystkie te względy odpadają wobec głównej

przyczyny, dla której wypowiadam się za zrewidowaniem naszej szachownicy administracyjnej i zmniejszeniem ilości województw przez połączenie w jedną całość administracyjną ziem o jednolitym charakterze gospodarczym i kulturalnym, a mianowicie: dania w ten sposób stworzonym województwom szerokiej autonomji terytorjalnej, zwłaszcza w sprawach gospodarczych i kulturalnych, wykonywanej przez sejm wojewódzki i system samorządów niższych, aż do gminnego włącznie.

Gdy się zaś zdąży do tego rozstrzygnięcia, warunkiem zadośćuczynienia przez nie potrzebie związania energii społecznej z pozytywną pracą państwową i ewolucjonizmem rozwoju form ustrojowych Rzeczypospolitej, jest położenie głównego nacisku na gospodarcze i kulturalne walory terytorjów autonomicznych, oraz na te właśnie zadania autonomicznych sejmów wojewódzkich i samorządów dalszych stopni.

Celem bowiem głównym jest tu zwrócenie Państwa — używając terminologii sowieckiej — twarzą ku społeczeństwu, uspołecznienie go, oparcie o twórczość społeczną, ściągnięcie obywatela z obłoków partyjnych doktryn i demagogicznych hasel na twardy grunt rzeczywistości polskiej i dostarczenie mu możności, na jej bogatych w możliwości rozwojowe obszarach, wyładowania w pozytywnej pracy jego aspiracyj do lepszego bytu, do którego ścieżki i drogi w ten sposób dokładnie pozna. Chodzi tu o dostarczenie obywatelowi satysfakcji z dawanej dla dobra społeczeństwa i Państwa pracy, przez co będzie się on z tą pracą i Polską, której ją daje, łączywał uczuciowo coraz głębiej, stwarzając siłę stabilizacyjną dla jej egzystencji i ewolucyjnego rozwoju.

Administracja państwowa zaś, której zadaniem będzie

współpracować z tym wysiłkiem społecznym, siłą rzeczy wyjdzie ze swej dotychczasowej izolacji, pocznie się prze-pajać duchem potrzeb społeczeństwa, realnych wymogów życia na terenach swojej władzy, a zatem zacznie tracić swoje biurokratyczne upodobania, które narażać ją będą na konflikty z kontrolującymi jej działalność samorządami, i których bezpłodność zacznie wówczas sama przemawiać do jej wyobraźni.

Zapewne, można tu wysunąć kontrargument, że koncepcja ta w praktyce da zgoła odmienne rezultaty, niż przed chwilą wskazane. Że sejmy wojewódzkie przejmą zle obyczaje sejmów ogólnokrajowych, że wejdą do nich partje ze swojemi przywarami i zburzą wszelką możliwość pozytywnej tych sejmów działalności i że w rezultacie rządzić będzie musiał wojewoda, a Prezydentowi Rzeczypospolitej przybędzie nowy kłopot, pod postacią podpisywania de-kretów o rozwiązywaniu tych sejmów.

Mimo braku skłonności do przesady w optymizmie, nie mógłbym podzielać takich obaw, gdyby się one zrodziły. Czynniki demagogiczne w pracy ludzkiej wzrasta w miarę zmniejszania się jej odpowiedzialności i konkretności jej zadań. Naodwrot, ulega on ograniczeniom, gdy cel pracy jest ściśle określony, a odpowiedzialność za nią ustalona. Poseł na Sejm ogólnokrajowy niema żadnego wyraźnego przymusu pracy, nie jest przed nikim — poza swoim partyjnym leaderem — odpowiedzialny, a może zostać ministrem. Cóż za wysoka stawka gry i coś za wymarzone warunki dla prowadzenia jej wszelkimi, możliwie nieuczciwymi i niegodnymi środkami!

Z chwilą jednak, gdy przed sejmem wojewódzkim staną zadania ściśle praktyczne, gdy będzie chodziło o budowę dróg, mostów, meljorację gruntów, organizację wymiany

produktów między wsią a miastem i t. p., a zatem o kwestje, bezpośrednio obchodzące obywatela-wyborcę, posel będzie, być może, używać początkowo demagogicznych metod oddziaływania na jego wyobraźnię, — w rezultacie jednak sądzony będzie według tego, co zrobił, a nie według tego, co obiecuje. Selekcja kandydatów na reprezentantów obywateli w samorządach o charakterze gospodarczo-kulturalnym odbywać się będzie na tym, a nie politycznym gruncie. Na powierzchnię życia wystąpią społecznicy, działacze na polu gospodarczym i kulturalnym, i zepchną z niej polityków, których nieprzydatność w pracy organicznej musi się szybko ujawnić.

Być może, iż w początkowym stadium rozwojowym, tu i ówdzie, sejmy wojewódzkie będą wstrząsane zamachami na nie demagogów partyjnych i że trzeba je będzie rozwiązywać, by dać obywatelom możność skorygowania błędów, popełnionych przy wyborach rozwiązanego, złego sejmku. Może to jedynie przyspieszyć klęskę winowajców tych wstrząsów i ożywić tempo przesuwania się nastawienia społeczeństwa z politycznego na gospodarcze. Logika życia nie da się tu oszukać żadnym frazesem. Frazes albo ustąpi, albo będzie zabity.

Władza państwowa, która okaże żywą pomoc społeczeństwu w tym procesie przesuwania się jego nastawienia i z pełną ufnością, dobrą wiarą i metodycznością, współdziałać będzie z ciałami samorządowymi na pozostawionych jego opiece i wynalazczości najważniejszych dziedzinach życia narodowego, — która nie przekroczy swej roli rozumnego sternika nawą Rzeczypospolitą w kierunku przeistaczania się w surowego władcę, lekceważącego tych, szczęściu których nawa ta ma służyć, — władza taka spełni swe zadanie wychowania Narodu po linii wskazań i da-

zeń Marszałka, a tem samem zdobędzie najlepszego sojusznika w walce z wszelkimi zakusami anarchistycznymi ducha partyjnictwa, który siłą rzeczy zacznie odmieniać swą naturę, zwłaszcza, jeśli — z biegiem czasu — dokonane zostaną zmiany w ordynacji wyborczej, stawiając posła wobec permanentnej odpowiedzialności przed jego wyborcami, dysponującymi rzeczywiście jego mandatem.

Zresztą, kto wie, czy rozwój form ustrojowych, — w miarę krzepnięcia i kształtowania się fizjognomji sejmów wojewódzkich, — nie pójdzie po linii zmiany systemu formowania Sejmu ogólnokrajowego w kierunku zaniechania mechaniki wyborów powszechnych na rzecz sejmów wojewódzkich. Wyobrażam sobie mianowicie, iż właśnie te sejmy wylaniałyby ze swego gremjum reprezentacje do Sejmu ogólnokrajowego, na okres czasu z góry określony, a więc np. na jedną sesję, na rok lub dłużej, w zależności od obiektywnych względów, które musiałyby być wzięte pod uwagę przy ustalaniu tego terminu. Konstrukcja Zgromadzenia Narodowego mogłaby wówczas pójść po tej samej linii. Mogłoby być niem gremjum wszystkich posłów wszystkich sejmów wojewódzkich, wraz z ciałem zastępującem dzisiejszy Senat, a powołanem do czuwania nad ciągłością pracy ustawodawczej Sejmu i rządu, — względnie, w pewien sposób formowana, reprezentacja sejmów wojewódzkich.

W tej chwili, oczywiście, nie chodzi nam o rozstrzygnięcie całego szeregu spraw natury technicznej, związanych z koncepcją takiego systemu powoływania przedstawicielstwa narodowego. Celem naszym jest tylko zarysować samą koncepcję, wskazać kierunek, który — w naszym przekonaniu — zmierza do wyeliminowania z łona przedstawicielstwa narodowego bezsensownego i obłudnego po-

litykierstwa i nieodpowiedzialności, do złamania potęgi nowoczesnych magnatów, — leaderów wielkich partyj i otwarcia możliwości wkroczenia na arenę publicznego życia i działania, duszonemu przez nich, zastępowi — wychowanych w atmosferze wolności — działaczy społecznych i państwowych, w rękach których losy Rzeczypospolitej wydają się być nierównie bezpieczniejszemi i pewniejszemi, niż w rękach łowców złotych rybek w mętnej wodzie oszustwa i demagogji, — w rękach politykierów, często bez czci, przeważnie bez żadnej wiary, lecz zawsze prawie z szalonemi apetytami natury mało szlachetnej natomiast bardzo osobistej.

VII.
RZECZYWISTE WYNIARKI SPRAWY
NARODOWOSCISTEJ

VII.

RZECZYWISTE WYMIARY SPRAWY
NARODOWOŚCIOWEJ.

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY
ASTOR LENOX TILDEN FOUNDATION
500 5TH AVENUE NEW YORK 17, N.Y.

W ATMOSFERZE PRZESADY, NIEPOROZUMIEŃ
I FAŁSZYWEJ GRY.

Myśl o nadaniu autonomji terytorjalnej województwom na przestrzeni całego Państwa, ma jeszcze jedno — nie wymienione w poprzednim rozdziale — źródło inspiracji, a jest niem, mianowicie, charakter narodowościowy ludności Rzeczypospolitej.

Sprawa t. zw. „mniejszości narodowych“ w naszej Ojczyźnie została wyolbrzymiona przez jednych, zniekształcona przez drugich, zagmatwana przez wszystkich, — poza, oczywiście, rozważniejszymi jednostkami. W rezultacie szeroka opinja wpada w przerażenie na dźwięk samego tytułu sprawy i odczuwa do niej jakąś niechęć, połączoną z obawą.

Ma to swoje przyczyny również i w całym szeregu faktów, które nie sprzyjały narastaniu uczuć braterskich w sercach Polaków, w odniesieniu do współobywateli narodowości nie polskiej, faktów, świadczących, iż nie brak w ich łonie elementów podatnych na wszelkie zewnętrzne zachęty do stwarzania Państwu, które jest przecież ich państwem, najrozmaitszych trudności i zajmowania wrogiej względem niego postawy, co, oczywiście, przydaje atmosferze, w jakiej sprawa mniejszości jest dyskutowana, mocny zaczyn namiętności, nie sprzyjający obiektywizmowi rozważań i decyzji.

Oczywiście, byłoby błędem nie doceniać wpływu na powodzenia prosperowania wśród naszych mniejszości, zwłaszcza słowiańskich, zewnętrznych inspiracji i agitacji, faktu, iż w ogólnym rozstroju życia gospodarczego i zaniku jakiejkolwiek wyraźnej politycznej myśli państwowej, spowodowanych przez anarchistyczną działalność oligarchów sejmowych, cierpiała również, naogół uboga, ludność białoruska i ukraińska, i że ten właśnie czynnik,—materiałnego niedostatku, z przydatkiem biurokratycznych szykan i niezupełnie bezstronnego traktowania sprawiedliwości przez wielu sędziów pokoju, rozstrzygających najważniejsze życiowe sprawy rolnika, oraz językowych trudności porozumienia się z administracją, nie umiejącą, na przestrzeni szeregu lat, wyjść pod tym względem na spotkanie autochtonom ziem wschodnich Rzeczypospolitej; fatalnej szachownicy administracyjnej, w której dla załatwienia sprawy w urzędzie skarbowym, rolnik musiał pielgrzymować często kilkadziesiąt kilometrów po okropnych polno-błotnych drogach; wreszcie dokuczliwego systemu podatkowego, niepokojącego go co chwila i fantazycznie trudnego do zrozumienia: kiedy, i co, i ile należy płacić, — wychodziły na spotkanie zewnętrznej agitacji, wskazującej obywatelowi obcoplemiennemu — jako na jedyny sposób ulżenia swej doli — wrogie przeciw temu Państwu, w należycie odrażających przez agitatora odmalowanemu w barwach, wystąpienie, bądź to w imię raju bolszewickiego, bądź w imię hasła wolności narodów.

Rządy polskie, a zwłaszcza pomajowe, nie pozostawały bezczynnymi wobec potrzeb wszystkich mniejszości narodowych, a także i słowiańskich. Staraly się wychodzić im na spotkanie, zaspakajać ich potrzeby kulturalne i — w ra-

mach ogólnych możliwości Państwa — ekonomiczne. Stan rzeczy w chwili obecnej jest taki, że sytuacja mniejszości niemieckiej i żydowskiej może służyć za wzór modernizmu demokratycznej myśli politycznej w ustosunkowaniu się państwa do obywateli, stanowiących w niem mniejszość narodową i żaden trybunał międzynarodowy nie doszuka się tu luk, mogących świadczyć o nieszczerości Rzeczypospolitej.

Zapewne, z chwilą, gdy szef zagranicznej polityki niemieckiej, p. dr. Stresemann, ma odwagę wysuwać przed aeropagiem Rady Ligi Narodów horrendalną teorię, według której wypada rozważyć, czy zdrada stanu obywatela polskiego - Niemca wobec Polski, nie powinna być traktowana jako jego zasługa patriotyczna wobec Niemiec i — jak zapewne mniema p. Stresemann — nagradzana przez Radę Ligi, jako heroizm, — musimy stwierdzić, iż nie wygasła jeszcze w polityce Rzeszy nieszczerłość gry wobec Polski i skłonność do używania mniejszości niemieckiej w naszym Państwie przeciw niemu — i to zarówno wewnątrz Rzeczypospolitej, jakoteż na terenie polityki międzynarodowej. W tych warunkach, powódź skarg, wystosowywanych przez Niemców, obywateli polskich, do Ligi Narodów, na rzekomo doznawane przez nich krzywdy ze strony Polski, nie może być inaczej traktowana, jak wyraz inspiracji oficjalnych czynników niemieckich, mający na celu wytworzenie wokół naszego Państwa atmosfery niepokoju i poderwanie jego krzepnącej sytuacji w rodzinie narodów, przez zasadzenie go na ławie oskarżonych przed najwyższym trybunałem międzynarodowym. Zresztą, charakter tych skarg i fakt, że zazwyczaj są one oddalane przez Radę Ligi, jako nieuzasadnione, zdają się najzupełniej potwierdzać tę hipotezę, której do tytułu faktu poli-

tycznego brak tylko jednego, a mianowicie, by ją tak nazwać.

W danej chwili dalecy jesteście od wytaczania procesów z przyczyny takich lub innych metod polityki Rzeszy. Jest to temat najzupełniej specjalny, zakresem tej pracy nieobjęty. Chodzi nam tylko o stwierdzenie, że jeśli wokół sytuacji mniejszości niemieckiej w Polsce istnieje jakaś atmosfera niejasności, jest ona sztucznie i dla celów ściśle politycznych wytwarzana i nie ma żadnych innych celów, jak właśnie zacieranie rzeczywistości, co do której jedno mielibyśmy życzenie, by była ona rzeczywistością, gdy chodzi o sytuację mniejszości polskiej w Niemczech. Jest to, zresztą, jedyna odpowiedź, jaką dać może Polska na wszystkie zale dr. Stresemanna oraz, pozostających pod dyrektywami jego urzędu i jego rządu, organizacji niemieckich w naszym Państwie.

NA DYSTANSIE ZACOFANIA KULTURALNEGO SPOŁECZEŃSTWA ŻYDOWSKIEGO.

Sprawa mniejszości żydowskiej jest tak specjalną, że niepodobna dla niej znaleźć żadnego gdziekolwiek odpowiednika. Żydzi przeżywają dwojaki proces: 1) budzenia się ich politycznej świadomości, jako narodu i 2) wewnętrznego klasowego uwarstwawiania się, na podobieństwo wszystkich społeczeństw europejskich. Naród, przeżywający tak wczesną wiosnę, ze wszystkimi jej wybrykami, w postaci prymitywów nacjonalizmu, nie znajdującego sobie nadto normalnego ujścia w możliwości stworzenia własnego państwa; pierwocin walki klasowej i ścierania się prądów, otaczającej go zewsząd, kultury współczesnej, z zacofaniem, zabobonami i przesadami z przed wieków 20-u, — naród taki wogóle nie jest zdolny do normalnego współżycia z narodem, będącym w dobie pełnego lata swego rozwoju, w ramach państwa nowoczesnego, oświeconego, nie mogącego posuwać się za daleko w koncesjach na rzecz zacofania i stwarzać dlań, nie istniejących w żadnym z państw europejskich, przywilejów.

Znaczna część polityków żydowskich ułatwia sobie zartą walkę, toczącą się w łonie mniejszości żydowskiej, szukaniem triumfów na Polsce. Odbywa się między nimi licytacja w radykalizmie wymagań, nieprawdopodobnych często, koncesyj od Rzeczypospolitej. Biblijne pojęcie

„narodu wybranego“ jest transponowane na język polityczny w tym sensie, że żydzi winni być narodem uprzywilejowanym w Polsce, właśnie w Polsce. Nie w Anglii, nie w Niemczech, nie we Francji, ale w Polsce, dlatego tylko, że żydzi polscy są najbardziej ze wszystkich innych zacofani w rozwoju kulturalnym, najciemniejsi, najbardziej pozostający w tyle za społeczeństwem, w którym żyją, dach państwowy którego osłania ich głowy.

Ta fałszywa gra najzupełniej gmatwa obraz istotnego położenia mniejszości żydowskiej w Polsce i ten fakt, że jest ono najzupełniej poprawne, że żydzi są w naszym Państwie pełnoprawnymi obywatelami, nie doznającymi żadnych ograniczeń w kultywowaniu swojej religii, swojego języka i swojej kultury i obrzędów, nie mówiąc o jakichkolwiek ograniczeniach w swobodzie korzystania z normalnych praw obywatelskich.

Zapewne — w społeczeństwie żydowskiem przeważa jeszcze element lumpenproletariatu, owych „kupców“, żyjących z powietrza, a w najlepszym razie utrzymujących rodzinę kilkunasto-osobową z kramiku, obracającego towarami wartości kilkudziesięciu złotych, lub wychodzących każdego dnia z nadzieją, że może się uda gdzieś, na czemś, coś zarobić. Może to będzie jakieś pośrednictwo, może odniesienie worka mąki ze sklepu do dorożki, może parę cebul i ziemniaków, zebranych po zaułkach targowiska.

Dzięki uprzejmości postępowych nauczycieli żydowskich, pracujących nad wytworzeniem szkolnictwa świeckiego żydowskiego, ludzi, którzy — niech mi wolno będzie zauważyć — wzbudzili mój głęboki szacunek swoją ideową pracą, owianą bardzo szlachetną tendencją państwową, — miałem możliwość poznać to, co nazywam „chińską dzielni-

ca" w Warszawie, t. zw. „ulicę żydowską". Nie będę ukrywał, iż byłem przerażony jej tajemnicami i że moje instynkty ludzkie wyszły z tej wędrówki głęboko wstrząśnięte. Dzisiaj, w dobie kryzysu mieszkaniowego, mało co pod względem akulturalnych warunków bytowania człowieka, może nas zadziwić. Lecz tu niema mowy o kryzysie. To jest stan normalny, że rodzina, złożona z rodziców i pięciorga, sześciorga czy siedmiorga dzieci, mieszka w kącie sklepiku o powierzchni kilku metrów kwadratowych, na froncie którego rozłożona jest troszka lichego towaru. To jest stan normalny, że głowa rodziny jest takim właśnie „kupcem", mającym za sobą jedynie parę lat gnuśnienia w hederze, prowadzonym przez podobnego mu „kupca"-małamedę, nie posiadającego żadnego przygotowania pedagogicznego, żadnej wiedzy i nie mogącego nauczyć swoich uczniów niczego, poza wstrętem do pracy, do rzemiosła, a religijnym szacunkiem dla zabobonów i niechlujstwa. To jest stan normalny, że dzieci wychowują się tam w okropnych warunkach moralnych i higienicznych, że wyrastają, oczywiście, na ludzi chorowitych i słabych, niezdolnych, bo do życia normalnego niezdolnych.

Czy Polska może ponosić odpowiedzialność za ten stan masy żydowskiej, za jej, budzące najgłębsze współczucie, zacofanie i nędzę? Dzisiaj, w dobie specjalizacji, idącej od szczytów aż do głębi społeczeństw, gdy w coraz cięższej walce o byt ostać się mogą tylko ci, co przez przygotowanie specjalne mogą znaleźć zastosowanie w olbrzymiej maszynierji życia wytwórczego narodów, — czyż może marzyć o szczęściu człowiek, którego szkoła i otoczenie uczy wstrętu do rzemiosła, do specjalizacji, do przyswajania sobie wiedzy nowoczesnej?

Na szczęście, pękają chińskie mury zabobonów i zaco-

fania, otaczające ghetto żydowskie. Rozbijają je twarde nakazy życia; różniczkowanie się klasowe społeczności żydowskiej; wiedza, której siła atrakcyjna pociąga wyobraźnię młodzieży żydowskiej, a za nimi kultura nowoczesna, wyższa skala potrzeb, chęć upodobnienia się do środowiska polskiego, znalezienia z nim wspólnego języka, gdy cele i warunki życia są wspólne.

Rzeczpospolita jest zainteresowana, by ten proces postępował jaknajszybciej, by społeczeństwo żydowskie przystosowywało się w tempie energicznem do nowoczesnych warunków bytowania i wzięło udział w pracy produkcyjnej. Lecz nie jest ona władna jednym dekretem przekreślić skutków długotrwałego zacofania. Żerowanie zaś na nich ze strony różnych polityków żydowskich, nie może w żadnym razie odmienić prawdy, iż poprawa warunków egzystencji społeczeństwa żydowskiego leży w jego rękach.

W miarę postępowania tego procesu, niknąć będzie z powierzchni naszego życia t. zw. „sprawa żydowska“, wyrastająca na długim dystansie zacofania kulturalnego masy żydowskiej na ziemiach polskich, z jego skutków, a nie — jak to chcą twierdzić demogodzy reakcyjniści żydowscy — z braku uprzywilejowań społeczeństwa żydowskiego przez Rzeczpospolitą.

MNIEJSZOŚCI SŁOWIAŃSKIE I SYTUACJA ZIEM KRESOWYCH.

To, co się u nas pospolicie nazywa „sprawą mniejszości narodowych“, jest właściwie zagadnieniem ułożenia stosunków między mniejszościami słowiańskimi: Białorusinami i Ukraińcami, a Państwem Polskiem.

Pozwalam sobie twierdzić, że gdyby na rubieżach wschodnich Rzeczypospolitej, na szrokih polach Polesia, Wołynia i Wschodniej Małopolski zamieszkiwała tylko ludność rdzennie polska, to i wówczas istniałaby sprawa tych ziem, jako zagadnienie specjalne, specjalnej wymagające uwagi.

Dla jakich przyczyn?

Przyczyn jest kilka.

Pierwszą jest fakt, że jako narażone w okresie niewoli na najsilniejsze oddziaływania rosyjskie i będące obiektem długotrwałych tendencyj rusyfikatorskich, — są one najbardziej, w porównaniu z innemi naszymi ziemiami, zatrzymane w rozwoju kulturalnym; że ich życie religijne zostało zamącone przez wpływy cerkwi prawosławnej, narzucanej siłą tamtejszej ludności i prowadzącej w jej łonie politykę wewnętrznych zadrażeń; że stosunki społeczne zostały tam zaostrzone przez władze rosyjskie, stwarzające sztucznie i wygrywające antagonizm włościanstwa do szlachty, t. j. nieoświeconej masy do warstwy

oświeconej, w obawie, by nie nastąpiło między nimi porozumienie w sprawach wspólnej względem okupanta rosyjskiego polityki, i że skutki tej polityki, pod postacią ograniczeń praw obywatelskich włościan kresowych, zawisły nad życiem ludności tych ziem pod znakiem Orła Białego.

Przyczyną drugą jest, iż ziemie te, zwłaszcza Polesie, zostały najciężej dotknięte zniszczeniem wojennem, że tam wojna toczyła się najdłużej i najcięższe życiu zadała rany. Rany, szczególnie troskliwej wymagające kuracji, szczególnie wydatnej ze strony Państwa pomocy, co, niestety, nie miało miejsca poprostu z przyczyny braku należytego w tym kierunku zainteresowania ze strony rządów sejmowych, mimo, iż zwały budulca gniły w oczekiwaniu na kupców zagranicznych, że mnóstwo pieniędzy skarbowych tonęło w kieszeniach protegowanych i uprzywilejowanych spekulantów lub przedsiębiorstwach, pozostających pod protektoratem rządzących partyj, — co, oczywiście, nie mogło być ukryte przed świadomością ludności kresowej, cierpiącej dolegliwości rezydowania całymi latami w ziemiankach lub w półrozwalonych chatach, wspólnie z bydelkiem i całym żywym inwentarzem wiejskiego gospodarstwa, a nadto — jakto bywało — karanych grzywnami za brak dbałości o stan sanitarny takiego domostwa. Władza, wymierzająca grzywnę, nie zadawała sobie trudu rozstrzygnięcia dylematu, gdzie bydelko, mieszkające w jednej lepiance ze swoimi właścicielami, ma załatwiać swoje nieprzyzwoite potrzeby naturalne. Stwierdzał tylko, że jeśli czyni to w lepiance lub przed nią, ma miejsce naruszenie przepisów sanitarnych, a to musi być karane grzywnami. Oczywiście, trudno doszukać się w takim stanie rzeczy ukojenia dla nerwów obywatela i powodów do jego

zadowolenia z rodzaju okazywanej mu przez władzę państwową opieki.

Przyczyna trzecia leży w olbrzymiem oddaleniu tych ziem od centrum kraju, od oka i ucha władzy centralnej. Przy nadzwyczaj słabej sprawności instrumentu centralistycznego zarządu interesami kraju i zazwyczaj jeszcze słabszej ich znajomości u znakomitej większości ministrów, zmieniających się zresztą w kinematograficznem tempie i przeto nie poczuwających się do odpowiedzialności z tytułu posiadanej chwilowo władzy, — głosy, płynące z rubieży wschodnich, były przeważnie głosami wołającemi na puszczy. Bliższa była ich droga do miłosierdzia Bożego, niż do świadomości i woli wysłuchania przez rządy, rezydujące w dalekiej stolicy.

Oto przyczyny, dla których — według mego przekonania — sprawa urządzenia życia na ziemiach wschodnich istniałaby i wówczas, gdyby ludność ich była rdzennie polską. Zatem należy obecnie istniejący problem tych ziem, nazywany w mowie potocznej „sprawą mniejszości narodowych“, bardzo starannie rozdzielić na to, co w nim jest specyficznie związanego z faktem, iż zamieszkują je w znacznych skupieniach Białorusini i Ukraińcy, i na kompleks spraw, wyżej pobieżnie wskazanych. „szących charakter ekonomiczno - kulturalno - administracyjny, nie mających nic wspólnego z narodowością ludności tych ziem.

Wówczas okaże się, że owa „sprawa mniejszości narodowych“ nie jest bynajmniej koszmarem, jaki z niej uczyniono, a także ujawniony zostanie błąd, pospolicie u nas popełniany, wyrażający się w przekonaniu, że jakieś rozwiązanie tej sprawy, jako czysto narodowościowej, zaspoko-
i wszystkie potrzeby i aspiracje ludności ziem wschod-

nich i raz na zawsze zdejmie z bark Rzeczypospolitej wszystkie kłopoty, wynikające z tytułu ich posiadania.

Wysiłek pracy ekonomiczno-kulturalnej musi być w nie wkładany permanentnie i to na przestrzeni dłuższego czasu, niezależnie od zaspokojenia aspiracji narodowych Białorusinów i Ukraińców, które zresztą, pod względem gatunkowym, należą do rodziny aspiracji duchowych, drżemiących w sercach i umysłach wszystkich obywateli Rzeczypospolitej i nie wymagających odmiennych, pod względem formy, metod ich satysfakcjonowania.

OD GROŹBY BATA DO SZEROKICH PRZYWILEJÓW.

Nastrój trwożliwy, w odniesieniu do tej kwestji, ma dodatkowe źródło w fakcie, iż skupienia naszych mniejszości słowiańskich znajdują się na pograniczu sowieckiem, w orbicie przeżywającej fazy wzrastania i słabnięcia agitacji III-ej Międzynarodówki, w bezpośrednim sąsiedztwie—licytacyjnych w stosunku do Polski—eksperymentów rządu sowieckiego, obdarzania pozornymi swobodami i wolnościami Białorusinów i Ukraińców, pozostających na terytorjach rzekomego Związku rzekomych Republik Sowieckich.

Z nastroju tego zrodziły się dwie koncepcje t. zw. „rozwiązania“ sprawy mniejszości narodowych. Jedna z nich poczęła się w łonie myślicieli Narodowej Demokracji, druga wysunięta została przez P. P. S.

Pierwsza z nich widzi w Białorusinach i Ukraińcach żywe niebezpieczeństwo, zawieszone nad Rzeczpospolitą i jedyny przed niem sposób ratunku upatruje we „wzmocnieniu żywiołu polskiego na kresach“, przyczem nie określa bliżej, jak to ma być uczynione, na czem to „wzmocnianie“ ma polegać.

Druga zaś domaga się autonomji terytorjalnej dla słowiańskich mniejszości narodowych i pozostawia żywioł polski, z niemi przemieszany, swojemu losowi.

Obydwie te koncepcje noszą na sobie wyraźne piętno

trwogi, z jakiej zostały zrodzone, przyczem pierwsza idzie po linii próby łamania rzekomego niebezpieczeństwa, a druga—powolnego rozbrajania go, rozładowywania, jak nabitego elektrycznością akumulatora.

Nic zatem dziwnego, że obydwie obciążone są kardynalnymi błędami, odbierającymi im wszelką wartość praktyczną, błędami, które mogłyby wprowadzić Rzeczpospolitą w kłopoty o nieobliczalnych następstwach.

Narodowa Demokracja buduje podstawę dla swego pomysłu, a raczej dla zwolnienia się od obowiązku myślenia i działania, z nieuznawania faktu istnienia odrębności narodowych Białorusinów i Ukraińców, względnie uważa je za nieszczęście Rzeczypospolitej, z którem należy walczyć, w drodze „wzmacniania“ żywiołu polskiego. Nie wydaje się jednak, by wierzyła ona w możliwość zlikwidowania odrębności tych mniejszości przez nacisk w kierunku spolonizowania ich, gdyż nigdy w ten sposób wyraźnie sprawy nie postawiła, a z drugiej strony nie podniosła protestu przeciw poczynionym przez rządy pomajowe tym mniejszościom słusznym ustępstwom w dziedzinie szkolnictwa, twierdząc tylko, że poszły one za daleko, godząc rzekomo w jej zasadę „wzmacniania“ żywiołu polskiego.

Idąc zatem do końca po wichrowatych liniach tej koncepcji, znajdziemy, iż nie prowadzi ona do żadnego rozwiązania sprawy. Ani wojna, ani pokój! Jest groźba pójścia drogą siły, która — z teoretycznego punktu widzenia — oczywiście, jest do pomyślenia, pod warunkiem konsekwentnego poparcia groźby czynem. Lecz w danym wypadku nie znajdujemy żadnego śladu tej konsekwencji. Przeciwnie, N. D. godzi się ostatecznie na ustępstwa, czyli, inaczej mówiąc, proponuje Polsce, by wetknęła mniejszościom słowiańskim do ręki bat na siebie: drażniła je

groźbami terroru po to, by mieć satysfakcję głębokiego cofania się przed buntem, przez te groźby wywołanym.

Trudno, zaiste, dopatrzyć się w tym pomyśle śladu dojrzałej myśli politycznej — dobrej czy złej — ale skończonej.

Jest w nim jeden tylko moment, naogół traktowany u nas, zwłaszcza w środowiskach radykalnych, nader wstydliwie, a niewątpliwie słuszny i który wyraźnie podkreślony być winien, — a mianowicie konieczność dbałości o żywioł polski, rozrzucony w skupieniach białoruskich i ukraińskich. Gdy się myśli o zadośćuczynieniu aspiracjom kulturalnym tych mniejszości, jest obowiązkiem Państwa Polskiego pomyśleć również o losie Polaków. Objawy likwidowania się tego żywiołu na ziemiach wschodnich, jakie mieliśmy możliwość obserwować, nie są zdrowe i należy im zapobiegać, a to z przyczyny, iż w przeciwnym razie upośledzonymi w Polsce okażą się Polacy, a nadto w ten sposób zmniejsza się teren wzajemnego zżywania się narodów, związanych wspólnotą państwową, co nie leży ani w naszym, ani tych mniejszości, głębiej pojętym, interesie, zwłaszcza, gdy się patrzy nieco dalej w przyszłość.

Tego momentu brakuje koncepcji socjalistycznej, posiadającej sympatię innych stronnictw lewicowych, nie dostrzegających, iż wychodzi ona z kardynalnie błędnego założenia, kryjącego w sobie wielkie niebezpieczeństwo dla całości Rzeczypospolitej.

Socjaliści żądają autonomji terytorjalnej dla mniejszości słowiańskich.

Co to znaczy?

Znaczy to, iż pewne ziemie Rzeczypospolitej mają być postawione w zupełnie specjalną sytuację ustrojowo-prawną, w porównaniu z całością terytorjów Państwa,

dlatego, że ludność ich jest niepolską. Że pewna część obywateli ma otrzymać specjalne prawa i przywileje, w porównaniu z olbrzymią większością obywateli, dlatego, że ta część składa się nie z Polaków.

Od groźby bata N. D. do szerokich przywilejów, ofiarowywanych przez P. P. S., — oto skala polskiej fantazji!

Niepodobna wyjść z podziwu, że partja, której przedstawiciele brali udział w rządzeniu Państwem i która może w przyszłości dźwigać współodpowiedzialność za jego losy, a więc partja, posiadająca w swem łonie ludzi władzy, — może ryzykować wystąpienie z projektem stwarzania w łonie Państwa specjalnych sytuacji ustrojowo-prawnych dla ziem specjalnych, jak gdyby dla sprowokowania argumentu, że w ten sposób uznało ono zmniejszone swoje tytuły do zarządzania niemi i że zatem sam fakt ich przez nie posiadania, może być uznany za przedmiot dyskusji. A projekt ten przecież zawiera inne jeszcze niebezpieczeństwo, a mianowicie wywołania wrażenia w społeczeństwie polkiem, że Państwo jego ma służyć wygodzie i szczęściu wszystkich innych, tylko nie jego, albowiem dla niego przywileju autonomji terytorjalnej P. P. S. nie projektuje.

Państwo nowoczesne może urządzać swoje życie wewnętrzne w każdy, dogadzający jego obywatelom, sposób. Mogą to być stany sfederowane, jak w Ameryce, kantony, jak w Szwajcarji, państwa związkowe, jak w Rzeszy niemieckiej, czy wreszcie województwa autonomiczne, jak to proponujemy dla Polski. Nie pragnę twierdzić, by każda z wymienionych form ustrojowych pasowała do rzeczywistości polskiej. Jedno jednak—w mojem przekonaniu—jest pewne, a mianowicie, że nie wolno w żadnym wypadku opierać państwa o ustrój mieszany, dla różnych części jego

terytorjów różny i w ten sposób rozbijać jego jednolitości, złośliwie jakichś przedziałów pomiędzy poszczególnymi jego częściami, które z biegiem czasu mogą wprawdzie zarastać, lecz mogą się także i pogłębiać, czego niebezpieczeństwo, w warunkach zewnętrznych otaczających Polskę, wydaje się być bardziej realne od optymistycznych nadziei.

Już konieczność nadania autonomji województwu Górnośląskiemu była sygnałem, wzywającym do rozpatrzenia zagadnienia organizacyjnego dla całego Państwa. Autonomja ta jednak była naogół traktowana, jako konieczność stanu przejściowego tej ziemi między sześćsetletnią niewolą a powrotem do macierzy, i w ustawie przejściowej jej charakter został wyraźnie zaznaczony, termin jej trwania określony na lat 15.

Gdyby jednak, idąc za sugestją P. P. S., Rzeczpospolita obdarzyła autonomją terytorjalną słowiańskie mniejszości narodowe, — fakt zróżniczkowania jej terytorjów pod względem ustrojowym byłby dokonany. Od tej chwili zaczęłyby się konieczność obrony przed jego skutkami, zarówno na arenie międzynarodowej, jak i we własnym domu.

POLSKA MUSI ZACZĄĆ GRAĆ SWOJĄ DZIEJOWĄ ROLĘ.

Krytyka takiego rozwiązania sprawy nie oznacza bynajmniej biernego do niej naszego ustosunkowania się i chęci uprawiania polityki oczekiwania, aż w jakiejś niesprzyjającej nam sytuacji międzynarodowej zostanie ona podjęta przez czynniki zewnętrzne, które — któż odgadnie przyszłość? — mogą podjąć próbę powrócenia do dawnych usiłowań narzucenia nam form jej załatwienia. w sposób, któryby wytwarzał sytuacje specjalne dla ziem specjalnych w naszym Państwie, co znajdowałoby obecnie znaczne ułatwienie w projekcie socjalistycznym, z identycznego wychodzącym założenia.

Obawa, iż sprawa ta mogłaby się stać piłką w rękach II-ej Międzynarodówki, gdyby w pewnej chwili socjaliści zachodnio-europejscy doszli do dużego wpływu na politykę Ligi Narodów, a co stałoby się faktem w wypadku osiągnięcia władzy w Anglii przez Labour Party,—wydaje się być całkiem realną i skłaniającą do brania jej w rachubę. Ponieważ zaś Polska, w jej specyficznym położeniu, w żaden sposób nie może dopuścić do tego, by jej sprawy wewnętrzne stały się przedmiotem rywalizacyjnej gry między II-ą i III-ą Międzynarodówkami, musi ona sama, swoim własnym, „burżuazyjnym“ rozumem stanu, który na razie musi jej wystarczać, rozwiązać swoje problemy wewnętrzne, by przestały one wreszcie być ową, posiadającą je-

dynie tytuł, niezapisaną książką, w której każdy przecho-dzień uważa się za powołanego wpisać swoje „złote“ myśli.

Tem rozwiązaniem sprawy „mniejszości narodowych“ jest, proponowana przez socjalistów, autonomia terytor-jalna, pod kapitalnym warunkiem, że będzie ona stanowić system organizacyjny dla całego Państwa i że zatem, na-leżycie określone pod względem terytorjalnym, wojewódz-twa wschodnie, otrzymają ją razem z wszystkimi pozo-stałymi województwami.

To rozwiązanie wytworzy na peryferjach wschodnich Państwa nowe centra życia, względnie ożywi martwą dotychczasowych, których znaczenie będzie rosło w miarę tężenia instytucji sejmów wojewódzkich i które staną się centrami zainteresowania i oddziaływania na te ziemie, nie odczuwające żadnych wpływów dalekiej Warszawy, będącej dla nich dźwiękiem jeno, mitem, legendą, zwią-zaną z pojęciem kuźni wszelkich biurokratycznych dole-gliwości i kłopotów życia.

W obecnym stanie rzeczy, byłoby grubym błędem przy-pisywać specjalnie wrogiemu stosunkowi Białorusinów i Ukraińców polskich do Rzeczypospolitej ich zaintereso-wania centrami życia, znajdującymi się w pasie przygra-nicznym terytorjów naszego wschodniego sąsiada. Wogóle byłoby znacznie rozumniej, gdyby Polacy zużywali mniej imaginacji na stwarzanie sobie wrogów wewnątrz Państwa, a więcej wysiłku wkładali w badanie obiektywnych przy-czyn przejawów niezadowolenia czy błędzenia takiej lub innej grupy swoich współobywateli.

W danym wypadku nie może być mowy o wrogości. Jest to wynik tego ujemnego zjawiska, iż w Polsce wogóle, a na jej ziemiach wschodnich w szczególności, za mało jest centrów życia politycznego, gospodarczego i kultu-

ralnego; że wadliwe nastawienie na jedno centrum — stolicę, powoduje zaniedbanie centrów regionalnych, z najwyższą szkodą dla tempa rozwojowego Rzeczypospolitej i dla konsolidacji myśli obywatelskiej. Trudno w tych warunkach dziwić się, iż dla ziem kresowych wschodnich nabierają siły atrakcyjnej centra, położone w ich pobliżu, choć poza granicami Państwa, zwłaszcza, iż władze sowieckie i III-a Międzynarodówka starają się wywołać wrażenie, iż w centrach tych pulsuje życie narodowe ludności naszych ziem wschodnich.

Gdy analogiczne centra wytworzone zostaną po tej stronie granicy, na obszarze Rzeczypospolitej, — nie ulega wątpliwości, iż staną się one siłą atrakcyjną nie tylko dla Białorusinów i Ukraińców obywateli polskich, lecz i dla ich współbraci z poza kordonu, którzy szybko odczują różnicę między uczciwością dążeń Rzeczypospolitej, a fałszem politycznych i beznadziejnością ekonomicznych warunków ich obecnej egzystencji.

Wówczas dopiero Polska zacznie grać swoją dziejową rolę.

VIII.

NASZE PROBLEMY WEWNĘTRZNE ORAZ WARUNKI
I ZADANIA ZEWNĘTRZNE.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

NARASTAJĄCA FALA PANGERMANIZMU U BRZEGU POLSKIEGO.

Chociaż formy organizacyjne państwa muszą niewątpliwie wyrastać z jego treści wewnętrznej, z charakteru jego walorów materialnych i duchowych, mniemam, iż w specyficznych warunkach polskich koniecznem jest poddać je sprawdzeniu z punktu widzenia właśnie owych zewnętrznych warunków naszego bytowania państwowego i ustalić, czy i w jakim stopniu czynią one zadość potrzebie odegrania przez Rzeczpospolitą — w tych warunkach — jej roli dziejowej, zdobywania swego stanowiska mocarstwowego i znaczenia w świecie.

Słusznie mógłby ktoś zapytać: dlaczego tę metodę sprawdzania swych form ustrojowych winna stosować specjalnie Polska?

Otóż, jeśli, zastanawiając się nad odpowiedzią na tak sformułowane pytanie, ogarniać będziemy spojrzeniem Europę Zachodnią, nie znajdziemy tam państwa, któreby znajdowało się w podobnych do naszych warunkach wewnętrznych.

Którekolwiek z tych państw weźmiemy za przedmiot badań z tego punktu widzenia, stwierdzimy łatwo, iż naogół znajduje się ono w stabilizowanych warunkach wewnętrznych. Nie chcę przez to powiedzieć, by stosunki sąsiedzkie wszędzie należały do idyllicznych, by nie istniały różnice dążeń i interesów między narodami starego

kontynentu — słowem, by jakimukolwiek państwu brakło powodów do odczuwania obaw o przyszłość. Lecz nie zmienia to w niczem faktu, iż na tych przestrzeniach starego kontynentu zamieszkują narody o wykrystalizowanych procesach wolnościowych, zajmujące naogół bezsporne terytoria, stanowiące ich państwa i że pod tym względem nie można tam oczekiwać nowych objawień i przesunięć, któreby mogły zachwiać istniejącym układem stosunków i zmienić mapę polityczną tej części świata. Może tu wchodzić w grę jedynie czynnik mechaniczny, czynnik siły — jakim jest wojna, zjawisko, którego prawdopodobieństwo nie zaprzecza faktowi istnienia stabilizacji aktualnego układu politycznego.

Wypada nadto zauważyć, że i pod tym względem — niebezpieczeństwa wojny — Europa Zachodnia znajduje się w bardziej obliczalnych od Wschodniej warunkach, z przyczyny głównej, tak powszechnie widocznej i rozumianej, że nawet jej tu nazywać z imienia nie trzeba, a także i z przyczyn dodatkowych, wśród których na pierwszym miejscu wymienić by należało uroczyste wyrzeczenie się przez Niemcy kierowania ich uczuć agresywnych w kierunku zachodnim, ku terytorjom Francji i Belgii.

Te wszystkie warunki stabilizacji zewnętrznych warunków bytowania nie są udziałem Wschodniej Europy, a zatem — w pierwszym rzędzie — centralnego jej ośrodka, jakim jest Polska.

Społeczeństwo polskie z najwyższą czujnością i usprawiedliwionym niepokojem śledzi przejawy bojowego fermentu nacjonalizmu niemieckiego, kierującego się przeciw stałości obecnego układu terytorjalnego polsko-niemieckiego, występującego pod hasłem „rewizji granicy“ polsko-niemieckiej, wymieniającego ziemie polskie, do których

rości on sobie pretensje — i co gorsza — znajdującego oddźwięk w nienacjonalistycznej części społeczeństwa niemieckiego, z różnemi jeno zastrzeżeniami co do metody, lecz nie treści, oraz w wystąpieniach oficjalnych czy tylko miarodajnych przedstawicieli polityki Rzeszy.

Wzbierająca fala pangermanizmu, próbująca posuwać się w kierunku wschodnim, przez podmywanie — narazie psychicznego — fundamentu pokoju, by osiągnąć dawne swoje i zniszczone przez skutki wojny, marzenie o połączeniu się z Rosją, — przesłania niewątpliwie horyzont pogody politycznej i zmusza do nieustannej troski o umacnianie brzegu polskiego, który podmyć się sili ta fala złośliwa.

Nie wdając się w wizjonerstwo na temat przyszłych losów tej fali i przeto nie zaprzeczając, iż może ona wywołać konieczność zawrócenia jej siłą, — pragnę jednak dać wyraz przekonaniu, iż nie tu, nie z tej strony otacza nas najwyższa płynność warunków zewnętrznych egzystencji państwowej i że nie na zachodniej stronie zakopany został przez los złoty klucz do Polski wielkości i dziejowej roli, który raz w przeszłości został odnaleziony przez Jagiellonów, a i w naszych czasach znajdował się już w rękach Piłsudskiego, jeno, że, wyczerpani długotrwałą niewolą i znękani wojnami, utrzymać go — na razie — trwale nie zdołaliśmy.

Pangermanizm, zaborcze instynkty niemieckie i dążenie ich do polykania cudnych terytorjów, w parę chwil za ledwie po ukończeniu straszliwej rzezi, przez te instynkty niemieckie spowodowanej i ustaleniu, jako jej wyniku, nowego statutu terytorjalnego Europy, — nie jest bynajmniej zjawiskiem obojętnem całemu światu, zwłaszcza mocarstwom europejskim. Dziwaczna naiwność natury

niemieckiej, wyrastająca z prymitywizmu jej odczuć, reakcji i metod działania, skłania ją do zapuszczania się w krainę złudzeń, iż oficjalne wyrzeczenie się przez pangermanizm ekspansji na Zachód, przekreśla fakt istnienia międzynarodowej solidarności interesów państw europejskich, w odniesieniu do zagadnienia równowagi sił i pokoju, — że zatem, po układach lokarneńskich, Polska została rzucona na pożarcie wężowi pangermanizmu, tytułem słusznej nagrody za wielce bombastyczne i irytujące świat cały metody ciągłego straszenia swoich kontrahentów, stosowane przez Niemcy w polityce międzynarodowej.

Niemcy przeżyli i przeżyją jeszcze wiele rozczarowań z powodu tego prymitywizmu swoich wyobrażeń i metod działania, jakiegoś dziwnego przeświadczenia o piorunującej sile stosowanych przez nich gróźb, uważania się za ludzi wyższego od wszystkich innych gatunku, za naród wybrany, przed którym gną się same kolana innych narodów. Jedno z takich głębokich rozczarowań wypadnie im przeżyć, gdy ujawniona przez p. dr. Schachta, na kwietniowej konferencji ekspertów finansowych w Paryżu, gorączkowość w realizowaniu marzenia o posuwaniu się na wschód kosztem Polski, nie zostanie w porę powstrzymana i zlikwidowana.

W przeciwnym bowiem razie będzie się ona musiała rozbić o dwie siły oporowe: 1) solidarność interesów państw europejskich w zachowaniu obecnej równowagi sił, która zostałaby zburzona przez fakt rozrastania się Niemiec kosztem ziem polskich, i pokoju, nie dającego się pomyśleć z chwilą nadania próbie pójścia w tym kierunku kształtów realnych i 2) — stanowczą solidarność i zdecydowaną wolę Narodu Polskiego niedopuszczenia do ja-

kiegokolwiek i jakkolwiek pozorowanego zamachu na terytorja Rzeczypospolitej, co, oczywiście, przekreśla wszelkie perspektywy powodzenia nadziei niektórych niemieckich polityków zrealizowania nowej próby rozbioru Polski w drodze manewru dyplomatycznego, nie powodującego dla Niemiec konieczności stanięcia wobec otwartej próby złamania siłą: 1) — siły odpornej narodu, który bynajmniej nie poczuwa się do żadnej niższości wobec narodu niemieckiego, oraz 2) — solidarności państw europejskich, którą zaktywizuje tego rodzaju sytuacja i zmusi do działania w obronie równowagi sił i pokoju.

Dla tych przyczyn — nie zamykając oczu na możliwość wywołania przez nią zamętu i na permanentnie szkodliwe jej skutki, pod postacią utrudniania stosunków sąsiedzkich polsko-niemieckich, — nie jestem w stanie dopatrzeć się na fali pangermanizmu pióropusza zwycięstwa, pod warunkiem, iż proces konsolidacji i gospodarczego rozwoju Rzeczypospolitej postępować będzie krokiem różnym i że nasza dyplomacja i prasa i parlament pracować będą zgodnie nad uświadomieniem w opinii świata tej prawdy, iż tu najświętsze prawo narodów i sprawiedliwości dziejowej przeciwstawia się próbom gwałtu, których ani prowokowało, ani pragnąć może.

Rozpraszenie wszelkich niejasności, wytwarzanych na świecie wokół zamysłów zaborczych przez propagandę niemiecką, — jest naszą koniecznością, a to w imię potrzeby stwarzania czystej i jasnej atmosfery dla wymiaru sprawiedliwości, dokonywanego się w sumieniach milionów obywateli świata, stanowiących opinię publiczną, — najwyższy trybunał regulacji spraw tej ziemi.

NA TERENACH WULKANICZNYCH WULKANICZNE ZYJĄ PROCESY.

Mówiąc o płynności rzeczywistości politycznej, rozlewającej się poza granicami Rzeczypospolitej, — wszyscy zgodnie kierujemy oczy na Wschód, na olbrzymi kocioł procesów socjalnych, politycznych i narodowościowych, nakryty pokrywą Związku Republik Sowieckich, kocioł, z którego wydobywają się co chwila pomruki i płomienie groźnych buntów i strumienie gaszącej je krwi; — łabędzie śpiewy zduszonych przemocą narodów, zawodzące tęskne psalmy do uwięzionej w lochach czczewyczajek wolności; — podniosłe hasła o szczęśliwości ludu pracującego i jęki głodujących milionów proletarjackich, bezdomnych i wydanych rozpuście i zagładzie dzieci, pohańbionych i sprostygowanych kobiet; — groźby imperjalistycznych wojen i wypuszczenia rozbestwionych instynktów niszczycielskich na okopy kultury europejskiej, ciągnące się tragiczną linią wiecznego niepokoju od Bałtyku po morze Czarne, wzdłuż opłotków cichych i pracowitych narodów Bałtyckich, Polski i Rumunji.

Kocioł paradoksów, sprzeczności, fantastycznych eksperymentów utopijnych—o mesjanistycznym zabarwieniu—marzycieli, z duszami chuliganów i „opryczników“ Iwana Groźnego; kocioł, na który nałożone zostały potężne obręcze fantastycznego w bezwzględności i okrucieństwie ter-

roru, by uchronić go przed rozsadzeniem siłą prężności skondensowanych w jego wnętrzu elementów wybuchowych!

Kocioł olbrzymich konfliktów duchowych, kulturalnych, ekonomicznych i narodowościowych!

Kocioł paradoksów między ultra modernizmem doktryn i haseł rządzącego nim *regime'u*, a fantastycznie zacofaną jego rzeczywistością materialną i duchową, niezdolną do wchłonięcia potężnego ładunku tego modernizmu, pozbawionego zresztą wartości życiowych i przeto usiłującego, bez pozytywnych rezultatów, zgwałcić tę rzeczywistość — na starą rosyjską modłę — bagnietem, oszukać frazesem, zmusić do milczenia strachem.

W danej chwili nasz stosunek osobisty do tego kotła i jego treści, — jest bez znaczenia. Ocena wartości doktryny ustrojowej, obecnie w Rosji panującej i jej wyrazu w praktyce życia, stanowi wielce interesujące i pouczające zagadnienie samoistne, z biegiem myśli — przyświecającej tej pracy — nie związane. Nie pragniemy też bynajmniej potępiać lub pochwalać bolszewizmu i jego twórców, — ponieważ: 1) są oni tylko naturalnym etapem w łańcuchu przejawów płynności i paradoksalności rzeczywistości rosyjskiej i żywym dowodem jej nieobliczalności, oraz 2) decydującą wartość posiada dla nas obiektywna prawda, stan faktyczny, a nie nasz do niej stosunek.

Wypada przedewszystkiem zauważyć, że *régime* bolszewicki kształtuje się całkowicie na modłę swego poprzednika, *régime'u* carskiego. Odwrócił on tylko do góry podstawą piramidę uprzywilejowań, wytworzoną przez carat. Co było u szczytu, poszło na sam jej spód, — doły wypłynęły ku górze. Lecz istota rzeczy pozostała bez zmiany: ten sam absolutyzm uprzywilejowanej przez posiadanie

władzy grupy, rządzącej siłą i terrorem, znacznie tylko zaostrzonym; ta sama wszechwładza biurokracji, wytworzonej z szeregów wczorajszych rewolucjonistów z przydatkiem t. zw. „speców”; ten sam bezwzględny centralizm, mimo najzupełniej fikcyjnych pozorów autonomji narodowościowej; ta sama idea imperjalistyczna rosyjska, oparta na bagnecie, próbująca zabić nim odradzającą się Polskę, penetrująca głęboko w Azji, na olbrzymich terytoriach chińskich, na dalekim Wschodzie, w Indjach, próbująca utopić w przewrocie bolszewickim Państwa Bałtyckie i wehłonać je pod znaną czerwoną gwiazdę, grożąca Rumunii.

W pierwszej fazie swego panowania, ideolodzy bolszewizmu i jego twórcy usiłowali rozpaścić w Moskwie wielki, ognisty słup idei socjalnej sprawiedliwości i szczęścia mas pracujących, któryby stał się siłą atrakcyjną dla narodów, — przedewszystkiem b. Imperjum, a poprzez nie i dla narodów europejskich, zwłaszcza, że, według ówczesnego przekonania tych ideologów, tak zwana ideologia burżuazyjna przeżyła się już, i że zarzewie jej z łatwością miało być przyćmione przez ognisty słup, unoszący się nad nowym Jeruzalem — Moskwą.

Niewątpliwie, pojawienie się na scenie dziejowej zwycięskiego bolszewizmu, wywołało olbrzymie wrażenie w świecie, w pewnej mierze zbliżone do oczekiwanego przez zwycięzców. Złożył się na to moment psychiczny, a mianowicie znękanie świata wojną, dojrzały w duszach ludów Imperjum bunt przeciw caratowi i brawura, z jaką zwycięzcy ofiarowywali szczęście szerokim masom proletariackim i ludowym, na tle rzeczywistości wszędzie wówczas ponurej, zapewniając je, iż wystarczy rozstrzelać przedstawicieli burżuazyjnego *regime'u*, by wraz z nimi odeszły do grobu wszystkie skutki wojny.

Lecz twarde prawa życia poczęły szybko pochłaniać złudzenia i ognisty słup atrakcyjny nad Moskwą począł coraz bardziej maleć i błednąć.

Rewolucjonizm ekonomiczny — socjalistyczny raj spokojnego i dla wszystkich równego dosytu — został rozbity w perzynę przez ekonomiczne skutki rewolucyjnego zniszczenia i eksperymentów. Nigdy zdrowy, rozchybotany przez wojnę, powalony przez rewolucję,—organizm gospodarczy Imperjum odmówił dostarczenia warunków dla stworzenia ekonomicznego raj, według recepty bolszewickiej. Przeciwnie. Postawił zwycięzców wobec tragicznej rzeczywistości: wynędznienia kraju, zamknięcia przez wieś dowozu produktów rolnych do miast, obniżenia się stopy życiowej ludności do poziomu prymitywizmu potrzeb z przed paru stuleci, zamarcia warsztatów przemysłowych — słowem, wobec nędzy rzekomo zwyciężkiego proletariatu, nędzy, która, naturalnym rzeczą porządkiem, poczęła łapczywie konsumować jego wiarę w obietnice wodzów bolszewizmu, gasić w jego oczach ognisty słup nad Moskwą.

Rewolucjonizm ekonomiczny nie tylko zawiódł oczekiwania jego twórców, lecz w skutkach swych zwrócił się przeciw nim i począł konsekwentnie spychać ich ku Cannossie.

Bolszewizm nie ogarnął Europy, a następnie poniósł klęskę w próbie ogarnięcia Chin i Dalekiego Wschodu. Zamknięty — z całym bagażem odrębności swych doktryn i metod i zwyczajów, z rewolucyjnym lekceważeniem wszystkich podstaw etycznych i prawnych współżycia i kolaboracji narodów i państw — w granicach Rosji, bolszewizm i pozostające pod jego władzą Państwo, znaleźli się w ścisłej izolacji od całego świata. Wymiana towarów

ustala, ponieważ zabrakło jej podstaw, wobec przekreślenia przez bolszewizm burżuazyjnej solidności kupieckiej. Stosunki finansowe nie mogły być — mimo wysiłków rządu sowieckiego — nawiązane, ponieważ zagadnienie to sprowadzało się zawsze do żądania przez ten rząd znacznych kredytów pieniężnych od bankierów świata, a kredyty te nie mogły być udzielone państwu, którego płynność treści wewnętrznej i niesolidność na zewnątrz, wykluczały możliwość zaistnienia jakiegokolwiek doń zaufania.

Stało się jasnym, że — nie mogąc żyć w izolacji — *regime* sowiecki musi ewoluować po linii zbliżenia się pod względem treści i formy ekonomicznej, ku panującej na całym świecie treści i formie burżuazyjnej, i że jego rewolucjonizm ekonomiczny musi być pogrzebany. Wprawdzie III-a Międzynarodówka czyniła rozpaczliwe wysiłki uniknięcia tej klęski, przez wzmocnienie agitacji rewolucyjnej w Europie i szukanie zwycięstwa w Chinach, dyplomacja zaś sowiecka wkładała wiele energji w rozbicie frontu państw burżuazyjnych, jeśli chodzi o stosunek do dzisiejszej Rosji, by przez uprzywilejowanie w stosunku do rynku rosyjskiego Niemiec, zmusić do ustępstw b. Aljantów, a zwłaszcza Anglję, lecz takie, czy inne chwilowe sukcesy dyplomacji sowieckiej, przy akompanjamencie całkowitej klęski akcji III-ej Międzynarodówki, nie mogły ocalić bolszewickiego rewolucjonizmu ekonomicznego.

Przegrał on na całej linii. NEP, NEONEP i tego modernizacje, — to są etapy odwrotu generalnego od utopji i stojącego na jej straży terroru, ku przystani praw ekonomicznych i reguł ustroju kapitalistycznego świata. Nie udało się go złamać, trzeba mu się poddać, — takie jest prawo walki. Jak trzeba się poddać konserwatyzmowi

„kułaka“ rosyjskiego, mimo, iż kapitulacje te gaszą, wśród mas proletariackich świata i narodów Z. S. R. R., resztkę siły atrakcyjnej bolszewizmu, jako nowej idei ekonomicznej, mającej usunąć z powierzchni życia złe strony ustroju kapitalistycznego. *Régime* sowiecki strzelał już zresztą, nie gorzej od carskiego, do strajkujących robotników — legenda została zabita, złudzenia prysły.

Rewolucjonizm polityczny bolszewizmu został, w nie-równie szybszem od ekonomicznego tempie, pochłonięty przez stary imperjalizm rosyjski, który nie doznał żadnego szwanku przez fakt zmiany jego strażników i piastunów, przez rozstrzelanie wszystkich, którzy się uważali za spadkobierców jego twórców i wykonawców ich testamentu.

Bolszewizm zjawił się politycznie jako idea związku wolnych narodów, wolnych i samodzielnych państw, regulujących pokojowo swe stosunki wzajemne, układających je permanentnie i po linii unikania konfliktów, — jako koncepcja rozwiązania dylematu wieczystego pokoju, mającego trwale oparcie w sprawiedliwości społeczno-ekonomicznej życia wewnętrznego narodów i sprawiedliwości ich stosunków wzajemnych.

Wydaje się, iż gdyby rewolucjonizm ekonomiczny bolszewizmu zdołał ostać się w zetknięciu z życiem i istotnie wytworzyć nowe podstawy organizacji ekonomicznego życia ludzkości, — jego rewolucjonizm polityczny, byłby się mimo to złamał.

Dlaczego?

Przedewszystkiem dla tego, że Socjał - Demokraci i późniejsi bolszewicy opierali całą swą filozofję polityczną na negowaniu pierwiastków narodowych w duszy ludzkiej. Że zatem nie rozumieli lub chcieli nie rozumieć ich siły, dążyli do neglizowania, wyćwiczyli się w sztuce ich lekcewa-

żenia. Byli oni zatem ostatnimi ludźmi, którzy mogli przystępować do realizacji hasła wolności ludów. Jeśli polscy Socjal - Demokraci uważali, iż dążenie do niepodległości Polski jest zbrodnią z punktu widzenia ich sposobu pojmowania szczęścia narodu Polskiego, które upatrywali w międzynarodowej rewolucji socjalnej, — trudno było oczekiwać, by ich rosyjscy towarzysze w istocie marzyli o niepodległości Polski, Łotwy, Estonji, Ukrainy, Gruzji i t. d. — narodów zduszonych przez carat.

Bolszewicy wywiesili wprawdzie sztandar wolności ludów b. Imperjum rosyjskiego. Lecz natychmiast wystąpili oręcznie przeciw Polsce, by siłą narzucić jej swoje pojmowanie wolności i poddać ją swojemu zwierzchnictwu.

Wprawdzie terytorja, zamieszkiwane przez poszczególne narody, pozostające w granicach Rosji, zostały wydzielone w rzekomo autonomiczne jednostki administracyjne i nawet otrzymały nazwy Republik samodzielnych. Lecz wolność Gruzji została złamana siłą oręża, a wszelkie naturalne przejawy dążeń wolnościowych pozostałych narodów, były tłumione krwawo, jako przesady burżuazyjne i zbrodnia kontrrewolucji, albowiem twórcy bolszewizmu uznawali tylko o tyle zasadę wolności, o ile dawała ona wzmocnienie ich władzy, t. j. jako podjęte dla mas proletarjackich do przyjęcia doktryny bolszewickiej, przepisującej rewolucyjne rozstrzygnięcie sporu z przeciwnikami klasowymi.

Zrozumieli oni szybko, że rozbudzone przez nich aspiracje wolnościowe narodów b. Imperjum nie zatrzymają się, aż u celu marzeń narodowych, nie klasowych,—u wrót istotnej wolności politycznej, t. j. samodzielności państwowej. Tymczasem imperjalizm III - ej Międzynarodówki, zaaplikowany na Rosji, pokrył się najzupełniej z imperja-

lizmem rosyjskim. — jej internacjonalizm, z nacjonalizmem rosyjskim. Wręcz niemożliwością jest rozdzielenie dzisiaj tych pierwiastków w polityce rządu sowieckiego. a co ważniejsze, nie posiada to żadnego znaczenia czy aspiracje wolnościowe narodów, wchodzących w skład Związku Republik Sowieckich, tłumione są w imię walki z rzekomym ich nacjonalizmem, czy obrony świętości praw zaborczych nacjonalizmu rosyjskiego.

Dla słusznej oceny rzeczywistości wystarczy fakt, że rewolucjonizm polityczny *regime'u* bolszewickiego został przekreślony przez jego twórców, i że idea „jedynej i niepodzielnej” Rosji, przeszła triumfalnie przez morze rewolucji i powróciła, skąd rzekomo została wygnana, — pod dach państwowości rosyjskiej.

Od tej chwili siła atrakcyjna bolszewizmu — już nietylko dla narodów europejskich, lecz i dla Związku Republik Sowieckich — przestała istnieć. Ognisty słup wielkich nowych idei, rozpalony nad Moskwą, okazał się złudzeniem optycznym, dziś całkowicie rozwianem. Pozostało na jego miejscu mauzoleum Lenina i gromada uwijających się wokół niego, zwalczających się, demagogów, ożywionych jedynym celem, — utrzymania władzy w swoim ręku i porażających się ze zniszczeniami dokonanymi przez rewolucję, stojącymi na przeszkodzie w urządzeniu znośnego chociażby życia burżuazyjnego, wyjścia z izolacji ekonomicznej i finansowej, usprawiedliwienia swojej egzystencji politycznej w oczach obywateli sowieckich.

NASZE ZADANIE W ODWIECZNEJ PUSTCE IDEOLOGICZNEJ.

I znów na wielkich przestrzeniach najbliższego nam Wschodu, zapanowała odwieczna pustka ideologiczna, — po zgaśnięciu złudnego płomienia, powrócił przygnębiający, ponury mrok, wśród którego rozlegają się nawoływania czerwonych sztyldwachów rosyjskiego imperjalizmu, stojących na straży kotłujących się w duszach ludzkich aspiracyj do lepszego życia, do wolności, do sprawiedliwości i szukających dla siebie w tej ciemni i na bezdrożach, jakiegoś ujścia, jakowegoś słusznego zadośćuczynienia, — mimo czy wbrew wymierzonemu w nie bagnetowi sztyldwacha.

Pojedynek siły ducha z siłą fizyczną, — kończy się zawsze zwycięstwem pierwszej. Taki też będzie, ujawniający się stopniowo zapewne, rezultat, ten charakter posiadającego pojedyнку, toczącego się poza naszą granicą wschodnią.

Nie wiemy, ani przewidzieć możemy, jakimi będą przejawy tego procesu. Czy będą niemi głucho i cicho wstrząsy ziemi, świadczące o jakiejś burzy w jej łonie, o wytwarzaniu się nowych próżni i wypełnianiu dotychczasowych; czy będą to wybuchy głośnie, jaskrawe i gwałtowne, i czy z nowo otwartego na wulkanie krateru nie posypie się, w szerokim promieniu, grad kamieni i czy strumienie lawy nowych emigrantów i uciekinierów, politycznie skazanych,

nie będą napierały na nasze ziemie, szukając na nich przed zagładą schronienia; czy wreszcie maszynistom panującego *regime'u* nie uda się raz jeszcze skierować fali buntu na zewnątrz, może i w naszym kierunku, niejako dla polityki rosyjskiej tradycyjnym.

Nie wiemy, ani przewidzieć możemy.

To jednak wiemy napewno, że udziałem naszym jest odczuwać — i to przeważnie bardzo silnie — każdy wstrząs na Wschodzie, i że przeto byłoby przeciwnem rozumowi politycznemu biernie zupełnie oczekiwać niespodzianek losu z tej strony, ryzykować, iż możemy w pewnej chwili stać się ich ofiarą.

Rola Polski na wschodzie Europy nie jest bynajmniej tak prosta i banalna, jak to się wydaje najczęściej politykom, żyjącym w atmosferze dyplomatycznej gry o doraźnych celach i operujących pojęciami pokoju i wojny, jako zjawiskami czysto mechanicznymi. Ten wschód Europy i jego sąsiedztwo azjatyckie podminowany jest siłami wulkanicznymi, stopniowo dojrzewającymi do wybuchu. Powstanie Polski Niepodległej, Łotwy, Estonji i Litwy przesunęło granice terenu wulkanicznego ku wschodowi. Zachodniej Europie wydało się, iż dzięki temu, wszelkie dla niej niebezpieczeństwo od strony wschodniej zostało usunięte. Straż przy bramie, prowadzącej z państwa eksperymentów bolszewickich do Europy, stała się udziałem Polski, a zatem i jej tylko kłopotem.

Lecz my nie możemy podzielać złudzeń, by metoda mechanicznego odcięcia się od terenu wulkanicznego, gwarantowała, iż charakter przyszłych na nim wybuchów — jeśli pójdą one po linii ślepego przypadku — nie będzie zawierał cech katastrofy dla Europy, zwłaszcza Wschodniej.

Poziom kulturalny narodów, marzących — mniej lub więcej silnie w tej chwili i realnie — o wolności, rozsiąanych na terenie wulkanicznym, nie jest naogół wysoki. Nie wystarcza on jeszcze, by przepoić je świadomością siły i natchnąć odwagą do samodzielności. Jest on aż nadto przecież wystarczający, by dać im odczuć doznawaną krzywdę i obudzić przeciw niej bunt. Stąd też narody te szukać muszą dla siebie oprarcia o centrum kultury bardziej wykształconej, które mogłyby im wskazać właściwe drogi i metody postępu, oraz centrum siły politycznej, która mogłaby im okazać współdziałanie, dać oparcie moralne i przez to ułatwić trudności ustalenia swej pozycji w rodzinie narodów, w układzie sił międzynarodowych.

Zadaniem historycznem Polski jest stać się na nowo takim centrum, jak była ona niem w epoce Jagiellonów.

Naiwnością są obawy, że uznanie przez Polskę jej zadania i świadome dążenie do wypełnienia go, ma być równoznaczne z jakimś zamysłami zaborczemi, wojennemi, z naruszeniem czy wogóle przekreśleniem poprawnych stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Republik Sowieckich. Ludzie o tak dalego posuniętej wrażliwości, winni czempredzej uciekać na pustynię, albowiem każdy krok naprzód, czyniony przez jednostki i narody, zawsze może przeszkodzić komuś, kto właśnie zmierzał postawić nogę na tem samem miejscu. W każdym razie dostarczy on dosyć powdów do drażliwości, bardzo ich poszukującym. Najmniej oczywiście przeszkadza wszystkim, kto stoi na miejscu. Natura ludzka jest jednak tak dziwaczna, że nie ma w niej szacunku dla stojących na miejscu drażliwców i delikatnisiów.

Układ stosunków na świecie jest płynny. Jest on szczególnie zmienny na przestrzeniach, leżących w polu wi-

dzenia naszych rozważań. Procesy polityczne odbywają ustawiczną ewolucję, aspiracje wolnościowe narodów dojrzewają, aktorzy politycznej sceny i ich — często bardzo krótkowzroczne — koncepcje i emocje, zmieniają się.

Każdy naród musi jednak określić swój stosunek do tego kalejdoskopu zjawisk, na dłuższym dystansie, i zdecydować, jaką w nich chce odgrywać rolę. Inaczej nie postępuje żaden naród, jeśli ceni swoją wolność, jeśli ma ambicje rozwojowe i rozum polityczny.

Jeśli więc wskazujemy, iż Polska winna sobie wyznaczyć w procesach dokonujących się tuż pod jej boki, a nawet zagarniających ją w sferę ich oddziaływań, — zadanie pracy nad usunięciem gwałtownych i nieobliczalnych w skutkach ich przejawów, na rzecz normalizacji i konstruktywizmu tych przejawów, t. j. by naturalny i zdrowy proces dojrzewania poszczególnych narodów — dzisiaj jeszcze nie wolnych — do wolności, odbywał się na korzyść idei kooperacji narodów Wschodniej Europy, podnoszenia się ich kulturalnego w dziedzinie ducha i materji, — nie podobna nam zarzucić, że czynimy coś innego, jak pracę myśli nad utrwaleniem podstaw pokoju, zdrowej ewolucji form i warunków życia ku wyższej mierze sprawności i sprawiedliwości.

By jednak zadanie to spełnić, stać się ośrodkiem promieniującym daleko nazewnątrz i atrakcyjnym dla narodów szukających oparcia, Polska musi stwierdzić czynem organizacyjnym, iż jest państwem, w ramach którego otwarta jest możliwość współżycia i kooperacji różnych narodów na jej terytorjach zamieszkujących, że zatem z ducha swego jest ona predysponowana do kooperacji w szerszym stylu, której formy nie dadzą się, rzecz prosta, w danej chwili przewidzieć, lecz treść wyrażać się będzie w tak lub ina-

czej organizacyjnie skonsolidowanym bloku narodów wschodnio-europejskich, dla celów obrony pokoju i współpracy gospodarczej oraz kulturalnej.

Trzeba sobie wyraźnie zdać sprawę z faktu, że nasz obecny centralizm i biurokracyzm, na tle dziczenia w bezmyślnej demagogji życia politycznego, — nie czynią z Polski dla nikogo siły atrakcyjnej. Trzeba też, by nasi politycy uświadomili sobie tę prawdę, iż potęga Polski na dalszy dystans nie będzie wyrastała z wzmacniania siły centralizmu, a zatem nacisku w kierunku niwelowania odrębności ziemi i narodów szukających jej opieki; odsuwania energii społecznej od pracy kształtowania form i wartości naszego życia społecznego. Przeciwnie, z tej strony może ona tylko oczekiwać wielkich utrudnień, a przede wszystkim skutków zagubienia swej roli na Wschodzie Europy, ku której właśnie pragnie ją zbliżyć proponowana na poprzednich stronicach zmiana zasad i form organizacyjnych naszego Państwa.

IX.

**W SFERZE PROBLEMÓW GOSPODARCZYCH
I SOCJALNYCH.**

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

DJALEKTYCZNE SPORY I NOWE OBJAWIENIA RZECZYWISTOŚCI.

Podstawy ustrojowe naszego gospodarstwa narodowego są trwałym tematem permanentnego zainteresowania opinii publicznej i — naogół jałowej, choć obfitej — dyskusji teoretyków i praktyków ekonomistów. Nie jest to bynajmniej zjawisko specyficznie polskie. Świat cały żyje w sferze problemów ekonomicznych, zmobilizowanych i zaoznaczonych przez ekonomiczne skutki wojny: wyczerpanie i rozstrój starych organizmów gospodarczych; powstanie i rozwój nowych; przesunięcie się złota ze Starego Świata do skarbców Nowego; nowy podział rynków zbytu między wielkich producentów; anormalny rozkwit w czasie wojny światowej produkcji przemysłowej, przerastający pokojowe zapotrzebowanie cywilizowanego świata. Jeśli się do tego doda stały refren życia ekonomicznego światowego, a zwłaszcza europejskiego, jakim jest zgrzytliwa melodia ostrych tarć między kapitałem i jego reprezentantami, a dojrzewającym coraz szybciej politycznie światem pracy, szukającym triumfu nad swym przeciwnikiem i dążącym do roztoczenia kontroli nad jego zyskiem i kalkulacją, do podzielenia się z nim dyspozycją warsztatem, — oczom naszym jawi się obraz skłębionych problemów dynamicznych, utrzymujących życie ekonomiczne w ruchu wahadłowym, wznoszącym je miarowo ku uciszeniu i jaśniej-

szym horyzontom, lecz po chwili ściągającym ku kryzysowi, by znów pchnąć je w górę, lecz i zarazem zawrócić ku dołowi, — utrzymywać w permanentnej zmianie pogody i zachmurzenia.

Polskie życie ekonomiczne podlega tym ogólnoeuropejskim prawom ruchu wahadłowego z tem od innych, zachodnio - europejskich państw, wyróżnieniem, że sama jego treść jest dopiero w okresie krystalizowania się i ujawniania swoich braków w stosunku do potrzeb wielkiego organizmu Rzeczypospolitej, i że walka toczy się również i o nią, o treść, a nie tylko o fundament organizacyjno-ustrojowy, na jakim winna ona być trwale oparta. Trzeba również wziąć pod uwagę, gdy się mówi o dyskusji toczącej się koło tego fundamentu, panujący w pojęciowości polskiej fetyszyzm dla doktrynerstwa, skłonność, a nawet dążenie do wtłaczania bujnych i złożonych przejawów życia w ramki symplicystycznych teoryjek, stojących na przeszkodzie uchwyceniu przez ich wyznawców rzeczywistości na gorącym uczynku jej stawania się i naturalnych praw jej rozwoju, a zatem odbierających ich teorjom i przepowiedniom wartość życiową. Sprawia to, że dyskusje ekonomiczne, — na podobieństwo politycznych, — obracają się w przestworzach prorocत्व i przepowiedni na przyszłość, nie prowadząc oczywiście do rozstrzygnięcia dyskutowanych zagadnień, lub przynajmniej do należytego ich oświecenia.

Skutek tej metody polemicznej był do niedawna taki, że los prorocत्व spoczywał — z natury rzeczy — w rękach dobrotliwego Boga, a rzeczywistości ekonomicznej w rękach kapryśnego przypadku, który oczywiście nie omieszkiał demonstrować, na przestrzeni lat sejmowładztwa, swej żywiołowej nieobliczalności. Dopiero rządy pomajowe pod-

jęły trud ujarzmienia kapryśnego przypadku i zastąpienia go przez świadomą myśl organizacyjną, która — jako nie pasująca do żadnej z dwóch panujących nad wyobraźnią polską doktryn: kapitalistycznej i socjalistycznej, bo wyrastająca z rzeczywistości — została ochrzczona przygodnym i, najzupełniej niewłaściwym mianem „etatyizmu“. Ów nieszczęsny etatyzm stał się nową barykadą teoretyków i praktyków życia gospodarczego, wystawioną na drodze do rzeczywistości, ku której otwarciu tak mało kto w Polsce ma odwagę się zbliżyć.

Na barykadzie „etatyizmu“ gorzej bój. Tak zwane sfery gospodarcze widzą w niej kopiec czerwonego triumfu socjalistycznej doktryny ekonomicznej, na wierzchołku którego przygotowane już zostało miejsce pod posąg zwycięskiej rewolucji socjalnej. Oczom socjalistów zaś jawi się ona jako okop reakcji i kapitału, dowodzony przez chorążego potwornego smoka „Lewjatana“ i broniony przez, uległych wrzekomo jego rozkazom, ministrów gospodarczych.

Gra fantazji w dziedzinie realnych, zdaloby się, zagadnień ekonomicznych, — to także polski specyfik, niosący z sobą karmazynowe odbłaski fantazji szlachetczyzny i powiew szerokich, bujnych stepów. Stepły zostały pokryte siecią miast i fabryk, szlachta powędrowała na karty historii doby zamkniętej i skończonej, lecz fantazja pozostała.

Jakże odległą od jej barwnych ułud, jest nasza rzeczywistość!

Cóż ona mówi?

Stwierdza ona ten fakt decydującego i zasadniczego znaczenia, że stary, mocno sterany u nas przez wojnę kapitał, wychowany na doktrynie liberalizmu gospodarczego, nat-

knął się po wojnie na dwie potężne przeszkody, ograniczające swobodę jego marszu. Pierwsza z nich, to t. zw. problemy socjalne. Druga, to zatonięcie w odmętach kryzysu ekonomicznego liberalizmu, na rzecz Państwa, jako regulatora życia gospodarczego i z konieczności, które za chwilę nazwiemy po imieniu, wielkiego producenta, dysponującego bardzo wydatnym wpływem na kształtowanie się cen produktów przemysłowych.

KONFLIKTY SOCJALNE.

Już na poprzednich kartach tej książki zarysowaliśmy okoliczności i drogi, w jakich i jakimi proletarjat, — żywa siła robocza, — wszedł w posiadanie należnych mu praw politycznych i społecznych, stawiając — korzystając z jego usług — kapitał wobec nowych warunków wzajemnego ich stosunku, ograniczających wydatnie swobodę kapitału w ustalaniu tych warunków na rzecz norm prawnych, regulujących prawa pracy i człowieka pracy. Nadto pracobiorca przeciwstawił pracodawcy, od dawna zorganizowanemu, organizację własną, odcinając go od możliwości swobodnego licytowania wartości pracy najemnika *in minus*, odpowiadając na jego czujność i przedsiębiorczość w tej dziedzinie, własną, zorganizowaną czujnością i przedsiębiorczością.

Starcie tych dwóch sił zorganizowanych leżało w logice ich spotkania się, a błędy taktyczne, popełnione przez obydwie strony i kryzys gospodarczy, nadały mu — nie tyle w życiu ile w dyalektyce — rozmiary sztucznie rozszerzone.

Proletarjat wytrzymał, na okopach prawa, ofensywę na swoje zdobycze, lecz zarazem — z godnym pamięci historii rozumem — odrzucił inspiracje III-ej Międzynarodówki, posuwania swych dążeń w kierunku prób rewolucyjnego samosądu nad swym przeciwnikiem klasowym

i wstrząsania narodowym organizmem gospodarczym przez aplikowanie mu eksperymentów programowego socjalizmu.

Słusznie mogą utrzymywać przedstawiciele kapitału, iż w starciu tem, stroną zwycięską jest proletarjat. Słusznie, lecz nie rozsądnie. Słusznie, gdyż strona, która niczego nie posiadała i niczego zatem nie miała do stracenia, a więc proletarjat, a więc praca, uzyskawszy chroniące ją przed wyzyskiem czy marnotrawstwem prawa, niewątpliwie wygrała. Lecz jest głęboko niesłuszne i niepedagogiczne i nawet nieobywatelskie, by kapitał uważał za swoją klęskę obowiązek przestrzegania względem pracy, z której wyrasta, norm, dyktowanych przez obowiązek Państwa dbania o kulturalne, higieniczne, chroniące zdrowie obywatela, a zatem i robotnika, warunki jego pracy.

Straty ponoszone na rzecz ewolucyjnego postępu kultury form życia i pracy najszerzych mas społecznych, są zawsze produkcyjne, a bodaj, że z reguły są one zyskami dla tych, którzy je czynią, zwłaszcza, gdy chodzi o kapitał przemysłowy, zainteresowany w ciągłości i harmonji jego współpracy z żywą siłą roboczą, — co oczywiście nie może być pomyślane inaczej, jak w drodze rozumnego zadośćczynienia jej aspiracjom i potrzebom kulturalnym. Wprawdzie powoduje to wzrost samowiedzy politycznej mas, — czego tak nie lubi kapitał, lecz przecież i wyższą wydajność pracy robotnika, co znów bardzo leży w jego interesie.

Wszelkie tendencje symplifikowania przejawów podnoszenia się mas ludzkich na wyższe poziomy kultury, muszą pozostać bezskutecznymi. Nigdy nie uda się próba brania z nich tego co jest, tej czy innej grupie politycznej lub

gospodarczej, wygodne, a zwalczania przejawów im niemiłych.

Nie podobna dążyć do zwiększania zdolności nabywczej społeczeństwa i jednocześnie opierać konkurencyjnej kalkulacji cen artykułów przemysłowych, które właśnie spożywać ma to społeczeństwo, na niskich, głodowych stawkach robocizny. Albo zdolność nabywcza, albo głodowanie, — trzeciej alternatywy niema.

Nie można żądać, by robotnik pogłębiał swoją wiedzę w zakresie wykonywanej pracy, uczył się jej arkanów, celem zwiększenia jej użyteczności, wydajności, słowem, by był świadomym współtwórcą procesów produkcji, w których uczestniczy, — lecz, by nie wzrastała skala jego życiowych potrzeb, a przede wszystkim, by głębszego wnikania w funkcjonowanie warsztatu, na którym pracuje, broń Boże nie posuwał do wglądania w kalkulację fabrykanta, w porównywanie swoich zarobków i jego zysków.

Nie uda się na dłuższą metę eksperyment odsunięcia pracy od jej dążeń do brania udziału w słusznym ustalaniu kalkulacji warsztatu, po okresie kryzysów, w którym wypadło szukać kapitałowi sposobu ominięcia przepaści katastrofy zupełnej, w apelu do obywatelskiego poczucia potrzeby poniesienia przez pracę ofiar na rzecz ratowania warsztatów przemysłowych i produkcji, i gdy apel ten nie pozostał bez rezultatu, bez odzewu.

Przy współczesnem zróżniczkowaniu społeczeństw, żadna klasa, ani warstwa społeczna, nie mogą rościć pretensji, by postęp Narodu, bądź w dziedzinie ducha, bądź materji, zamykał się bez reszty w formach jej tylko dogadujących. To co dla jednej z nich jest w nim blaskiem, drugiej wydaje się być cieniem i na odwrót. Nawet dyktatura pewnej klasy nad innemi — jak uczy przykład rosyjski — nie

usuwa z drogi jej żywota cieni, a kto wie czy ich raczej nie zagęszcza, nie mnoży, nie wywołuje?

W demokratycznym rzeczy porządku, warstwy i klasy muszą przyjmować wraz z blaskiem i — z ich punktu widzenia — cienie postępu, albowiem tylko ich symbjoza i ogólna dla wszystkich przeciętna stanowi o postępie Narodu. Ustępstwa przeplatające zwycięstwa jednych części społeczeństwa względem innych, to stała melodia życia, płynącego normalnie, równo, zdrowo, — ewoluującego po linii wzmagania się jego tempa, podnoszenia form ku wyższym poziomom kultury i miarom sprawiedliwości, oddalania od praźródła egoistycznych dyspozycji, kryterjów i dążeń jednostek i grup, w kierunku kryterjów i potrzeb społecznych.

Jeśli zatem kapitał przemysłowy odczuwa, w porównaniu z sytuacją z przed wielkiej wojny, ograniczenie swobody swej gospodarki ze strony żywej siły roboczej, która nadaje mu wartość i siłę, — musi on sobie uświadomić, że jest to zjawisko normalne, leżące w logice postępu i znajdujące równowagę w uzależnieniu pracy od kapitału. Problem równowagi tych wzajemnych uzależnień jest tak ważki dla życia narodu, że państwo nowoczesne poczuło się zmuszone roztoczyć nad nim czujną opiekę, rozstrzygnięciu go nadać ramy prawa, a autorytetowi prawa przydać siłę swego żywego autorytetu.

Oczywiście jest kwestją otwartą: w jakim kierunku przesunąć się będzie punkt tej równowagi, i w którym miejscu zatrzyma się on na okres dłuższy i czy wogóle się zatrzyma?

Zależy to w znacznej mierze od ogólnych koniunktur ekonomicznych: czy będą one pracowały na wzrost siły kapitału czy pracy?

Jeśli okres powracającej fali kryzysów — z czym trzeba się poważnie liczyć — potrwa jeszcze czas dłuższy, t. j. jeśli kapitał zmuszony będzie szukać wydawniejszej ze strony pracy pomocy dla przetrwania depresji na rynku zbytu na wytwarzane przez nie wspólnie produkty, — w ten sposób uplastyczniona wspólnota interesów musi dojść do znalezienia wyrazu w organizacji zarządu aparatem wytwórczym.

Punkt równowagi przesunąłby się wówczas w kierunku aspiracji pracy — a mianowicie jej dążenia do brania udziału w dyspozycji warsztatem, który ożywia, a wraz z nią i w odpowiedzialności zań.

STRASZAK „ETATYZMU“ I NOWE FORMY USTROJOWE GOSPODARSTWA NARODOWEGO.

Drugą przeszkodą, jaka stanęła po wojnie na drodze swobodnego, t. j. samowolnego gospodarowania kapitału, było wystąpienie państwa w charakterze regulatora produkcji, a powoli i w roli producenta, która to działalność państwa została określona przez zwolenników liberalizmu gospodarczego mianem etatyzmu, a planowość tej działalności, polityką etatystyczną.

Moi przyjaciele ideowi, fachowcy w dziedzinie ekonomji, wielokrotnie wyczerpująco wyjaśnili charakter i uzasadnili konieczność gospodarczej działalności Państwa — odpowiedzieli przekonująco na wszystkie etatystyczne strachy i przesady zwolenników pogrzebanego na całym świecie liberalizmu.

Czytelnikowi, szczególnie zajmującemu się tem zagadnieniem, autor poleca zapoznanie się z temi interesującymi enuncjacjami, z których ostatnia, wydana z okazji dziesięciolecia niepodległości, p. t. „Na froncie gospodarczym“, winna się znaleźć w rękach każdego myślącego obywatela.

W logice pracy niniejszej nie leży wdawanie się w spór słowny o nieszczęsny etatyzm, ani też nakreślanie obrazu przymusów, które rozszerzały stopniowo ingerencję Państwa w życie gospodarcze kraju i jego stan posiadania,

jako producenta. Faktem jest, że przymusy takie były i działały, a rezultatem ich jest przodująca rola Państwa w życiu gospodarczem kraju i znaczne ograniczenie swobody gospodarki kapitału prywatnego.

Należałoby zatem zatrzymać się chwilę nad kwestją: czy i o ile ten stan rzeczy jest czemś nienormalnem i czy usunięcie go istotnie stanowi warunek niezbędny rozkwitu gospodarczego kraju, — jak to twierdzą przeciwnicy t. zw. etatyzmu, i czy wogóle eksperyment taki jest możliwy?

Punktem wyjścia dla wszelkich w tej dziedzinie rozumowań i przewidywań musi być ten fakt oczywisty, że zagadnienie produkcji nie jest bynajmniej sprawą prywatną poszczególnych producentów, czy ich grup lub zrzeszeń, lecz sprawą *par excellence* społeczną i państwową.

Producent prywatny pracuje na zysk. Przeto poszukuje on przedewszystkiem takich dziedzin wytwórczości, które dają zysk największy, przy wkładzie najmniejszym, lub przynajmniej bez większego ryzyka.

Zaś z punktu widzenia państwowego, zagadnienie produkcji musi zadość czynić rachunkowi konieczności i możliwości. Bilans rentowności składa się bardzo często nie tylko z pozycji cyfrowych, pieniężnych. Są w nim również i pozycje polityczne, jak np. bezpieczeństwo terytorjów państwa, któremu służy przemysł wojenny.

W innych wypadkach zagadnienie rentowności rozkłada się na dłuższy okres czasu, wypełniony wkładami inwestycyjnemi w daną dziedzinę wytwórczości, dla kraju koniecznej. Kapitał prywatny nie może czekać, — interes gospodarczy Rzeczypospolitej czekać każe. Wówczas Państwo staje się inwestorem, a co zatem idzie i właścicielem

warsztatów przemysłowych, sumptem jego wzniesionych.

Kapitał prywatny stosuje w takich wypadkach taktykę zamykania oczu na wznoszenie przez Państwo nowych warsztatów w okresie, gdy wymagają one inwestycji, a podnoszenia sprzeciwu przeciw pozostawianiu ich w jego posiadaniu, gdy zaczynają one dawać zyski. Wówczas zjawia się oskarżenie o etatyzm i wszystkie antykapitalistyczne nieprawości.

Tego rodzaju pozycja kapitalistów nie może rościć pretensji do miana poważnej, a tem więcej przekonać opinii publicznej, że stwarzanie przez Państwo nowych, niezbędnych działów wytwórczości — w braku kapitału prywatnego — na własny rachunek, jest czemś nienormalnem, a tem więcej, zjawiskiem ekonomicznie szkodliwem.

Z chwilą, gdy Państwo musiało wziąć na siebie obowiązek czuwania nad równowagą uzależnień kapitału i pracy, przy wspólnym ich warsztacie pracy, oraz obowiązek dostosowywania charakteru wytwórczości kraju do rachunku jego ekonomicznych i politycznych konieczności i uzależnień, — wszelkie larum, podnoszone z przyczyny wykonywania przez nie tych obowiązków, jest skazane na klęskę. Nie wystarczy bowiem zwalczać zjawisk, wystających z pewnej rzeczywistości. Jeśli zjawiska te wydają się być komuś złemi, trzeba zwrócić wysiłki ku naprawie rzeczywistości. Bez wyciągnięcia tej konsekwencji ze swej pozycji, antietatyści nasi podzielią los tych przeciwników prostytucji, którzy uznali, iż świetnie rozprawia się z tem nieszczęściem, prześladując i tyranizując i tak przez los pokrzywdzone prostytutki. W rezultacie prostytucja, której przyczyny leżą w czynnikach ekonomicznych i moralnych, nie została usunięta. Zeszła tylko w podziemia półlegalności, gdzie rozrósł się na jej hańbie fanta-

styczny wyzysk i cała szkoła oszukiwania niemądrego prawa.

Oczywiście, — Państwo nasze nie może sobie aktualnie stawiać zadania skupiania w swoim ręku coraz większej ilości warsztatów przemysłowych, dla samego faktu ich posiadania, i bynajmniej nie zdradza w tym kierunku żadnych dążeń. Żaden rząd bowiem nie jest zainteresowany w zwiększaniu kłopotów swego — i tak wielkiego i trudnego — zadania. Lecz z drugiej strony nie może on się cofać przed obowiązkiem rozbudowywania aparatu wytwórczego, tylko z tej przyczyny, by nie być pomawianym o skłonności etatystyczne.

W szerokich perspektywach przewidywań przyszłości, można zmieścić wszystkie nadzieje. Nawet i te, że kapitał prywatny, wzmacniając się stopniowo, przejmie kolejno z rąk Państwa dziedziny wytwórczości, w których jest ono monopolistą i wszelkie inne warsztaty przemysłowe, będące w jego posiadaniu.

Osobiście uważam te nadzieje za należące do dziedziny utopji.

Ustrój kapitalistyczny, w jego formach klasycznych, zginął śmiercią naturalną na przełomie XIX i XX wieku.

Socjaliści twierdzą, że wobec tego należy lada chwila oczekiwać zapanowania ustroju socjalistycznego. Że życie ekonomiczne przeleje się z foremki kapitalistycznej w marksowską, i że *tertium non datur*.

Jest to również wielkie złudzenie ideologów z drugiego krańca huśtawki doktryn.

Socjaliści europejscy, a wśród nich i polscy, zapominają, że ekonomiczny rewolucjonizm socjalizmu został, bez ich udziału, na dłuższy okres czasu skompromitowany i obrzydzony ludzkości przez bolszewików. Poza zresztą

ogólnikową doktryną nie posiada on żadnych przepracowanych form, dla ujęcia bogatego nurtu współczesnego życia ekonomicznego i przeto nie jest dojrzałym do wkroczenia na scenę rzeczywistości. Mógłby się na nią tylko wdrzeć, jak wdarł się w Rosji, lecz i wówczas byłby z niej wyparty przez rzeczywistość.

Wydaje się, że żyjemy obecnie w okresie panowania ustroju trzeciego, ani kapitalistycznego, w klasycznym jego wyrazie, ani socjalistycznego, — ustroju mieszanego, opartego na kolaboracji kapitału prywatnego z państwowym i robotnika z fabrykantem, że ustrój ten wykazuje tendencje do stabilizowania się na dłuższy okres czasu i chociaż nie posiada on jeszcze nazwy naukowej, musi być uznany za realnie istniejący.

Na krystalizację jego form, będzie miał decydujący wpływ rezultat egzaminu ze sprawności gospodarowania Państwa i przedsiębiorczości prywatnej. Dotychczas jedna i druga strona mają na sumieniu wiele braków. Państwo usprawnia powoli funkcjonowanie warsztatów, będących w jego posiadaniu, — dotychczas jednak szerszej myśli organizacyjnej w tej dziedzinie nie danem było ujawnić się w czynie, mimo, iż myśli takiej nie brak. Przedsiębiorczość prywatna, miast przystąpić do realizacji zaleceń Komisji Ankietowej, ciągle jeszcze nie może przeboleć faktu wdarcia się przez nią do świętego gaju tajników kalkulacji i gospodarki fabrykantów. Zdecydowania brak po obydwu stronach, lecz przecież nie należy tracić nadziei, że nadejdzie dzień jego triumfu, i że rozpocznie się wyścig sprawności i racjonalizacji produkcji, z jednej oraz ustalania, posiadającej charakter i zdolności dłuższej trwałości, platformy kooperacji kapitału z pracą, z drugiej strony.

Gdy czas pochłonie resztki dziwacznych urazów psychicznych aktorów procesów produkcji względem siebie i niechęci niektórych z nich do nowatorstwa, chociażby było ono dla nich korzystne, a przede wszystkim wyrażało pochod twórczego postępu — i gdy cała uwaga włożona zostanie w rozwój energii wytwórczej i harmonijną kolaborację współtworzących ją sił, sztuczna barykada „etatyizmu“ rozchwieje się w atmosferze realizmu, odmawiającego słuszności krańcowym doktrynom i egoistycznym aspiracjom poszczególnych warstw i klas Narodu.

Marzec — kwiecień 1929 r.





101791

7